

AGATHA CHRISTIE

## MORDERSTWO NA PLEBANII

TLUMACZYŁA WACŁAWA KOMARNICKA

TYTUŁ ORYGINAŁU: THE MURDER AT THE VICARAGE

### ROZDZIAŁ PIERWSZY

Trudno mi się zdecydować, od czego zacząć tę opowieść, ale po namyśle wybrałem pewną środę. Jedliśmy właśnie obiad na plebanii. Rozmowa przy stole na ogół nie pozostawała w związku z interesującymi nas sprawami, padło jednak kilka zdań, które wywarły wpływ na dalszy bieg wydarzeń.

Zakończyłem właśnie krajanie sztuki mięsa (nawiasem mówiąc, zdumiewająco twardej) i siadając stwierdziłem tonem zgoła dla duchownego nieestosownym, że każdy, kto zamorduje pułkownika Protheroe, odda światu wielką przysługę.

Dennis, mój młody siostrzeniec, odparł natychmiast:

— Będzie to policzone za dowód przeciwko tobie, kiedy starego znajdą w kałuży kiwi. Mary złoży zeznania. Prawda. Mary? I opisze, jak wywijalesz przy tym groźnie nożem do krajania mięsa.

Mary, która traktuje służbę na plebanii za szczebel do lepszych posad i wyższych poborów, powiedziała tylko głośno i rzeczowo: „Jarzyna” i z naburmuszoną miną podsunęła Dennisowi wyszczerbiony półmisek.

— Czy był bardzo nieznośny? — spytała ze współczuciem moja żona.

Nie odpowiedziałem od razu, gdyż Mary, odstawivszy z łoskotem jarzynę na stół, podsunęła mi właśnie pod nos półmisek szczególnie wilgotnych i nieapetycznych jabłek w cieście.

— Dziękuję — rzekłem, na co Mary z trzaskiem cisnęła półmisek na stół i wyszła z pokoju.

— Jaka szkoda, że taka ze mnie okropna gospodyni — zauważyła ze szczerym żalem moja żona.

Skłonny byłem przyznać jej racje. Żonie mojej na imię Gryzelda — imię bardzo stosowne dla żony pastora. Na tym się jednak rzecz niestety wyczerpuje. Gryzelda nie ma w sobie nic z pokory chrześcijańskiej.

Zawsze byłem zdania, że duchowny nie powinien się żenić. Wobec tego jest dla mnie po dziś dzień tajemnicą, dlaczego po dwudziestoczwierogodzinnej znajomości błagałem Gryzeldę, żeby za mnie wyszła. Małżeństwo, sądziłem zawsze, jest rzeczą poważną i należy je zawierać jedynie po dłuższym okresie namysłu i rozwagi, przy czym zgodność upodobań i skłonności winna być najwyższym względem.

Gryzelda jest blisko o dwadzieścia lat młodsza ode mnie. Na domiar złego jest prześliczna i nie potrafi nic brać na serio. Jest też najzupełniej pozbawiona zmysłu praktycznego i bardzo trudna w pożyciu. Traktuje parafię jak świetny kawał, który ktoś spletał specjalnie po to. Żeby ją zabawić. Próbowalem kształtować jej umysł i poniosłem kompletne fiasko. Obecnie żywię przeświadczenie — mocniejsze niż kiedykolwiek — że duchowni winni trwać w celibacie. Napomykam o tym niejednokrotnie Gryzeldzie, ale ona zbywa moje uwagi śmiechem.

— Moja droga — rzekłem teraz — gdybyś się tylko trochę postarała...

— Staram się czasem — odparła Gryzelda. — Ale na ogół kiedy się staram, wszystko idzie jeszcze gorzej. Nie jestem widać stworzona na gospodynię. Przekonałam się, że lepiej zdać się na Mary i godzić się z tym, że w domu panuje nieład, a jedzenie jest okropne.

— O mężu wcale nie myślisz, kochanie? — powiedziałem z wyrzutem i idąc za przykładem szatana, który cytował Pismo Święte dla osiągnięcia swoich niecných celów, kontynuowałem: — „Rozejrzała się po swoim gospodarstwie...”

— Pomyśl, jakie masz szczęście, że cię lwy nie szarpią na sztuki — przerwała mi szybko Gryzelda. — Albo że cię nikt nie pali na stosie. Niesmaczne jedzenie, kurz w mieszkaniu i nieżywe osy to doprawdy nie są rzeczy aż tak ważne, żeby się nimi przejmować. Opowiedz mi lepiej o pułkowniku Protheroe. W każdym razie pierwsi chrześcijanie byli o tyle szczęśliwsi, że nie znali rady parafialnej.

— Nadęty stary osioł — wtrącił Dennis. — Nic dziwnego, że pierwsza żona od niego uciekła.

— Nic innego jej chyba nie pozostawało — stwierdziła moja żona.

— Gryzeldo! — napomniałem ją ostro. — Nie mogę słuchać takich rzeczy.

— Kochany — rzekła czule moja żona — opowiedz mi o pułkowniku. O co chodziło? Czy o to, że pan Hawes w kościele wciąż się kiwa i żegna?

Hawes to nasz nowy wikary. W tym czasie był u nas zaledwie od trzech tygodni. Ciąży ku Wysokiemu Kościołowi i pości w piątek. Pułkownik Protheroe jest przeciwnikiem wszelkich obrządków przypominających obrządek katolicki.

— Tym razem nie o to chodziło. Wprawdzie poruszył tę sprawę mimochodem, ale kamieniem obraży był nieszczęsny banknot pani Ridley.

Pani Ridley jest moją bardzo gorliwą parafianką. Będąc w rocznicę śmierci syna na wczesnym nabożeństwie, położyła na tacy banknot wartości jednego funta szterlinga. Następnie, gdy otrzymała pocztą listę składek, stwierdziła z przykrością, że najwyższą pozycją był banknot dziesięcioszylingowy.

Zwróciła się do mnie ze skargą, — ja zaś odparłem — moim zdaniem jak najśluszniej — że musiała się pomylić.

— Nikt z nas nie młodnieje — dodałem, starając się załatwić sprawę taktownie — i to są właśnie przykre strony podeszłego wieku.

Rzecz dziwna, moje słowa roznieciły tylko jej gniew. Oświadczyła, że wszystko to wygląda bardzo podejrzanie i dziwi ją bardzo, iż nie jestem tego samego zdania. Odeszła zaperzona i udała się, jak sądzę, do pułkownika Protheroe. Otóż pułkownik należy do ludzi, którzy lubią robić z igły widły, toteż uderzył na alarm. Szkoda tylko, że wybrał do tego środę, bo w środę wykładam w szkółce kościelnej i wprawia mnie to w stan podrażnienia nerwowego, po którym aż do wieczora nie mogę odzyskać równowagi.

— Cóż, on też musi mieć trochę rozrywki — powiedziała moja żona takim tonem, jak gdyby pragnęła ująć rzecz bezstronnie. — Nikt się dokoła niego nie uwija, nie nazywa go „kochanym proboszczem”, nie haftuje dla niego potwornych rannych pantofli i nie daje mu w prezencie ciepłych skarpetek na gwiazdkę. Zarówno jego żona, jak córka mają go po uszy. Więc jest mu na pewno przyjemnie, kiedy się czuje ważną personą.

— Ale nie powinien być taki napastliwy — odrzekłem cierpko. — Mam wrażenie, że nie zdaje sobie dokładnie sprawy ze znaczenia tego, co mówi. Chce przejrzeć wszystkie rachunki kościelne, żeby się upewnić, czy nie ma braków. Tego słowa użył. Braki! Czy podejrzewa mnie o sprzeniewierzenie funduszków kościelnych?

— Nikt cię o nic nie podejrzewa, kochanie — powiedziała Gryzelda. — Jesteś tak niewątpliwie ponad podejrzeniami, że doprawdy mógłbyś z tego skorzystać. Bardzo bym chciała, żebyś sprzeniewierzył fundusz misyjny. Nie znoszę misjonarzy — całe życie ich nie cierpiałam.

Byłbym skarcił Gryzeldę za te gorszące słowa, lecz w tej samej chwili weszła Mary z na pół ugotowanym budyniem ryżowym. Próbowałem protestować, ale Gryzelda oświadczyła, że Japończycy zawsze jedzą niedogotowany ryż i są dzięki temu wybitnie uzdolnieni.

— Myślę nawet — dodała — że gdybyś na co dzień, aż do niedzieli jadał taki budyń, wygłosiłbyś cudowne kazanie.

— A niech Bóg broni — zawołałem, bo ciarki mnie przeszły. — Protheroe przyjedzie jutro wieczorem i mamy razem sprawdzić rachunki — ciągnąłem dalej. Muszę więc jeszcze dziś skończyć przemówienie dla „Męskiego Stowarzyszenia Wyznawców Kościoła Anglikańskiego”.

Szukając cytatu, tak się zagłębiłem w lekturze Rzeczywistości biskupa Shirley, że niewiele napisałem. A co ty dzisiaj robisz, Gryzeldo?

— Spełniam swój obowiązek — oznajmiła Gryzelda — obowiązek pani pastorowej. Herbatka i ploty o pół do piątej.

— Kto będzie?

Gryzelda ze świątobliwą miną zaczęła wyliczać na palcach.

— Pani Ridley, panna Wetherby, panna Hartnell i ta okropna panna Marple.

— Ja lubię pannę Marple — powiedziałem. — Ma przynajmniej poczucie humoru.

— To największa plotkarka w miasteczku — stwierdziła Gryzelda. — Przy tym zawsze wie o wszystkim, co się dzieje, i wyciąga z każdego zdarzenia jak najgorsze wnioski.

Gryzelda, jak już wspomniałem, jest znacznie młodsza ode mnie. W moim wieku wie się już, że najgorsze wnioski zwykle są słuszne.

— No, mnie się w każdym razie nie spodziewaj na podwieczorku, Gryzeldo — oświadczył Dennis.

— Wstrętne zwierzę!

— Zgoda, ale państwo Protheroe rzeczywiście zaprosili mnie dziś na tenisa.

— Wstrętne zwierze! — powtórzyła Gryzelda. Dennis wycofał się przezornie, Gryzelda zaś i ja poszliśmy razem do mojego gabinetu.

— Ciekawa jestem, kogo się będzie obrabiało przy herbacie — powiedziała Gryzelda, sadwiąc się na moim biurku. — Pewnie doktora Stone'a, pannę Cram i może panią Lestrangle. Nawiasem mówiąc, wstąpiłam do niej wczoraj, ale nie było jej w domu. Tak, jestem pewna, że będzie mowa o pani Lestrangle. Tajemnicza historia, prawda? Przyjechała tak niespodziewanie, wynajęła tutaj dom i nigdy prawie z niego nie wychodzi. Coś jak: „Kim była owa tajemnicza kobieta o pięknej, bladej twarzy? Jakie były jej dzieje? Nikt tego nie wiedział. Miała w sobie coś złowieszczonego”. Mam wrażenie, że doktor Haydock coś niecoś o niej wie.

— Czytasz za dużo powieści kryminalnych, Gryzeldo — zauważyłem delikatnie.

— A ty? — odparowała cios. — Któregoś dnia, kiedyś ty siedział tutaj i pisał kazanie, szukałam wszędzie Plamy na schodach. A kiedy wreszcie przyszedłam tu zapytać, czyś jej nie widział, co zastałam?

Przyznaję, że się zaczerwieniłem.

— Wziąłem ją od niechcienia do ręki. Jakieś przypadkowe zdanie mnie zainteresowało i...

— Znam te przypadkowe zdania — odparła Gryzelda. Zacytowała z naciskiem: — „A wówczas stała się rzecz bardzo dziwna — Gryzelda wstała, przeszła przez pokój i ucałowała czule swojego starego męża”.

Wprowadziła te słowa w czyn.

— Takie to bardzo dziwne? — spytałem.

— Oczywiście. Czy zdajesz sobie z tego sprawę, Len, że mogłam wyjść za ministra, za baroneta, za bogatego przemysłowca, za trzech poruczników i jednego nicponia o znakomitych manierach, a zamiast tego wybrałam ciebie? Czy cię to nie zdumiewa?

— W swoim czasie zdumiewało mnie bardzo — odrzekłem. — Zastanawiałem się często, czym się kierowałam.

Gryzelda roześmiała się.

— Bo mi to dawało poczucie własnej potęgi — szepnęła. — Tamci uważali mnie za ósmy cud świata, więc oczywiście cieszyliby się bardzo, gdyby mogli mnie zdobyć. Ale dla ciebie jestem uosobieniem wszystkiego, czego najbardziej nie lubisz i nie pochwalasz, a przecież nie mogłeś mi się oprzeć! Pochlebiali to niesłychanie mojej próżności. O ileż przyjemniej jest być czymś potajemnym i rozkosznym grzechem, aniżeli zdobyczą, którą ktoś się szczyci! Wprawiam cię nieustannie w zakłopotanie, drażnię cię bez przerwy, a jednak szalejesz za mną. Bo szalejesz za mną, prawda?

— Oczywiście, jestem do ciebie bardzo przywiązany, moja droga.

— Len, ty za mną szalejesz. Czy pamiętasz, jak zostałam na noc w Londynie i zawiadomiłam cię o tym telegramem, któregoś nie dostał, bo siostra telegrafistki urodziła właśnie bliźnięta i telegrafistka zapomniała ci go przekazać? Niepokoiłeś się ogromnie, telefonowałeś do Scotland Yardu i w ogóle wyprawiałeś niestworzone rzeczy.

Nie lubimy, kiedy nam się przypomina o pewnych sprawach. W wymienionym przypadku rzeczywiście zachowałem się bardzo nierozsądnie. Powiedziałem więc:

— Jeżeli pozwolisz, kochanie, chciałbym zabrać się do tego przemówienia.

Gryzelda westchnęła z irytacją, zwichrzyła mi włosy, przyglądała je znowu i rzekła:

— Nie zasługujesz na mnie. Naprawdę. Będę musiała zacząć flirt z naszym malarzem. Zobaczysz — słowo daję. Pomyśl tylko, jak się cała parafia będzie trzęsła od plotek!

— Już się i tak trzęsie — odrzekłem dobrotliwie. Gryzelda roześmiała się, przesłała mi ręką pocałunek i przez drzwi na taras wyszła do ogrodu.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Gryzelda jest osobą niesłychanie irytującą. Po odejściu od stołu byłem we właściwym nastroju do napisania mocnego i pięknego przemówienia do „Wyznawców Kościoła Anglikańskiego”. Teraz czułem się dziwnie zaniepokojony i wytracony z równowagi.

Kiedy się wreszcie wzięłem w garść i miałem już zacząć pisać, do gabinetu zabłąkała się Letycja Protheroe.

Używam słowa zabłąkała się z rozmysłem. Czytuję często powieści, w których młodzi ludzie przedstawiani są jako istoty tryskające energią, radością życia, wspaniałym rozmachem młodości... Jednakże wszyscy młodzi ludzie, których znam osobiście, sprawiają wrażenie smętnych i bezcielesnych duchów.

Letycja była tego dnia szczególnie smętna i jakby nie z tego świata. Jest to ładna dziewczyna, wysoka, jasnowłosa i niezmiernie roztargniona. Weszła przez wielkie przeszklone drzwi prowadzące do ogrodu, ściągnęła z głowy żółty beret i na mój widok mruknęła z niejakim zdziwieniem:

— O, ksiądz proboszcz!

Ze Starego Dworu biegnie przez las ścieżka, która kończy się tuż przy furtce naszego ogrodu, więc większość ludzi idących stamtąd wchodzi przez furtkę i kieruje się do okna gabinetu, zamiast iść naokoło szosą do drzwi frontowych plebanii. Nie zdziwiłem się więc, że Letycja przyszła tędy, ale trochę mnie rozgniewała jej postawa.

Jeżeli się przychodzi do probostwa, powinno się być przygotowanym na to, że zastanie się proboszcza.

Letycja weszła i opadła bezwładnie na jeden z moich wielkich foteli. Pociągnęła bezmyślnie kosmyk jasnych włosów i niewidzącym wzrokiem spojrzała w sufit.

— Czy Dennis jest w domu?

— Nie widziałem go od obiadu. O ile wiem, miał iść do państwa na tenisa.

— O! — jęknęła Letycja. — Mam nadzieję, że nie poszedł. Nikogo tam nie zastanie.

— Mówił, że go zaprosiłaś.

— Zdaje się, że go rzeczywiście zaprosiłam. Ale to było w piątek. A dzisiaj jest wtorek.

— Dzisiaj jest środa — powiedziałem.

— Ojej, to okropne — rzekła Letycja. — To znaczy, że po raz trzeci zapomniałam pójść na obiad ze znajomymi.

Na szczęście nie wydawała się tym bardzo zmartwiona.

— A Gryzelda jest?

— Sądzę, że znajdziesz ją w pracowni w ogrodzie, pozuje Lawrence'owi Reddingowi.

— O niego była cała awantura — oznajmiła Letycja. — Z moim ojcem. Ojciec jest niemożliwy.

— O co była... O co chodziło? — spytałem.

— O to, że Lawrence mnie maluje. Ojciec się skądś dowiedział. Dlaczego nie mam się dać malować w kostiumie kąpielowym? Jeżeli mogę chodzić w nim na plażę, to dlaczego nie wolno mnie w nim malować?

Letycja urwała na chwilę, po czym ciągnęła dalej:

— Szczyt kretynstwa — żeby ojciec zabraniał młodemu człowiekowi wstępu do domu.

Oczywiście, Lawrence i ja po prostu śmiejemy się z tego. Będę przychodzić tutaj i pozować mu w pracowni księdza proboszcza.

— Nie, moja droga — oświadczyłem. — Nie mogę się na to zgodzić, jeżeli ojciec ci zabrania.

— Ach, Boże! — westchnęła Letycja. — Jacy wszyscy są nudni. Czuję się zdruzgotana.

Absolutnie. Gdybym miała pieniądze, wyjechałabym, ale bez pieniędzy nie mogę. Gdyby tylko ojciec zdobył się na trochę przyzwoitości i umarł, wszystko byłoby w porządku.

— Letycjo, nie wolno tak mówić.

— Jeżeli nie chce, żebym mu życzyła śmierci, nie powinien być taki niezdolny. Nie dziwię się wcale, że mama go porzuciła. Wie ksiądz proboszcz, przez długie lata myślałam, że ona nie żyje. Jaki był ten młodzieniec, z którym uciekła? Miły?

— To wszystko zdarzyło się, zanim jeszcze twój ojciec tu zamieszkał.

— Ciekawa jestem, co się z nią stało. Przypuszczam, że Anna też niedługo już będzie miała z kimś romans. Anna mnie nie cierpi — zachowuje się wobec mnie bardzo przyzwoicie, ale nie cierpi mnie. Starzeje się i to ją złości. W tym wieku kobiety zaczynają zwykle szaleć.

Zastanawiałem się, czy Letycja zamierza zostać w moim gabinecie do wieczora.

— Nie widział ksiądz proboszcz moich płyt gramofonowych? — spytała.

— Nie.

— Szkoda. Wiem, że je gdzieś zostawiłam. I pies mi zginął. I nie wiem, gdzie się podział mój zegarek, ale to właściwie nic ma znaczenia, bo i tak nie chodzi. Ojej, jaka jestem śpiąca. Nie wiem dlaczego, bo wstałam dopiero o jedenastej. Ale życie jest okropnie męczące, prawda? Boże, muszę już iść. O trzeciej mam oglądać kopiec doktora Stone'a.

Spojrzałem na zegarek i zauważyłem, że jest już za dwadzieścia pięć czwarta.

— Doprawdy? Straszne. Ciekawa jestem czy czekają, czy poszli beze mnie. Pójdę się chyba dowiedzieć.

Wstała i oddaliła się leniwym krokiem, rzucając półgłosem przez ramię:

— Powie ksiądz proboszcz Dennisowi, dobrze?

— Tak — odparłem machinalnie.

Dopiero po chwili, nazbyt późno, zorientowałem się, że nie mam pojęcia, co mam powiedzieć Dennisowi. Ale doszedłem do wniosku, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa to nie ma znaczenia. Zacząłem rozmyślać o doktorze Stonie, znanym archeologu, który niedawno przyjechał do naszego miasteczka i zatrzymał się „Pod Niebieskim Dzikim”, nadzorował bowiem prace wykopaliskowe prowadzone na wzgórzu, znajdującym się na ziemiach pułkownika Protheroe. W związku z tym miał już z pułkownikiem parę utarczek. Bawiło mnie teraz, że doktor Stone zaprosił Letycję na oglądanie toczących się prac.

Przeszło mi przez myśl, że z Letycji w gruncie rzeczy jest kokietka. Ciekaw byłem, jak się ułożą stosunki między nią a sekretarką archeologa, panną Cram. Panna Cram to zdrowa, młoda kobieta lat dwudziestu pięciu, hałaśliwa, rumiana, pełna życia i nieustannie uśmiechnięta — robi nawet wrażenie, że ma więcej zębów niż przeciętny człowiek.

Opinia w miasteczku jest podzielona — jedni twierdzą, że panna Cram jest osobą niecną i rozwiążą, inni zaś widzą w niej wielce cnotliwą niewiastę, która zamierza przy najbliższej sposobności zostać małżonką doktora Stone'a. W każdym razie stanowi ona pod każdym względem przeciwieństwo Letycji.

Wyobrażałem sobie, że atmosfera w Starym Dworze nie jest zbyt miła dla jego mieszkańców. Pułkownik Protheroe przed pięciu laty ożenił się po raz drugi. Druga pani Protheroe odznacza się

wybitną, choć dość oryginalną urodą. Domyślałem się zawsze, że stosunki między nią a pasierbicą nie układają się najpomyślniej.

Znów mi przerwano. Tym razem przyszedł mój wikary, Hawes. Pragnął dowiedzieć się szczegółów mojej rozmowy z pułkownikiem Protheroe. Powiedziałem, że pułkownik wprawdzie ubolewa nad jego „papistycznymi skłonnościami”, lecz wizyta jego tym razem dotyczyła zgoła innej sprawy. Jednocześnie skorzystałem ze sposobności i oznajmiłem wikaremu, że musi liczyć się ze mną jako ze zwierzchnikiem i stosować się do moich wskazówek. Hawes zresztą przyjął moje uwagi bez oznak niezadowolenia.

Kiedy odszedł, poczułem wyrzuty sumienia, że nie mogę się zdobyć na życzliwszy do niego stosunek. Te niczym nie uzasadnione sympatie i antypatie w stosunku do ludzi są bez wątpienia sprzeczne z duchem chrześcijańskim.

Spostrzegłem z westchnieniem, że zegar stojący na moim biurku wskazuje trzy na pięć. Znaczyło to, że jest już pół do piątej, udałem się więc do salonu.

Zastałem tara swoje cztery parafianki z filiżankami w rękach. Gryzelda siedziała za stołem i piła herbatę, starając się wyglądać w tym otoczeniu naturalnie, wyglądała jednak jeszcze bardziej egzotycznie niż zwykle.

Uścisnąłem gościom dłonie i usiadłem pomiędzy panną Marple a panną Wetherby.

Panna Marple jest to siwowłosa starsza dama o łagodnym, miłym sposobie bycia. Panna Wetherby jest kostyczna i gadatliwa. Z tych dwóch niewiast panna Marple jest bez porównania niebezpieczniejsza.

— Mówiliśmy właśnie — powiedziała Gryzelda miodowym głosem — o doktorze Stonie i pannie Cram.

Przemknął mi przez myśl rubaszny dwuwiersz — ułożony przez Dennisa:

Wszystko w... nosie mam —

Mówi panna Cram.

Miałem ogromną ochotę powiedzieć ten wierszyk na głos i zobaczyć, jakie wywrze wrażenie na obecnych, ale się na szczęście pohamowałem.

— Przywoita dziewczyna nie zdobyłaby się na to — stwierdziła kwaśno panna Wetherby, po czym z dezaprobatą zacisnęła usta.

— Na co? — spytałem.

— Na to, żeby zostać sekretarką kawalera — wyjaśniła zgorszona panna Wetherby.

— Ach, kochana moja — odrzekła panna Marple.

— Mnie się zdaje, że żonaci są najgorsi. Przypomnij sobie biedną Mollic Carter.

— Żonaci mężczyźni żyjący w separacji z żonami są oczywiście z reguły rozpustni — oznajmiła panna Wetherby.

— Czasem nawet ci, co nie są wcale w separacji — uzupełniła półgłosem panna Marple. — Pamiętam...

Postarałem się przerwać te niezbyt budujące wspomnienia.

— Ależ, drogie panie — powiedziałem — w dzisiejszych czasach kobieta może chyba objąć posadę tak samo jak mężczyzna.

— U kawalera? I mieszkać z nim w tym samym hotelu? — odezwała się surowo pani Ridley.

Panna Wetherby zwróciła się cicho do panny Marple:

— A wszystkie pokoje są na tym samym piętrze...

Porozumiały się wzrokiem.

Panna Hartnell, ogorzała, wesoła (jest postrachem naszych ubogich), zauważyła głośno i bezceremonialnie:

— Ta pannica złapie tego biedaka, zanim się on obejrzy. Widać od razu, że jest naiwny jak nowo narodzone dziecko. Moim zdaniem to niesmaczne — ciągnęła dalej panna Hartnell z właściwym sobie brakiem taktu.

— Przecież on jest co najmniej o dwadzieścia pięć lat starszy od niej.

Wszystkie panie zaczęły mówić naraz, rzucając chaotyczne uwagi na temat chóru chłopców, pożalowania godnego zajścia na zebraniu „Komitetu Matek” i przeciągów w kościele. Panna Marple uśmiechnęła się czule do Gryzeldy.

— Czy nie sądzą panie — rzekła moja żona — że panna Cram, być może, lubi swoją pracę i uważa, że jest ciekawa? I że traktuje doktora Stone’a po prostu jako pracodawcę?

Zaległo milczenie. Najwidoczniej żadna z czterech pań nie zgadzała się z tym zdaniem. Panna Marple przerwała w końcu niezręczne milczenie, klepiąc Gryzeldę po ramieniu.

— Jest pani jeszcze bardzo młoda, moje złotko — rzekła. — Młodzi mają tak niewinne umysły.

Gryzelda odparła z oburzeniem, że jeśli o nią chodzi, to nie ma bynajmniej niewinnego umysłu.

— Oczywiście, pani myśli o wszystkich jak najlepiej — powiedziała panna Marple, nie zważając na te protesty.

— Naprawdę sądzi pani, że panna Cram chce się wydać za tego łysego nudziarza?

— O ile mi wiadomo, jest wcale zamożny — odrzekła panna Marple. — Tylko, niestety, to porywcze usposobienie... Miał któregoś dnia poważną kłótnię z pułkownikiem Protheroe.

Wszystkie głowy z zainteresowaniem pochyliły się do przodu.

— Pułkownik Protheroe zarzucił mu, że jest ignorantem.

— Jakie to charakterystyczne dla pułkownika i przy tym co za absurd — zauważyła pani Ridley.

— Owszem, bardzo charakterystyczne dla pułkownika, ale nie jestem pewna, czy to znów taki absurd — powiedziała panna Marple. — Pamiętacie panie tę kobietę, co to przyjechała tutaj jako przedstawicielka Komitetu Ochrony Zdrowia? Zebrała składki i tyleśmy ją widzieli, a potem się okazało, że nie miała nic wspólnego z żadnym komitetem. Jesteśmy zwykle ufni i skłonni brać ludzi za takich, za jakich chcą uchodzić.

Pomyślałam sobie, że nie śniłoby mi się nigdy użyć określenia „ufna” w stosunku do panny Marple.

— Coś tam też było, zdaje się, z tym młodym malarzem, panem Reddingiem? — spytała panna Wetherby.

Panna Marple potwierdziła skinieniem głowy.

— Pułkownik Protheroe wyprosił go z domu. Podobno pan Redding malował Letycję w kostiumie kąpielowym. Sensacja!

— Od dłuższego czasu mam wrażenie, że coś ich łączy — rzekła pani Ridley. — Ten młodzieniec wciąż tam przesiaduje. Szkoda, że dziewczyna nie ma matki. Macocha to nigdy nie jest to samo.

— Mam wrażenie, że pani Protheroe robi, co może — powiedziała panna Hartnell.

— Dziewczęta są tak przebiegłe i wykrętne — stwierdziła z ubolewaniem pani Ridley.

— Romantyczna historia, prawda? — zauważyła panna Wetherby, która ma wrażliwsze serce. — To bardzo przystojny młodzieniec.

— Ale zepsuty — oświadczyła panna Hartnell. — To nieuniknione. Malarz! Paryż! Modelki! I tak dalej!

— Malował ją w kostiumie kąpielowym — wtrąciła pani Ridley. — Nie bardzo to przyzwoite.

— Mnie też maluje — oznajmiła Gryzelda.

— Ale nie w kostiumie kąpielowym, droga pani — rzekła panna Marple.

— Może jeszcze gorzej — powiedziała uroczystym tonem Gryzelda.

— O, brzydka, brzydka! — zawołała panna Hartnell, traktując ten dowcip pobłażliwie. Wszystkie inne panie miały jednak miny lekko zgorzone.

— Czy kochana Letycja opowiadała księdzu proboszczowi o tych kłopotach? — zwróciła się do mnie panna Marple.

— Czy mi opowiadała?

— Tak. Widziałam, jak przeszła przez ogród i skierowała się do okna gabinetu.

Panna Marple zawsze wszystko widzi. Ogrodnictwo jest równie skuteczne jak zasłony dymne, a zwyczaj obserwowania ptaków przez mocną lornetkę może być pretekstem do przeróżnych innych obserwacji.

— Owszem, coś o tym wspominała — przyznałem.

— Pan Hawes jest czymś zmartwiony — powiedziała znów panna Marple. — Mam nadzieję, że nie pracuje za dużo.

— O, zupełnie zapomniałam — zawołała panna Wetherby. — Przecież mam dla was nowinę. Widziałam, jak doktor Haydock wychodził z domu pani Lestrangle.

Wszystkie panie spojrzały po sobie.

— Może jest chora — odezwała się niepewnie pani Ridley.

— Jeżeli tak, musiała zachorować nagle — odparła panna Hartnell — bo jeszcze o trzeciej po południu chodziła po ogrodzie i wydawała się zupełnie zdrowa.

— Doktor Haydock musi być jej znajomym z dawnych czasów — zauważyła pani Ridley. — Ale jakoś się na ten temat nie wypowiada.

— Ciekawe, że nigdy nawet o tym nie wspomniał — dodała panna Wetherby.

— Jeśli chodzi o ścisłość... — zaczęła Gryzelda tajemniczo, ale zaraz urwała.

Wszystkie panie znów pochyliły się do przodu.

— Ja przypadkiem wiem wszystko — podjęła Gryzelda znacząco. — Jej mąż był misjonarzem. To okropna historia. Zjedzono go, rozumieją panie. Dosłownie zjedzono. A ona musiała zostać żoną wodza plemienia. Doktor Haydock brał udział w wyprawie, która ją wyratowała.

Przez chwilę panowało niesłyszane podniecenie. Potem panna Marple powiedziała tonem wymówki, ale z uśmiechem:

— Niegrzeczna dziewczynka! Poklepała Gryzeldę po ręce.

— Bardzo nierozsądne, droga pani. Pani zmyśla sobie bajeczki dla zabawy, ale ludzie biorą je na serio. A to czasem może doprowadzić do nieprzewidzianych komplikacji.

Atmosfera zebrania spadła wyraźnie poniżej zera. Dwie panie wstały i zaczęły się żegnać.

— Ciekawe, czy między tym Reddingiem a Letycją rzeczywiście coś jest — rzekła panna Wetherby. — W każdym razie na to wygląda. Co pani sądzi, panno Marple'?

Panna Marple patrzyła w zamyśleniu przez okno.

— Mnie się zdaje, że nie. Moim zdaniem nie chodzi o Letycję, ale o kogoś zupełnie innego.

— Ale pułkownik Protheroe myślał widocznie...

— Pułkownik od dawna sprawia na mnie wrażenie człowieka niezbyt mądrego — przerwała panna Marple. — Jak się takiemu coś przywidzi, będzie się przy tym upierał bez końca. Pamiętają państwo Joe Bucknella, który dzierżawił dawniej „Niebieskiego Dzika”? Tyle było hałasu o to, że jego córka romansuje z młodym Baileyem. A Bailey przez cały czas romansował z żoną Bucknella.

Mówiąc to patrzyła wprost na Gryzeldę i poczułem nagle, że ogarnia mnie niepohamowany gniew.

— Czy nie uważa pani, panno Marple — powiedziałem — że zbyt jesteśmy skłonni puszczać wodze naszym językom? Pismo Święte poucza nas, że nie należy o nikim źle sądzić. Bezmyślne a złośliwe plotki mogą wyrządzić ludziom wielkie, niepowetowane krzywdy.

— Drogi proboszczu — odparła panna Marple — proboszcz jest człowiekiem tak prawym i nieświadomym otaczającego zła... Niestety, jeśli chodzi o mnie, to obserwując od tak dawna naturę ludzką, wiem, że nie należy się po niej spodziewać zbyt wiele. Oczywiście, takie próżne gadanie jest rzeczą bardzo niedobłą, ale tak często zawiera w sobie dużo prawdy. Prawda?

Strzał był celny.

## ROZDZIAŁ TRZECI

— Wstrętna jędza — powiedziała Gryzelda, ledwie drzwi zamknęły się za gośćmi.

Wykrzywiła się w stronę tychże drzwi, a potem spojrzała na mnie i wybuchnęła śmiechem.



— Len, czy naprawdę podejrzewasz mnie o romans z Lawrence'em Reddingiem?

— Ależ, kochanie, oczywiście, że nie.

— Myślałeś jednak, że panna Marple robi do tego aluzje. I bardzo pięknie stanąłeś w mojej obronie. Jak... jak rozjuszony tygrys.

Poczułem lekki niepokój. Pastor Kościoła Anglikańskiego nie powinien nigdy dawać powodu do tego, aby porównywano go z rozjuszonym tygrysem. Ufałem jednak, że Gryzelda nieco przesadziła.

— Zdawało mi się, że obowiązkiem moim jest zaprotestować — powiedziałem. — Ale chciałbym bardzo, żebyś była troszkę ostrożniejsza w tym, co mówisz., Gryzeldo.

— Chodzi ci o tę historyjkę o ludożercach. — spytała. — Czy o to, że dałam do zrozumienia, że Lawrence maluje mój akt? Gdybyż one wiedziały, że maluje mnie w grubej pelerynie z bardzo wysokim kołnierzem futrzanym — w stroju, w którym można by śmiało iść z wizytą do papieża! Nigdzie ani skrawka grzesznego ciała! W ogóle cała sprawa jest niezwykle wprost niewinna. Lawrence nie próbuje nawet zalecać się do mnie — sama nie mogę zrozumieć, dlaczego.

— Rzecz jasna, wiedząc, że jesteś kobietą zameżną...

— Len, błagam cię, nie udawaj, żeś wysiadł przed chwilą z arki Noego. Wiesz doskonale, że ponętna, młoda kobieta mająca starszego męża jest dla młodego mężczyzny darem niebios. Musi być jakaś inna przyczyna — bo przecież nie jestem odrażająca — wiem, że nie.

— Nie chcesz chyba, żeby się do ciebie zalecał?

— No n—nie — odrzekła Gryzelda z wahaniem wyraźniejszym, niżbym tego sobie życzył.

— Jeżeli się kocha w Letycji Protheroe...

— Panna Marple jest innego zdania.

— Panna Marple może się mylić.

— Nie myli się nigdy. Takie stare jędze zawsze mają rację.

Gryzelda urwała na chwilę, potem powiedziała, zerkając na mnie spod oka:

— Wierzysz mi, prawda? Że nic mnie z Lawrence'em nie łączy?

— Ależ moja droga Gryzeldo — powiedziałem zdziwiony. — Naturalnie.

Moja żona podeszła i pocałowała mnie.

— Wolałabym, żeby nie było cię tak okropnie łatwo oszukać, Len. Uwierzyłyś we wszystko, cokolwiek bym powiedział.

— Spodziewam się. Ale, moja droga, zaklinam cię, poskramiaj język i uważaj na to, co mówisz. Te kobiety są absolutnie wyzute z poczucia humoru i biorą wszystko poważnie, pamiętaj.

— Przydałaby się im odrobina niemoralności w życiu — rzekła Gryzelda. — Wówczas nie doszukiwałyby się jej tak gorliwie w życiu innych ludzi.

Z tymi słowami wyszła z pokoju, ja zaś, spojrzawszy na zegarek, wyruszyłem pośpiesznie na wizyty, które powinienem był załatwić wcześniej.

Na nabożeństwie wieczornym było jak zwykle niewiele osób, ale kiedy rozebrawszy się w zakrystii, przechodziłem przez kościół, nie było tam nikogo prócz jakiejś kobiety, która stała i z podniesioną głową wpatrywała się w jedno z okien. Mamy piękne siarę witraże, a zresztą cały kościół wart jest obejrzenia. Na odgłos moich kroków kobieta odwróciła się i poznałem panią Lestrangle.

Oboje staliśmy chwilę w niepewności, po czym ja się odezwałem:

— Mam nadzieję, że podoba się pani nasz kościół.

— Podziwiałam witraż — odrzekła pani Lestrangle. Głos miała miły, niski, ale dobitny, a przy tym bardzo wyraźną dykcję. Dodała:

— Żałuję bardzo, że pani pastorowa nie nastąpiła mnie wczoraj w domu.

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę na temat kościoła. Pani Lestrangle była najwyraźniej osobą kulturalną, znającą się na historii Kościoła i na architekturze w ogóle. Wyszliśmy razem, ponieważ dom jej znajdował się przy drodze do probostwa. Gdyśmy stanęli przed gankiem, pani Lestrangle zaprosiła mnie uprzejmie:

— Może ksiądz proboszcz wejdzie na chwilę? Chciałabym wiedzieć, co ksiądz myśli o tym, co tu zrobiłam.

Przyjąłem zaproszenie. Domek należał dawniej do pułkownika, który wiele lat spędził w Indiach, mimo woli więc powitałem z radością zniknięcie wszystkich owych mosiężnych tablic i pogańskich posągów. Dom umeblowany był teraz bardzo prosto, ale w doskonałym guście. Panowała w nim harmonia i spokój.

Mimo to zastanawiałem się coraz bardziej nad tym, co mogło sprowadzić do St. Mary Mead taką osobę jak pani Lestrangle. Była tak wyraźnie kobietą należąca do wielkiego świata, aż dziw brał, że zechciała zagrzebać się na prowincji.

W jasno oświetlonym salonie miałem sposobność po raz pierwszy przyjrzeć się jej dokładnie.

Była bardzo wysoka. Włosy miała złote z rudawym odcieniem. Brwi i rzęsy ciemne — czy to z natury, czy też dzięki sztuce makijażu, tego nie potrafiłem stwierdzić. Jeśli się malowała, robiła to w sposób wysoce artystyczny. Twarz jej w chwilach, gdy była nieruchoma, miała w sobie coś ze sfinksa, szczególnie zaś przykuwały uwagę oczy koloru niemal złota — najdziwniejsze, jakie widziałem w życiu.

Ubrana była doskonale i zachowanie jej cechowała swoboda kobiety, która otrzymała staranne wychowanie, a przecież było w niej coś dziwnego i zastanawiającego. Czuło się, że tkwi tu jakaś tajemnica. Przypomniało mi się wyrażenie, którego użyła w rozmowie ze mną Gryzelda — coś złowieszczonego. Absurd oczywiście — a jednak czy to rzeczywiście był absurd? Ni stąd, ni zowąd przyszła mi do głowy myśl: „Ta kobieta nie cofnie się przed niczym”.

Rozmawialiśmy w sposób najzwyczajniejszy w świecie — o książkach, o obrazach, o starych kościołach. Mimo to doznawałem przemożnego wrażenia, że pani Lestrangle pragnie mówić ze mną o czymś zupełnie innym.

Parę razy podchwyciłem jej spojrzenie, wyrażające jakby wahanie. Zdawało się, że pani Lestrangle nie może się na coś zdecydować. Dbała o to — zauważyłem — by rozmowa toczyła się na tematy ogólne, nie dotykając spraw osobistych. Nie wspomniała, na przykład, ani razu o mężu. ani o nikim z przyjaciół lub z rodziny.

W spojrzeniu jej czytałem jednak wciąż jakieś pytanie, dziwne, pełne napięcia. Spojrzenie to zdawało się mówić: „Czy mam ci powiedzieć? Chciałabym bardzo. Czy mi pomożesz?”

W końcu wszakże oczy pani Lestrangle przygasły — albo może wszystko to było wytworem mojej wyobraźni. Poczulem, że powinienem już odejść. Wstałem i pożegnałem się. Wychodząc z pokoju, obejrzałem się raz jeszcze i dostrzegłem na twarzy pani Lestrangle wyraz rozterki. Pod wpływem impulsu zawróciłem.

— Jeżeli mógłbym pani w czymś pomóc...

— To bardzo ładnie ze strony księdza proboszcza... — odrzekła niepewnie i urwała.

Umilkliśmy oboje. Potem pani Lestrangle powiedziała:

— Czy ja wiem... Sprawa jest taka trudna. Nie, wątpię, czy ktokolwiek może mi pomóc. Ale bardzo księdzu dziękuję za tę miłą ofertę.

Zabrzmiało to jak ostateczna decyzja, odszedłem więc, wciąż jednak nie przestawałem myśleć o tej sprawie. Nie jesteśmy w St. Mary Mead przyzwyczajeni do tajemnic.

Jest to tak dalece prawdą, że kiedy wyszedłem z bramy domu pani Lestrangle, zostałem od razu zaatakowany. A nikt nie potrafi atakować z takim impetem i tak niezręcznie jak panna Hartnell.

— Widziałam księdza! — zawołała z właściwym sobie, przyciężkim humorem. — I taka byłam ciekawa! No co, czy może już nam ksiądz wszystko opowiedzieć?

— O czym?

— O tej tajemniczej damie! Czy jest wdową, czy leż ma męża?

— Doprawdy nie wiem. Nie mówiła mi o tym.

— Bardzo dziwne. Powinna chyba wspomnieć o czymś takim chociażby mimochodem.

Doprawdy, sprawia wrażenie, jak gdyby milczała nie bez kozery.

— Nie sądzę.

— No, ksiądz proboszcz, jak mówi kochana panna Marple, jest człowiekiem tak prawym, tak nieświadomym otaczającego zła... Proszę mi powiedzieć, czy ona od dawna zna doktora Haydocka?

— Nie wspomniała o nim, więc nie wiem.

— Doprawdy? O czym się w takim razie mówiło?

— O obrazach, o muzyce, o książkach — odparłem zgodnie z prawdą.

Panna Hartnell, która potrafi rozmawiać tylko o swoich i cudzych sprawach osobistych, spojrzała na mnie podejrzliwie i z niedowierzaniem. Korzystając z tej chwili przerwy, podczas której zastanawiała się, jak postąpić dalej, pożegnałem się z nią i szybko odszedłem.

Odwiedziłem jeszcze pewien dom w miasteczku i powróciłem na plebanię przez furtkę ogrodową, mijając po drodze najniebezpieczniejszy odcinek — ogród panny Marple. Sądziłem wszakże, iż wiadomości o mojej wizycie w domu pani Lestrangle nie mogły jeszcze w żaden żywy sposób dotrzeć do jej uszu, czułem się więc mniej lub bardziej bezpiecznie.

Gdy otwierałem furtkę, przyszło mi do głowy, żeby wstąpić na chwilę do stojącej w ogrodzie szopy, której młody Redding używał jako pracowni. Chciałem zobaczyć, jak postępuje portret Gyzeldy.

Nie miałem pojęcia, że w pracowni ktoś jest. Nie słyszałem głosów, które by mnie ostrzegły, moje zaś kroki przypuszczalnie tłumiała trawa.

Otworzyłem drzwi i stanąłem zakłopotany na progu. W pracowni bowiem było dwoje ludzi. Mężczyzna obejmował kobietę i całował ją namiętnie.

Był to malarz Lawrence Redding i pani Protheroe. Cofnąłem się szybko i umknąłem do swojego gabinetu. Tam usiadłem w fotelu, zapaliłem fajkę i zacząłem się zastanawiać nad sytuacją. Odkrycie wstrząsnęło mną. Po rozmowie z Letycją tego popołudnia pewien byłem, że pomiędzy nią a młodzieńcem nawiązuje się jakieś porozumienie. Ponadto byłem przeświadczony, że ona sama tak sądzi. Mógłbym przysiąc, że nie ma pojęcia o uczuciach, które malarz żywi do jej macochy.

Przykra gmatwanina. Musiałem oddać w myśli sprawiedliwość pannie Marple. Nie dała się zwieść pozorom, lecz widocznie domyśliła się dość trafnie istniejącego stanu rzeczy. Złe zrozumiałem jej znacząco spojrzenie, skierowane na Gyzeldę.

Nie przeszło mi nigdy przez myśl brać w tej sprawie pod uwagę pani Protheroe. Pani Protheroe wydawała mi się zawsze poza podejrzeniami, niby żona Cezara. Była to spokojna, małomówna, opanowana kobieta, której nikt by nie posądził o jakieś głębsze uczucia.

Doszedłem do tego punktu medytacji, gdy wyrwało mnie z niej pukanie w szybę. Wstałem i podszedłem do okna. Przede mną stała pani Protheroe. Otworzyłem okno i pani Protheroe weszła, nie czekając na zaproszenie. Przeszła zdyszana przez pokój i opadła na kanapę.

Miałem takie uczucie, jak gdybym widział ją po raz pierwszy w życiu. Spokojna, powściągliwa kobieta, którą znałem, znikła bez śladu, a miejsce jej zajęła zrozpaczona, głośno oddychająca istota. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że Anna Protheroe jest piękna.

Była szatynką o bladej twarzy i bardzo głęboko osadzonych szarych oczach. W tej chwili rumieniec zabarwił jej policzki, a pierś falowała. Zdawało się, że marmurowy posąg nagle ożył. Metamorfoza była tak raptowna, że przetarłem oczy.

— Uznałam, że najlepiej będzie tu przyjść — powiedziała. — Ksiądz... Ksiądz proboszcz widział mnie przed chwilą?

W milczeniu pochyliłem głowę na znak potwierdzenia.

— Kochamy się — powiedziała bardzo cicho pani Protheroe.

Mimo wzburzenia i rozterki nie mogła powstrzymać lekkiego uśmiechu. Był to uśmiech kobiety, która widzi coś bardzo pięknego i cudownego.

Wciąż jeszcze nie odzywałem się, dodała więc po chwili:

— Ksiądz uważa pewnie, że to wielki grzech?

— Czy spodziewa się pani po mnie jakiegokolwiek innego zdania?

— N–nie... Chyba nie...

Ciągnąłem dalej, starając się mówić jak najłagodniej:

— Jest pani kobietą zameźną...

Przerwała mi:

— Ach, wiem, wiem! Sądzi proboszcz, że nie przemyślałam sobie tego wszystkiego setki razy? Nie jestem złą kobietą, w gruncie rzeczy nie jestem zła. A sprawy nie przedstawiają się tak... tak, jak ksiądz proboszcz mógłby przypuszczać.

— Cieszy mnie to — rzekłem z powagą.

Spytała głosem, w którym brzmiała obawa:

— Czy powie ksiądz mojemu mężowi?

Odpowiedź moja zabrzmiała dość oschle:

— Jak się orientuję, panuje powszechne przekonanie, że duchowny nie potrafi postępować jak dżentelmen. Nie odpowiada to prawdzie.

Pani Protheroe rzuciła mi spojrzenie pełne wdzięczności.

— Jestem taka nieszczęśliwa. O, jestem tak okropnie nieszczęśliwa. Nie mogę już dłużej. Po prostu nie mogę i nie wiem, co mam robić.

Głos jej wzniósł się do histerycznej nuty.

— Nie wie ksiądz proboszcz, jakie pędzę życie. Jestem nieszczęśliwa z Lucjuszem od chwili zamążpójścia. Żadna kobieta nie mogłaby z nim być szczęśliwa. Chciałabym, żeby umarł... To potworne, ale życzę mu śmierci... Jestem doprowadzona do ostateczności. Mówię księdzu, jestem doprowadzona do ostateczności.

Drgnęła naraz i spojrzała w kierunku okna.

— Co to było? Zdaje mi się, że słyszałam kroki? Może to Lawrence.

Podszedłem do okna, którego, jak się okazało, nie zamknąłem. Przystąpiłem niski parapet i rozejrzałem się po ogrodzie, ale nikogo nie było widać. A jednak byłem niemal przekonany, że ja również słyszałem czyjeś kroki. Być może zresztą udzieliła mi się pewność, z jaką mówiła o tym pani Protheroe.

Kiedy wróciłem do pokoju, pani Protheroe siedziała pochylona naprzód, ze zwieszoną głową. Wyglądała jak uosobienie rozpacz. Powiedziała znów:

— Nie wiem, co robić. Nie wiem, co robić. Podszedłem i usiadłem przy niej. Mówiłem to, co uważałem za swój obowiązek i starałem się wypowiadać owe słowa z niezbędnym przekonaniem, mając przez cały czas niemiłą świadomość, że nie dalej jak dziś rano dałem wyraz uczuciu, iż świat bez pułkownika Protheroe zmieniłby się na lepsze.

Przed wszystkim prosiłem Annę Protheroe, żeby nie czyniła żadnych nic przemyślanych kroków. Porzucenie męża i ogniska domowego jest sprawa, bardzo poważną.

Nie sądzę, abym ją przekonał. Dość długo żyję na świecie, żeby wiedzieć, iż wobec osoby zakochanej wszelkie perswazje są daremne, spodziewam się jednak, że słowa moje trochę ją uspokoiły.

Wstała wreszcie, podziękowała mi i przyrzekła, że zastanowi się nad tym, co mówiłem.

Mimo to po jej odejściu czułem silny niepokój. Doszedłem do wniosku, że całkiem mylnie oceniałem dotychczas charakter Anny Protheroe. Teraz sprawiała na mnie wrażenie kobiety o usposobieniu gwałtownym, kobiety, która nie cofnie się przed niczym, gdy zbudzi się w niej namiętność. A była rozpaczliwie, śmiertelnie, obłądnie zakochana w Lawrencie Reddingu, człowieku o kilka lat młodszym od niej.

Nie podobało mi się to wszystko.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Zapomniałem zupełnie, że zaprosiliśmy tego dnia Lawrence'a Reddinga na kolację. Kiedy Gryzelda wpadła jak burza do gabinetu i wylała na mnie, podkreślając, że do oznaczonej pory zostały już tylko dwie minuty, byłem kompletnie zaskoczony.

— Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku — zawołała za mną Gryzelda, gdy już biegiem po schodach na górę. — Zastanawiałam się nad tym, co mówiłeś przy obiedzie, i wymyśliłam na kolację całkiem smaczne potrawy.

Dodam mimochodem, że nasz posiłek wieczorny potwierdził w całej rozciągłości tezę Gryzeldy, że kiedy się stara, wszystko idzie jeszcze gorzej. Menu było ambitne w pomysłach, toteż Mary z perwersyjną przyjemnością zadbała o to, by potrawy były na przemian nie dogotowane i przegotowane. Ostryg, które zamówiła Gryzelda i których zdawałoby się niepodobna zepsuć, nie mogliśmy skosztować, gdyż w domu nic było nic, czym by się je dało otworzyć — a w dodatku niedopatrzenie to wyszło na jaw dopiero wtedy, kiedy ostrygi podano do stołu.

Nic liczyłem właściwie na to, że Lawrence Redding przyjdzie. Mógł bez trudu zatelefonować albo wymówić się listownie.

Przyszedł jednak punktualnie i wszyscy czworo zasiedliśmy do kolacji.

Lawrence Redding jest człowiekiem niezaprzeczenie przyjemnym. Ma, jak sądzę, lat około trzydziestu. Włosy ciemne, ale oczy jaskrawo, zaskakująco niemal błękitne. Jest to młodzieniec z gatunku tych, co to wszystko robią dobrze. Doskonały sportowiec, wyborny strzelec, dobry aktor w przedstawieniach amatorskich i pierwszorzędnym narrator. Słowem — dusza każdego towarzystwa. W żyłach jego płynie chyba krew irlandzka. Nie jest bynajmniej typowym artystą-cyganem, jak się zwykło ich sobie wyobrażać, a mimo to jest, o ile się orientuję, bardzo dobrym i zdolnym malarzem nowoczesnym. Co prawda, niewiele się na tym znam.

Rzecz to całkiem naturalna, że tego wieczora był odrobinę nieswój czy też roztargniony. Na ogół jednak zachowywał się bardzo dobrze i nie sądzę, żeby Gryzelda lub Dennis zauważyli w jego zachowaniu cokolwiek niezwykłego. Gdybym nie znał stanu rzeczy, przypuszczalnie sam bym nie zauważył.

Gryzelda i Dennis byli w wyjątkowo dobrych humorach — dowcipkowali wciąż na temat doktora Stone'a i panny Cram — przedmiotu zgorszenia naszych małomiasteczkowych pań! Pomyślałem nagle z lekkim skurczem serca, że Dennis przecież bliższy jest wiekiem Gryzeldzie niż ja. Mówi mi „wuj”, ale do Gryzeldy zwraca się po imieniu. Poczuję się dziwnie osamotniony. Najwidoczniej wytrąciła mnie z równowagi scena z panią Protheroe, bo na ogół nie ulegam podobnym nastrojom.

Gryzelda i Dennis od czasu do czasu zapędzali się za daleko, ale nie miałem serca ich strofować. Moim zdaniem to przykre, że sama obecność duchownego warzy zwykle humor każdego towarzystwa.

Lawrence brał czynny udział w tej wesołej rozmowie. Mimo to widziałem dobrze, że ukradkiem zerka wciąż na mnie i zdziwiłem się, kiedy po kolacji postarał się wciągnąć mnie do gabinetu.

Gdyśmy zostali sami, zachowanie jego zmieniło się zupełnie. Twarz przybrała wyraz powagi i niepokoju, ściągnęła się niemal.

— Ksiądz proboszcz poznał przypadkiem naszą tajemnicę — rzeki. — Co ksiądz zamierza w tej sprawie zrobić?

Mogłem mówić z nim znacznie szczerzej niż z panią Protheroe i skorzystałem z tej możliwości. Redding przyjął moje napomnienia bardzo dobrze.

— Oczywiście — rzekł, kiedy skończyłem — ksiądz proboszcz jako duszpasterz musi to wszystko mówić. Nie mam na myśli nic obraźliwego. Jeśli chodzi o ścisłość, przypuszczam, że ksiądz ma słuszość. Ale sprawa między Anną a mną jest sprawą wyjątkową.

Powiedziałem mu, że ludzie używają tego zwrotu od stworzenia świata. Redding uśmiechnął się.

— Każdy sądzi, że jego sprawa jest wyjątkowa? Być może. Ale w jedną rzecz musi ksiądz uwierzyć.

Zapewnił mnie, że jak dotychczas „nie ma w tym nic złego”. Anna, powiedział, jest jedną z najwierniejszych i najbardziej lojalnych kobiet, jakie kiedykolwiek istniały. Co będzie dalej, tego nie wie.

— Gdyby to była powieść — dodał ponuro — stary po prostu by umarł i wszyscy mieliby spokój. Napomniałem go surowo.

— O, nie chciałem wcale przez, to powiedzieć, że wsadzę mu nóż w plecy, chociaż byłbym szczerze wdzięczny każdemu, kto by to zrobił. Na całym świecie nie ma człowieka, który by powiedział o nim dobre słowo. Dziwię się nawet, że pierwsza żona go nie zakatrupiła. Poznałem ją kiedyś, przed laty — wyglądała mi na osobę, która jest do tego zdolna. Taka pozornie spokojna, ale niebezpieczna kobieta. Stary kłóci się ze wszystkimi, wszędzie robi zamieszanie, jest złośliwy jak diabeł i ma na dobitkę wstrętne usposobienie. Nie ma ksiądz proboszcz pojęcia, co Anna od niego znosi. Gdybym miał choć grosz przy duszy, zabrałbym mu ją bez dalszego gadania.

Począłem tedy przemawiać do niego bardzo poważnie. Zaklinałem go, żeby wyjechał z St. Mary Mead. Pozostając tutaj, może tylko ściągnąć na Annę Protheroe jeszcze większe nieszczęścia niż te, co dotychczas przypadły jej w udziale. Ludzie zaczną plotkować, sprawa dojdzie do uszu pułkownika Protheroe — i Anna znajdzie się w nieporównanie gorszej sytuacji niż dotychczas. Lawrence zaprotestował.

— Prócz księdza proboszcza nikt o niczym nie wie.

— Kochany młodzieńcze, nie docenia pan instynktu śledczego mieszkańców małych miasteczek. W St. Mary Mead wszyscy znają najskrytsze tajemnice sąsiadów. Nie ma w Anglii detektywa, który by mógł iść w zawody ze starą panną w nieokreślonym wieku, mającą dużo wolnego czasu.

Zbył mnie zapewnieniem, że nie ma się czego obawiać. Wszyscy myślą, że chodzi mu o Letycję.

— A czy przyszło panu do głowy — spytałem — że Letycja sama może tak myśleć?

Zaskoczyło go to. Letycji wcale na nim nie zależy, oświadczył. Jest tego pewien.

— Dziwna dziewczyna — ciągnął dalej. — Wydaje się, że wciąż buja w obłokach, ale podejrzewam, że w gruncie rzeczy ma wcale praktyczny umysł. Moim zdaniem, jej roztargnienie to tylko poza. Letycja bardzo dobrze wie, co robi. I jest bardzo mściwa. Rzecz szczególna — nie znosi Anny. Po prostu jej nienawidzi. A przecież Anna zachowuje się zawsze w stosunku do niej jak anioł.

Oczywiście, jeśli chodzi o to ostatnie twierdzenie, bynajmniej nie zamierzałem wierzyć mu na słowo. Dla zakochanych młodzieńców przedmiot ich uczuć zawsze zachowuje się jak anioł. Jak mogłem wnosić z obserwacji Anny, zawsze była w stosunku do pasierbicy dobra i wyrozumiała. Sam się zdziwiłem tego popołudnia, kiedy wyczułem w tonie Letycji rozgoryczenie.

Musieliśmy przerwać na tym rozmowę, bo Gryzelda i Dennis wtargnęli do gabinetu oświadczać, że nie powinienem monopolizować Lawrence'a i zmuszać go, żeby się zachowywał jak stary ramol.

— O, Boże! — zawołała Gryzelda padając na fotel.

— Jak bym chciała, żeby się zdarzyło coś ciekawego. Morderstwo... albo przynajmniej włamanie!

— Wątpię, czy tutaj warto się do kogoś włąmywać — zauważył Lawrence, starając się wpaść w jej ton. — Chyba żebyśmy skradli pannie Hartnell jej sztuczną szczękę.

— Rzeczywiście, kłapie okropnie — powiedziała Gryzelda. — Ale nie ma pan racji, że tu nic ma nic wartościowego. W Starym Dworze są cudowne, stare srebra. Warte, jak sądzę, tysiące funtów.

— Stary zastrzeliłby was ze starego, wojskowego rewolweru — oświadczył Dennis. — I na pewno zrobiłby to z prawdziwą przyjemnością.

— No, no! My byśmy go pierwsi sterroryzowali — zawołała Gryzelda. — Kto ma rewolwer?

— Mam mauzera — powiedział Lawrence.

— Ma pan? Wspaniale! Po co go pan ma?

— Pamiątka z wojny — odparł krótko Lawrence.

— Stary Protheroe pokazywał niedawno swoje srebra doktorowi Stone'owi — wtrącił Dennis. — Stary Stone udawał, że okropnie się nimi interesuje.

— Przecież pokłócili się podobno o kopiec — powiedziała Gryzelda.

— Ale się już pogodzili — odrzekł Dennis. — Nic rozumiem zresztą, po co ludzie grzebią się w jakichś tam pagórkach i kopcach.

— Ten Stone mnie intryguje — powiedział Lawrence.

— Musi być bardzo roztargniony. Czasami przysiągłbym, że nie ma pojęcia nawet o swoim ukochanym przedmiocie — archeologii.

— To z miłości — wyjaśnił Dennis. — Słodka panno Cram, w myślach wciąż cię mam — zębów twoich biel, moich westchnień cel. Podąża za mną wraz — w ten wieczorny czas — a „Niebieski Dzik” nas połączy w mig...

— Dennis, dosyć! — przerwałem.

— No, muszę już iść — powiedział Lawrence Redding. — Pani Gryzeldo, dziękuję za przemily wieczór.

Gryzelda i Dennis odprowadzili go, Dennis wrócił do gabinetu sam. Coś musiało mu się przytrafić nieprzyjemnego, bo wąsał się bez celu po pokoju, marszcząc brwi i kopiąc meble.

Nasze meble są już tak zniszczone, że trudno wyrządzić im jakąś szkodę, ale uważałem za stosowne zaprotestować.

— Przepraszam — burknął Dennis. Milczał przez chwilę, a potem wybuchnął:

— Plotki to najohydniejsza rzecz na świecie! Zdziwiło mnie to. Dennis zazwyczaj nie bywa tego zdania.

— Co się stało? — spytałem.

— Nie wiem. czy powinienem ci powiedzieć.

Byłem coraz bardziej zdziwiony.

— To taka ohyda — powtórzył znów Dennis. — Ktoś chodzi sobie i opowiada Bóg wie co. Właściwie to nawet nie opowiada, robi tylko aluzje. Napomyka. Nie, do cholery ciężkiej, nic ci nie powiem! To nazbyt wstrętne!

Patrzałem na niego z zaciekawieniem, ale nie nalegałem. Dało mi jednak to wszystko do myślenia. Dennis bardzo rzadko bierze sobie coś tak bardzo do serca.

W tej chwili weszła Gryzelda.

— Dzwoniła panna Wetherby — powiedziała. — Pani Lestrangle wyszła z domu o ósmej piętnaście i dotychczas nie wróciła. Nikt nie wie, dokąd poszła.

— A dlaczego ktoś miałby wiedzieć?

— W każdym razie nie poszła do doktora Haydocka. Panna Wetherby wie na pewno, bo dzwoniła do panny Hartnell, która mieszka obok doktora i wiedziałaby, gdyby pani Lestrangle tam przyszła.

— To zagadka dla mnie — powiedziałem — w jaki sposób tutejsi ludzie w ogóle pobierają pożywienie. Spożywają chyba posiłki stojąc przy oknie, żeby na pewno nic nie uszło ich uwagi.

— A to jeszcze nie wszystko — ciągnęła dalej Gryzelda, krztusząc się ze śmiechu. —

Dowiedziały się dokładnie, jak to jest „Pod Błękitnym Dzikim”. Doktor Stone i panna Cram mają pokoje obok siebie. Ale — Gryzelda podkreśliła swoje słowa ruchem palca wskazującego — te pokoje nie są połączone wewnętrznymi drzwiami!

— Musi to być dla wszystkich okropny zawód — powiedziałem.

Gryzelda wybuchnęła nową kaskadą śmiechu.

Czwartek zaczął się nieszczęśliwie. Dwie panie z mojej parafii wybrały akurat len ranek, żeby się pokłócić o sposób przyozdobienia kościoła. Wezwano mnie, żebym wystąpił w roli mediatora między dwiema starszymi damami, z których każda dosłownie trzęsła się z wściekłości. Gdyby sprawa nie była tak przykra, można by traktować ją jako bardzo interesujące zjawisko fizyczne.

Musiałem następnie udzielić napomnienia dwóm chłopcom z chóru, którzy notorycznie ssali karmelki podczas nabożeństw. Miałem niestety mgliste uczucie, że nie wypełniam tego obowiązku z należytych przekonaniem.

Potem nasz organista, który jest ogromnie drażliwy, obraził się i trzeba go było udobruchać.

Jeszcze później czworo moich parafian zbuntowało się otwarcie przeciwko pannie Hartnell, która przybiegła do mnie na skargę w istnym ataku furii.

Szedłem wreszcie do domu, kiedy spotkałem pułkownika Protheroe. Był w doskonałym humorze, ponieważ jako sędzia pokoju skazał właśnie trzech kłusowników.

— Stanowczość! — ryczał swoim tubalnym głosem. Jest przygłuchy i mówi głośno, jak to się zdarza osobom, które niedosłyszą. — Oto, co najważniejsze w dzisiejszych czasach — stanowczość! Trzeba dawać przykład! Ten łajdak Archer wyszedł wczoraj z więzienia i podobno przysięga, że się na mnie zemści. Bezczelny zbój! Od pogrózek nikt jeszcze nie umarł. Jak go następnym razem przyłapię w mojej bażantarni, to mu pokażę, co warta jego zemsta. Skutki pobłażania! Wszyscy jesteśmy w dzisiejszych czasach zbyt pobłażliwi! Ja jestem zwolennikiem mocnej ręki. Zawsze mi każą pamiętać o czyjejs tam żonie i dzieciach. Głupstwa! Bzdury! Dlaczego człowiek ma unikać konsekwencji swojego czynu? Tylko dlatego, że zaczyna płakać i opowiada o swojej żonie i dzieciach? Dla mnie bez różnicy, kto to jest — doktor, adwokat, pastor, kłusownik, pijak — jeżeli się go przyłapało na przekroczeniu przepisów prawnych, musi być ukarany. Chyba się ksiądz ze mną zgadza?

— Zapomina pan — odparłem — że powołanie moje każe cenić nade wszystko cnotę miłosierdzia.

— No, ja jestem tylko człowiekiem. Nikt temu nie zaprzeczy.

Nie odezwałem się, spytał więc ostro:

— Czemu ksiądz nie odpowiada? Nad czym się ksiądz tak zamyślił?

Zawahałem się, lecz rzekłem:

— Myślałem o tym, że byłoby to przykre, gdybym w godzinie sądu mógł się powoływać tylko na swoją sprawiedliwość. Bo mogłoby się zdarzyć, że mnie również potraktowano by tylko... z całą sprawiedliwością...

— Phi! Przydałby się nam Kościół wojujący. Ja uważam, że zawsze spełniam swój obowiązek. No, niniejsza o to. Będę dziś po południu na plebanii, jak zapowiedziałem. Ale jeśli to nie robi różnicy, przyjdę kwadrans po szóstej, zamiast o szóstej punkt. Muszę się jeszcze zobaczyć z kimś w miasteczku.

— Mnie to odpowiada.

Pułkownik odszedł wywijając laską. Odwróciłem się i stanąłem nos w nos z Hawesem. Wikary był tego ranka bardzo mizerny. Miałem zamiar napomnieć go łagodnie za różne sprawy z jego zakresu, które zaniedbał lub źle wykonał, ale widząc jego bladą, ściągniętą twarz, pomyślałem, że jest chyba chory.

Powiedziałem mu to. Wikary zaprzeczył, ale niezbyt stanowczo. Wyznał w końcu, że czuje się niezbyt dobrze, i sądziłem, że zgodnie z moją radą pójdzie do domu i położy się do łóżka.

Zjadłem naprędce obiad i poszedłem na wizyty. Gryzelda pojechała do Londynu zniżkowym pociągiem czwartkowym.

Wróciłem za kwadrans czwarta, mając zamiar opracować szkic kazania niedzielnego, ale Mary powiedziała mi, że pan Redding czeka na mnie w gabinecie.

Kiedy wszedłem przechadzał się tam i z powrotem. Twarz miał bladą i zatroskaną.

Odwrócił się gwałtownie na odgłos moich kroków.

— Proszę księdza proboszcza, przemyślałem wszystko, co mi ksiądz wczoraj mówił. Spędziłem bezsenność noc. Ma ksiądz proboszcz rację. Muszę stąd uciekać.

— Kochany chłopcze...



— Słuszne jest to, co ksiądz proboszcz mówił o Annie. Zostając tutaj, ściągnę tylko na nią nieszczęście. Jest... jest za dobra, abym mógł szukać innego wyjścia. Muszę wyjechać. I tak już utrudniłem jej sytuację.

— Powziął pan chyba jedyną właściwą decyzję — powiedziałem. — Wiem, że jest trudna, ale proszę mi wierzyć, w końcu okaże się, że tak jest dla wszystkich najlepiej.

Rozumiałem, co on myśli: łatwo to mówić komuś, kto nie ma o tym wszystkim pojęcia.

— Zaopiekuje się ksiądz proboszcz Anną? Potrzeba jej przyjaciela.

— Może pan być pewien, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

— Dziękuję. — Uścisnął mi rękę. — Dobry z księdza chłop. Pożegnaj się z nią dziś wieczorem, a jutro pewno się spakuję i odjazd. Nie warto przedłużać męki. Dziękuję też, że mi ksiądz proboszcz pozwolił malować w swojej szopie. Szkoda, że nie skończyłem portretu pani Gryzeldy.

— O to się proszę nic martwić, mój drogi chłopcze. Do widzenia i niech panu Bóg błogosławi.

Kiedy odszedł, próbowałem zabrać się do kazania, ale bez wielkiego powodzenia. Wciąż myślałem o Lawrensie i o Annie Protheroe.

Wypiłem szklankę wstrętnej herbaty, zimnej i czarnej jak atrament, po czym o pół do szóstej zadzwonił telefon. Zawiadomiono mnie, że pan Abbot z Lower Farm jest umierający i rodzina prosi, żebym natychmiast przyszedł.

Zadzwoniłem od razu do Starego Dworu, gdyż do Lower Farm jest blisko dwie mile i z pewnością nie zdążyłbym z powrotem na szóstą piętnaście. Nie zdołałem się dotąd nauczyć jeździć na rowerze.

W Starym Dworze odpowiedziano mi jednak, że pułkownik wyjechał już samochodem, ruszyłem więc w drogę, zostawiając za pośrednictwem Mary wiadomość, że mnie pilnie wezwano, ale postaram się być z powrotem na szóstą piętnaście albo niewiele później.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Było bliżej siódmej niż szóstej piętnaście, kiedy po powrocie znalazłem się przed bramą plebanii. Zanim zdążyłem ująć za klamkę furtki, ta rozwarła się i wyszedł z niej Lawrence Redding. Na mój widok stanął jak wryty, mnie zaś uderzył od razu jego dziwny wygląd. Sprawiał wrażenie człowieka, który za chwilę oszaleje. Miał błędne spojrzenie, był śmiertelnie blady i drżał na całym ciele.

Przeszło mi przez myśl, że jest pijany, ale odtrąciłem natychmiast to podejrzenie.

— Halo — przywitałem go. — Chciał się pan ze mną jeszcze raz zobaczyć? Żałuję, że mnie nie było. Proszę, niech pan ze mną wróci. Muszę zobaczyć się z pułkownikiem Protheroe w sprawie pewnych rachunków, ale przypuszczam, że to długo nie potrwa.

— Protheroe — powiedział Redding. Zaczął się naraz śmiać. — Protheroe? Ma się ksiądz proboszcz zobaczyć z pułkownikiem Protheroe? O. owszem zobaczy go ksiądz proboszcz. Mój Boże — zobaczy go ksiądz proboszcz, zobaczy!

Patrzyłem na niego zdumiony. Odruchowo wyciągnąłem do niego rękę. Odsunął się szybko na bok.

— Nie — krzyknął. — Muszę odejść... żeby się zastanowić. Muszę pomyśleć. Muszę pomyśleć.

Pobiegł szybko naprzód i zniknął na drodze do miasteczka, a ja stałem i patrzyłem za nim, myśląc znów, że jest chyba pijany.

W końcu potrząsnąłem głową i wszedłem na plebanię. Drzwi frontowe są zawsze otwarte, mimo to jednak zadzwoniłem. Ukazała się Mary, ocierając ręce o fartuch.

— Nareszcie ksiądz proboszcz wrócił — zauważyła.

— Pułkownik Protheroe przyszedł? — spytałem.

— Jest w gabinecie. Czeka od szóstej piętnaście.

— A pan Redding tu był?

— Przyszedł kilka minut temu. Pytał o księdza proboszcza. Powiedziałam mu, że ksiądz proboszcz wróci lada chwila i że pułkownik Protheroe czeka w gabinecie. Pan Redding powiedział, że zaczeka także i poszedł tam. Jest tam teraz.

— Nie, nie ma go — powiedziałem. — Właśnie go spotkałem na drodze.

— No, ja w każdym razie nie słyszałam, jak wychodził. Nie mógł być dłużej niż dwie minuty. Pani jeszcze nie wróciła z Londynu.

Skinąłem tylko z roztargnieniem głową. Mary wycofała się do kuchni, ja zaś przeszedłem przez korytarz i otworzyłem drzwi gabinetu.

Po mroku korytarza popołudniowe słońce, zalewające pokój, oślepiło mnie na moment. Zrobiłem parę kroków i stanąłem jak wryty.

Przez chwile nie docierało do mnie znaczenie widoku, który miałem przed sobą.

Pułkownik Protheroe z rozpostartymi rękami, oparty twarzą o blat mojego biurka, pólleżał na nim w nienaturalnej pozie. Przy jego głowie widniała kałuża jakiegoś ciemnego płynu, który ściekał kroplami na podłogę.

Wziąłem się w karby i podszedłem do niego. Dotknąłem ręki — była zimna. Podniosłem ją — opadła bezwładnie z powrotem. Pułkownik był martwy, miał przestrzeloną głowę.

Podszedłem do drzwi i zawołałem Mary. Kiedy nadeszła, kazałem jej biec co sił w nogach po doktora Haydocka, który mieszkał tuż za zakrętem szosy. Powiedziałem jej, że zdarzył się wypadek.

Potem wróciłem do gabinetu, zamknąłem za sobą drzwi i czekałem na doktora.

Na szczęście Mary zastała go w domu. Haydock to zacny chłop, wysoki, barczysty mężczyzna o uczciwej, mocnej twarzy.

Podniósł brwi, kiedy bez słowa wskazałem w kierunku biurka. Ale jak przystało na lekarza, nie zdradzał wzruszenia. Pochylił się nad zmarłym i zbadał go szybko. Potem wyprostował się i spojrzał na mnie.

— No i co? — spytałem.

— Nie żyje... śmierć nastąpiła jakieś pół godziny temu.

— Samobójstwo?

— O samobójstwie nie może być mowy. Proszę spojrzeć, gdzie jest rana. Poza tym, jeżeli się sam zastrzelił, to gdzie jest broń?

Rzeczywiście, broni nie było nigdzie widać.

— Lepiej nic tu nie ruszajmy — powiedział Haydock. — Zadzwońię po policję.

Podniósł słuchawkę i połączył się z posterunkiem. Podał fakty możliwie jak najzwięźle. po czym odłożył słuchawkę i podszedł do mnie.

— Brzydka sprawa. Jak go ksiądz proboszcz znalazł?

Wyjaśniłem.

— Brzydka sprawa — powtórzył.

— Czy... czy to morderstwo? — spytałem dość słabym głosem.

— Na to wygląda. Bo cóż innego może to być? Niezwykła historia. Ciekaw jestem, kto miał na pieńku z biednym starcem. Wiem, oczywiście, że nie był lubiany, ale morderstwo rzadko popełnia się z tak błahego powodu jak antypatia.

— Jest w tym pewien dziwny szczegół — powiedziałem. — Dziś po południu wezwano mnie telefonicznie do umierającego. Kiedy tam poszedłem, wszyscy ogromnie się zdziwili. Chory ma się dzisiaj znacznie lepiej niż przez ostatnie kilka dni i żona przysięgała, że nikt mnie nie wzywał.

Haydock zmarszczył brwi.

— To znamienne, bardzo znamienne. Postarano się usunąć księdza proboszcza z domu. Gdzie jest pani Clement?

— Pojechała na kilka godzin do Londynu.

— A służąca?

— W kuchni — po drugiej stronie domu.

— Gdzie przypuszczalnie nie słyszała nic z tego, co się tu działo. Bardzo brzydka sprawa. Kto wiedział, że Protheroe ma tu być przed wieczorem?

— Wspominał o tym dziś na ulicy... jak zwykle na cały głos.

— A więc całe miasteczko wiedziało! Tu zresztą i tak zawsze wszystko wiedzą. Czy zna ksiądz proboszcz kogoś, kto miał do niego jakieś pretensje i żale?

Przed oczami stanęła mi blada twarz i biedny wzrok Lawrence'a Reddinga. Ale udało mi się nie odpowiedzieć, bo w tej chwili na korytarzu rozległy się ciężkie kroki.

— Policja — rzeki mój przyjaciel wstając.

Policję reprezentował posterunkowy Hurst. Znać było, że świadom jest własnej powagi, lecz jednocześnie czuje się mocno zaambarasowany.

— Dobry wieczór — rzeki. — Inspektor będzie tu za chwilę. Tymczasem muszę wykonywać jego instrukcje. Jak słyszałem, pułkownika Protheroe znaleziono nieżywego tutaj — na plebanii.

Urwał i skierował na mnie podejrzliwe spojrzenie, które starałem się wytrzymać z miną właściwą dla człowieka niewinnego.

Hurst podszedł do biurka i oznajmił:

— Nie wolno nic dotykać, póki nie nadejdzie inspektor. Hurst wyjął notes, poślinił ołówek i spojrzał wyczekująco na nas obu.

Powtórzyłem opowiadanie o tym, jak znalazłem ciało. Posterunkowy zapisał wszystko, co zajęło sporo czasu, po czym zwrócił się do doktora.

— Panie doktorze, co zdaniem pana spowodowało śmierć?

— Postrzał w głowę z bliskiej odległości.

— Jaka broń?

— Nie mogę powiedzieć na pewno, dopóki nie wyjmemy kuli. Ale kula pochodziła prawdopodobnie z pistoletu małego kalibru — jak, na przykład, mauzer 25.

Drgnąłem, przypomniała mi się bowiem wczorajsza rozmowa, podczas której Redding przyznał się, że ma pistolet. Posterunkowy skierował na mnie swoje okrągłe, rybie oczy.

— Ksiądz coś mówił?

Zaprzeciłem ruchem głowy. Były to przecież tylko podejrzenia, mogłem je więc zachować dla siebie.

— Kiedy, zdaniem pana, miała miejsce tragedia?

Doktor rzekł po chwili wahania:

— Pułkownik nie żyje od pół godziny. Na pewno nie dłużej.

Hurst zwrócił się do mnie.

— Czy dziewczyna coś słyszała?

— O ile mi wiadomo nie słyszała nic. Ale niech pan sam ją zapyta.

W tej chwili jednak wszedł inspektor Slack. Przyjechał samochodem z odległego o dwie mile miasteczka Much Benham.

O inspektorze Slacku mogę powiedzieć tylko tyle, że nigdy jeszcze człowiek nie starał się z taką determinacją zaprzeczyć swemu nazwisku\*. Był to energiczny brunet o czarnych oczach, które nieustannie ciskały iskry. Zachowanie miał szorstkie i apodyktyczne w najwyższym stopniu.

Odpowiedział na nasze powitanie krótkim skinieniem głowy, chwycił notes podwładnego, przejrzał go szybko, półgłosem zamienił z Hurstem kilka słów po czym podszedł do zwłok.

— Pewnie tu wszystko już poprzesuвано i poprzewracano — rzucił.

— Niczego nie dotykałem — powiedział Haydock.

— Ani ja — dodałem.

Inspektor przez dłuższą chwilę przyglądał się przedmiotom leżącym na stole i kałuży krwi.

— A-a! — zawołał wreszcie z tryumfem. — Mamy już coś, czego nam potrzeba! Padając pułkownik przewrócił zegar. Pozwoli nam to ustalić czas zbrodni. Dwadzieścia dwie po szóstej. Panie doktorze, o której podług pana nastąpiła śmierć?

— Ja powiedziałem, że przed pół godziną, ale... Inspektor spojrzał na swój zegarek.

— Pięć po siódmej. Dostałem wiadomość jakieś dziesięć minut temu, czyli za pięć siódma. Pana zdaje się wezwano natychmiast. Dokonał pan oględzin, powiedzmy, za dziesięć... Ależ to się zgadza niemal co do sekundy!

— Nie mogę ręczyć za ścisłą godzinę — powiedział Haydock. — Oceniam tylko w przybliżeniu.

— Wystarczy, proszę pana, wystarczy. Spróbowałem wtrącić słówko.

— Jeśli chodzi o ten zegar...

— Bardzo księdza proboszcza przepraszam, ale jeśli będę się chciał czegoś dowiedzieć, sam o to zapytam. Czas nagli. Prosiłbym o zupełną ciszę.

— Owszem, ale chciałbym powiedzieć panu...

— O absolutną ciszę — rzekł inspektor, ciskając mi gniewne spojrzenie.

Usłuchałem.

Inspektor wciąż rozglądał się po biurku.

— Po co on tu siedział? — mruknął. — Może chciał napisać list. O, a to co?

Podniósł z tryumfem kartkę papieru listowego. Był tak zadowolony z jej znalezienia, że pozwolił nam podejść bliżej i obejrzeć ją wspólnie z nim.

Był to papier listowy plebanii, u góry widniała godzina: 6.20.

Szanowny księże proboszczu! — zaczynał się list. — Przykro mi, że nie mogę dłużej czekać, ale muszę jeszcze...

Tu pismo kończyło się krzywą, nieregularną linią.

— Jasne jak dzień — stwierdził z tryumfem inspektor Slack. — Siedział tu i pisał ten list, kiedy zbrodniarz zakradł się przez okno i zastrzelił go. Czego trzeba więcej?

— Chciałem tylko powiedzieć... — zacząłem.

— Proszę się odsunąć. Chcę zobaczyć, czy nie ma śladów stóp.

Ukląkł i na czworakach poczołgał się do otwartego okna.

— Sądzę, że powinien pan wiedzieć... — zacząłem znów uparcie.

Inspektor wstał. Mówił bez gniewu, lecz stanowczo.

— Zajmiemy się tym później. Będę obowiązany, jeśli panowie raczą opuścić pokój. Raz, dwa, jeśli łaska.

Daliśmy się przepędzić jak małe dzieci.

Zdawało się, że upłynęły już godziny — a było dopiero kwadrans po siódmej.

— No — powiedział Haydock — dość tego. Jeżeli ten zarozumiały osioł będzie chciał ze mną mówić, może go ksiądz przysłać do mojego ambulatorium. Tymczasem do widzenia.

— Pani już wróciła — oznajmiła Mary, wyłaniając się na chwilę z kuchni. Oczywiście miała zaokrąglone z podniecenia. — Przyjechała jakieś pięć minut temu.

Zastałem Gryzeldę w salonie. Minę miała wystraszoną, ale zarazem podnieconą.

Opowiedziałem jej wszystko. Słuchała uważnie.

— W nagłówku listu podana jest godzina szósta dwadzieścia — zakończyłem. — A zegar przewrócił się i stanął na szóstej dwadzieścia dwie.

— Tak — rzekła Gryzelda. — Ale czyś mu powiedział, że ten zegar zawsze się śpieszy o kwadrans?

— Nie — odparłem. — Nie powiedziałem mu. Nie pozwolił mi. Robiłem co mogłem, ale mi nie dał dojść do słowa.

Gryzelda ściągnęła brwi i zastanawiała się nad czymś.

— Słuchaj. Len — powiedziała wreszcie — przecież wobec tego cała rzecz jest zupełnie bez sensu. Bo jeżeli ten zegar wskazywał dwadzieścia po szóstej, to w rzeczywistości było dopiero pięć po szóstej, a o godzinie pięć po szóstej pułkownik Protheroe pewnie wcale tu jeszcze nie przyszedł.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zastanawialiśmy się przez dłuższą chwilę nad sprawą zegara, nie doszliśmy jednak do żadnych wniosków. Gryzelda twierdziła, że powinienem jeszcze raz postarać się powiedzieć o tym inspektorowi, ja jednak już się uparłem.

Inspektor Slack potraktował nas w sposób niesłychanie i całkiem niepotrzebnie niegrzeczny. Postanowiłem więc teraz poczekać na odpowiednią chwilę, kiedy będę mógł wystąpić ze swoją cenną wiadomością tak, aby pognębić pana Slacka. Wyobrażałem sobie, że powiem wówczas tonem łagodnej wymówki:

— Gdyby mnie pan wysłuchał...

Spodziewałem się, że pożegna się ze mną przynajmniej przed opuszczeniem domu, ale ku naszemu zdumieniu dowiedzieliśmy się od Mary, że odjechał, zamknąwszy uprzednio na klucz drzwi gabinetu i nakazawszy, aby; nikt nie śmiał tam wchodzić.

Gryzelda oznajmiła, że pójdzie do Starego Dworu.

— Dla Anny Protheroe to wszystko musi być okropne... policja i tak dalej — powiedziała. — Może będę mogła w czymś jej pomóc.

Poparłem ten plan z całego serca, Gryzelda więc wyruszyła. Prosiłem ją, żeby zatelefonowała do mnie, jeżeli uzna, iż mogę służyć radą lub pomocą żonie albo córce pułkownika.

Usiadłem przy telefonie i zacząłem telefonować do nauczycieli szkółek niedzielnych. Mieli przyjść o siódmej czterdzieści pięć na cotygodniową lekcję przygotowawczą, ale pomyślałem, że w tych warunkach lepiej będzie lekcję odwołać.

Następnie zjawił się Dennis, który właśnie wrócił z tenisa. Fakt, że na plebanii miało miejsce zabójstwo, najwyraźniej ucieszył go ogromnie.

— Nareszcie jestem w domu, w którym popełniono morderstwo! — zawołał. — Zawsze o tym marzyłem. Dlaczego policja zamknęła gabinet? Może tam pasuje klucz od jakichś innych drzwi?

Nie pozwoliłem na żadne próby tego rodzaju i Dennis ustąpił, choć bardzo niechętnie.

Wypytywałem mnie o wszystkie możliwe szczegóły, po czym udał się do ogrodu, aby szukać śladów stóp. Na odchodnym stwierdził wesoło:

— Cale szczęście, że to tylko stary Protheroe, którego nikt nie lubił.

Raził mnie jego wesoły cynizm, pomyślałem sobie jednak, że być może sędzę go zbyt surowo. Dla chłopca w wieku Dennisa powieść kryminalna jest jedną z największych przyjemności w życiu, gdy więc znajduje we własnym domu prawdziwą powieść kryminalną wraz ze wszystkimi akcesoriami, jak zwłoki itp., czuje się w siódmym niebie. Śmierć bardzo niewiele znaczy dla szesnastoletniego chłopca.

Gryzelda wróciła po godzinie. Widziała się z Anną Protheroe zaraz po tym, jak inspektor zawiadomił ją o śmierci jej męża.

Dowiedziawszy się, że pani Protheroe ostatni raz widziała męża w miasteczku mniej więcej za kwadrans szósta i nie może nic powiedzieć w sprawie zabójstwa, inspektor odjechał, nadmieniając, że wróci nazajutrz na bardziej szczegółową rozmowę.

— Na swój sposób zachował się całkiem przyzwoicie — przyznała niechętnie Gryzelda.

— Jak pani Protheroe to przyjęła? — spytałem.

— Prawie się nie odzywała... ale ona nigdy dużo nie mówi.

— Tak — powiedziałem — nie mogę sobie wyobrazić Anny Protheroe w ataku histerycznym.

— Oczywiście widać było, że to dla niej straszny wstrząs. Podziękowała mi za przyjście i powiedziała, że bardzo to ładnie z mojej strony, ale poza tym nic tam nie miałam do roboty.

— A jak Letycja?

— Poszła gdzieś na tenisa i nie wróciła jeszcze do domu.

Zapadło milczenie, po czym Gryzelda powiedziała:

— Wiesz, Len, zachowywała się bardzo dziwnie... bardzo dziwnie.

— Taki wstrząs — zauważyłem w formie wyjaśnienia.

— Tak... chyba... A jednak... — Gryzelda zmarszczyła brwi. — Sprawiało to inne wrażenie. Wydała mi się nie tyle wstrząśnięta, co... przerażona...

— Przerazona?

— Tak... chociaż starała się to ukryć, rozumiesz. Ale wyraz oczu miała... czujny... jakby się miała na bacności. Ciekawa jestem, czy się nic domyśla, kto zabił pułkownika. Pytała raz po raz, kogo się podejrzewa.

— Tak? — powiedziałem z namysłem.

— Tak, wciąż o to pytała. Oczywiście Anna panuje nad sobą w sposób niezwykły, ale widać było, że jest niesłuchanie przejęta. Bardziej niżbym przypuszczała, bo przecież nie kochała go znów tak gorąco... Powiedziałabym nawet, że go wręcz nie lubiła.

— Śmierć wpływa często na zmianę uczuć — zauważyłem.

— Może masz rację.

Wszedł Dennis, niesłuchanie podniecony śladem stopy, który znalazł na jednym z klombów. Pewien był, że policja go przeoczyła i że ślad ten okaże się punktem zwrotnym w dochodzeniu.

Spędziłem niespokojną noc. Dennis wstał o świcie i wyszedł z domu na długo przed śniadaniem, żeby dowiedzieć się „ostatnich nowin”, jak mówił.

Mimo to nie on, lecz Mary przyniosła nam najświeższe sensacje.

Usiedliśmy właśnie do śniadania, kiedy wpadła do pokoju zarumieniona, z błyszczącymi oczyma i zwróciła się do nas ze zwykłą bezceremonialnością.

— Kto by to pomyślał! Słyszałam właśnie od piekarza — aresztowano pana Reddinga!

— Aresztowano Lawrence'a! — zawołała z niedowierzaniem Gryzelda. — Niemożliwe! Jakaś głupia pomyłka!

— Żadna pomyłka, proszę pani — upierała się Mary w ekstazie. — Pan Redding sam poszedł na posterunek i oddał się w ręce policji. Jeszcze wczoraj wieczorem. Poszedł tam, cisnął pistolet na stół. — „To ja zabiłem” — powiada. I tyle!

Spojrzała na nas oboje, pokiwała z przejęciem głową i wycofała się, zadowolona z uzyskanego efektu. Gryzelda i ja patrzyliśmy na siebie w osłupieniu.

— To nieprawda — powiedziała wreszcie Gryzelda.

— To nie może być prawda.

Zwróciła uwagę na moje uporczywe milczenie, spytała więc:

— Len, nie myślisz chyba, że to prawda?

Trudno mi było odpowiedzieć. Siedziałem w milczeniu, a myśli wirowały w mojej głowie.

— Chyba oszalał — powiedziała Gryzelda. — Oszalał z kretesem. Albo może razem oglądali broń i pistolet nagle wystrzelił.

— To się wydaje mało prawdopodobne.

— Ależ to musiał być jakiś wypadek. Bo nie ma cienia powodu. Cemu Lawrence miałby żabić pułkownika Protheroe?

Mogłem odpowiedzieć na to pytanie w sposób całkiem niedwuznaczny, pragnąłem jednak oszczędzać Annę Protheroe, dopóki się da. Być może imię jej w ogóle nie padnie z niczyich ust.

— Pamiętaj, że się pokłócili — powiedziałem.

— O Letycję i jej kostium kąpielowy! Owszem, ale to przecież śmieszne. A nawet gdyby Lawrence był potajemnie zaręczony z Letycją, to jeszcze nie powód, żeby zabijać jej ojca.

— Nic znamy faktów. Gryzeldo.

— Widzę, że ty w to wierzysz, Len! Ojej, jak możesz! Powiadam ci — jestem przekonana, że Lawrence palcem nawet nie tknął pułkownika.

— Pamiętaj, że spotkałem Reddinga przed bramą. Sprawiał wrażenie człowieka obłąkanego.

— Owszem, ale... Nie, to niepodobieństwo!

— A jeszcze jest sprawa zegara — dodałem. — To by ją tłumaczyło. Lawrence musiał cofnąć zegar na szóstą dwadzieścia sądząc, że w ten sposób uzyska dla siebie alibi. Patrz, jak inspektor Slack wpadł w tę pułapkę.

— Mylisz się, Len. Lawrence wiedział, że zegar nastawiony jest o piętnaście minut naprzód. „Żeby proboszcz się nie spóźniał” — powiadał. Lawrence nie popełniłby takiej pomyłki, żeby

cofnąć go na szóstą dwadzieścia dwie. Nastawiłby wskazówki inaczej — na szóstą czterdzieści pięć.

— Mógł nie wiedzieć, o której Protheroe tu przyszedł. Albo mógł po prostu zapomnieć, że zegar się spieszy.

Gryzelda nie zgadzała się ze mną.

— Nie! Kiedy się popełnia morderstwo, już się na takie rzeczy bardzo uważa.

— Nie wiesz przecież, kochanie — powiedziałem łagodnie — boś nigdy nikogo nie zamordowała.

Zanim Gryzelda zdążyła odpowiedzieć, jakiś cień padł na stół i delikatny głos powiedział:

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Muszą mi państwo wybaczyć. Ale w tych okolicznościach... w tych bardzo smutnych okolicznościach...

Była to nasza sąsiadka, panna Marple. W odpowiedzi na nasze uprzejme pomruki weszła przez drzwi ogrodowe, a ja przysunąłem jej krzesło. Była lekko zarumieniona i niezmiernie podniecona.

— Okropne, co? Biedny pułkownik Protheroe. Niezbyt miły człowiek i niezbyt lubiany, niemniej jednak to straszna historia. I zabito go podobno w gabinecie proboszcza?

Odparłem, że istotnie tak się rzecz miała.

— Ale kochanego proboszcza podówczas nie było w domu? — pytała Gryzeldę panna Marple.

Wyjaśniłem, gdzie się znajdowałem.

— Pan Dennis nie je dziś z państwem śniadania? — zauważyła panna Marple, rozglądając się wokół.

— Dennis — rzekła Gryzelda — wyobraża sobie, że jest detektywem. Znalazł ślad stopy na jednym z klombów, jest tym ogromnie przejęty i poszedł, zdaje się, donieść o tym policji.

— Pomyśleć tylko — powiedziała panna Marple. — Takie zamieszanie, prawda? A pan Dennis sądzi, że wie, kto popełnił zbrodnię. Cóż, wszystkim nam się pewno zdaje, że wiemy.

— Chce pani powiedzieć, że to oczywiste — spytała Gryzelda.

— Nie, złotko, wcale nie to chciałam powiedzieć. Każdy pewno ma na myśli kogoś całkiem innego. Dlatego właśnie dowody są takie ważne. Ja, na przykład, jestem święcie przekonana, że wiem, kto zabił, muszę jednak przyznać, że nie mam cienia dowodu. A w takich chwilach trzeba być bardzo ostrożnym — bo to się chyba nazywa zniesławienie czy oszczerstwo, prawda? Postanowiłam sobie, że będę bardzo ostrożna z panem inspektorem Slackiem. Zapowiedział, że odwiedzi mnie dziś rano, ale teraz przed chwilą powiadomił mnie telefonicznie, że to się okazało zbędne.

— Przypuszczalnie wobec aresztowania jest to już niepotrzebne — wtrąciłem.

— Wobec aresztowania? — Panna Marple pochyliła się do przodu, policzki jej zarumieniły się jeszcze bardziej. — Nie wiedziałam, że kogoś aresztowano.

Tak rzadko się zdarza, aby panna Marple była gorzej poinformowana ode mnie, że nie wątpię, iż zna już ostatnie nowiny.

— Widzę, że muszę coś wyjaśnić — zauważyłem.

— Owszem, aresztowano już kogoś — Lawrence'a Reddinga.

— Reddinga? — panna Marple zdziwiła się szczerze.

— A ja myślałam raczej...

Gryzelda przerwała jej gwałtownie.

— Ja dalej nie mogę w to uwierzyć, mimo że się sam przyznał.

— Przyznał się? — powtórzyła panna Marple. — Powiada pani, że się przyznał? Mój Boże!

Widzę, że się bardzo myliłam... tak, bardzo się myliłam.

— Nie mogę się oprzeć uczuciu, że to musiał być nieszczęśliwy wypadek — nalegała Gryzelda.

— Nie sądzisz, Len? Fakt, że Lawrence sam oddał się w ręce policji, na to wskazuje.

Panna Marple znów pochyliła się do przodu.

— Sam oddał się w ręce policji, mówi pan?

— Tak.

- Och! — Odetchnęła głęboko panna Marple. — Jakże się cieszę! Patrzyłem na nią zaskoczony.
- Sądzę, że to dowodzi szczerego żalu — powiedziałem.
- Żalu? — Teraz z kolei zdziwiła się panna Marple.
- Ale kochany, drogi proboszczu, nie sądzi chyba proboszcz, że on jest mordercą? Spojrzałem na nią, nic nie rozumiejąc.
- Skoro się przyznał...
- Owszem, ale to właśnie dowodzi, że nie ma ze zbrodnią nic wspólnego. Prawda?
- Nie — odparłem — nieprawda. Może jestem tępy, ale w żaden sposób nie rozumiem, czemu to ma dowodzić jego niewinności. Jeżeli się nie popełniło morderstwa, to po co by się miało udawać, że się je popełniło.
- No, są do tego powody — odparła panna Marple.
- Naturalnie. Nic się nie dzieje bez powodu, prawda? A młodzi ludzie są tak popędliwi i często skłonni przypuszczać najgorsze.
- Zwróciła się do Gryzeldy.
- Zgadza się pani ze mną?
- N-nie... n-nie wiem... — rzekła Gryzelda. — Sama nie wiem. co myśleć. Nie widzę powodu, dla którego Lawrence miałby się zachowywać jak skończony kretyn.
- Gdyby widziała pani wczoraj jego twarz... — zacząłem.
- Proszę, proszę mi opowiedzieć — zawołała panna Marple.
- Opisałem powrót do domu. Panna Marple słuchała uważnie.
- Kiedy skończyłem, rzekła:
- Wiem, że bywam często niemądra i nie patrzę na rzeczy tak, jak bym powinna, ale doprawdy nie podzielałam punktu widzenia księdza proboszcza. Wydaje mi się, że gdyby jakiś młodzieniec zdecydował się na wielki grzech, jakim jest pozbawienie życia bliźniego, toby się nie wydawał zrozpaczony i bliski obłądu. Byłoby to zabójstwo z premedytacją, dokonane na zimno, i chociaż morderca byłby może nieco zdenerwowany i mógłby popełnić jaką drobną pomyłkę, nie sądzę jednak, żeby miał być aż tak wzburzony, jak ksiądz to opisuje. Trudno oczywiście postawić się na jego miejscu, ale nie wyobrażam sobie, żebym nawet ja była aż tak podniecona po czynie.
- Nie znamy okoliczności — powiedziałem. — Jeżeli się pokłócili, Lawrence być może wystrzelił pod wpływem afektu, a potem przeraził się tego, co zrobił. Jeśli mam być szczerzy, wolałbym, żeby tak właśnie było.
- Drogi proboszczu, częstokroć wolimy patrzeć na rzeczy w takim lub innym świetle, ale musimy się liczyć z faktami. A nie wydaje mi się, żeby można było te fakty interpretować w taki sposób, jak ksiądz proboszcz to czyni. Mary stwierdziła stanowczo, że pan Redding był na plebanii zaledwie parę minut, zbyt więc krótko, aby mogła wyniknąć taka wielka kłótnia. Poza tym pułkownik podobno dostał postrzał w tył głowy w trakcie pisania listu — tak przynajmniej mówiła mi moja służąca.
- To prawda — rzekła Gryzelda. — Pisał, że nie może dłużej czekać. Na kartce oznaczona była godzina szósta dwadzieścia, a zegar stojący na biurku przewrócił się i zatrzymał na szóstej dwadzieścia dwie i to właśnie jest dla Lena i dla mnie zagadką.
- Wyjaśniła, że mamy zwyczaj nastawiać ten zegar o piętnaście minut naprzód.
- Bardzo ciekawe — stwierdziła panna Marple. — Bardzo, bardzo ciekawe. Ale ta kartka wydaje mi się jeszcze bardziej osobliwa. Bo...
- Urwała i obejrzała się. Za oknem stała Letycja Protheroe. Weszła, ukloniła się nam i bąknęła:
- Dzień dobry.
- Opadła na krzesło i powiedziała z nieco większym ożywieniem niż zazwyczaj:
- Słyszałam, że aresztowano Lawrence'a
- Tak — odrzekła Gryzelda. — To dla wszystkich wielki wstrząs.



— Nigdy nie przypuszczałam, że ktoś naprawdę ojca zamorduje — powiedziała Letycja. Najwidoczniej szczyciła się tym, że nie okazuje wcale wzruszeni a, żalu czy jakiegokolwiek innego uczucia. — Chociaż mnóstwo ludzi chciało go zabić. Bywały chwile, kiedy sama bym go chętnie zabiła.

— Może coś zjesz albo napijesz się czegoś, Letycjo? — spytała Gryzelda.

— Nie, dziękuję bardzo. Wstąpiłam tylko, żeby zobaczyć, czy tu nie ma gdzieś mojego beretu — taki dziwaczny, żółty berecik. Mam wrażenie, że parę dni temu zostawiłam go tu w gabinecie.

— Jeżeli go zostawiłaś, to na pewno dalej tam jest — zapewniła ją Gryzelda. — Mary nigdy nic nie sprząta.

— Pójdę zobaczyć — oświadczyła Letycja wstając.

— Przepraszam, że sprawiam tyle kłopotu, ale jakoś nic mam już nic na głowę — wszystko pogubiłam.

— Niestety nie możesz teraz go odebrać — powiedziałem. — Inspektor Slack zamknął pokój na klucz.

— A to pech! Czy nie możemy się dostać przez okno?

— Niestety, nie. Okno jest zaryglowane od wewnątrz. A zresztą, Letycjo, po co ci teraz żółty beret?

— Księdzu proboszczowi chodzi o żałobę i tak dalej? Nie będę sobie zawracała głowy żałobą. Piekielnie przestarzały zwyczaj. Szkoda, że się tak stało z Lawrence'em, wielka szkoda.

Podniosła się z krzesła i stała zamyślona marszcząc brwi.

— Obawiam się, że to wszystko przeze mnie i przez ten mój kostium kąpielowy. Taka bzdura...

Gryzelda otworzyła już usta, żeby coś powiedzieć, ale z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu zamknęła je znowu. Wargi Letycji wygięły się w dziwnym uśmiechu.

— Pójdę chyba do domu — powiedziała — i powiem Annie, że Lawrence'a aresztowano.

Wyszła znów przez okno. Gryzelda zwróciła się do panny Marple.

— Czemu nadepnęła mi pani na nogę? Stara dama uśmiechnęła się.

— Zdawało mi się, że chce pani coś powiedzieć, moje złotko. A częstokroć lepiej jest zostawić rzeczy własnemu biegowi. Bo wie pani, ta dziewczyna moim zdaniem nie jest ani przez pół taką sensatką, jaką udaje. Bardzo dobrze wie, czego chce, i postępuje zgodnie z planem.

Mary zapukała głośno do drzwi stołowego i natychmiast weszła.

— O co chodzi? — spytała Gryzelda. — Proszę cię, Mary, pamiętaj, żebyś nie pukała do drzwi. Już ci o tym mówiłam. :

— Myślałam, że może państwo są zajęci — oświadczyła Mary. — Przyszedł pułkownik Melchett. Chce się zobaczyć z księdzem proboszczem.

Pułkownik Melchett jest naczelnikiem policji całego hrabstwa. Wstałem od razu.

— Myślałam, że nie będzie ksiądz proboszcz zadowolony, jak go zostawię w holu, więc go zaprowadziłam do salonu — ciągnęła dalej Mary. — Czy mam sprzątnąć?

— Jeszcze nie — odrzekła Gryzelda. — Zadzwoń. Zwróciła się znów do panny Marple, a ja wyszedłem z pokoju.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pułkownik Melchett jest to drobny, starannie ubrany pan, który ma zwyczaj prychać nagle i niespodziewanie. Ma rude włosy i przenikliwe, jasnoniebieskie oczy.

— Dzień dobry, księżu proboszczu — rzekł — Ohydna historia, co? Biedak Protheroe. Nie żebym go lubił. Wcale nie. Nikt go zresztą nie lubił, jeśli chodzi o ścisłość. Dla księdza też kupa nieprzyjemności. Mam nadzieję, że pani się za bardzo nie przejęła.

Odparłem, że Gryzelda trzyma się bardzo dobrze.

— To szczęśliwie. Żeby też coś takiego zdarzyło się w waszym domu. Muszę powiedzieć, że dziwię się Reddingowi, że zrobił to tutaj. Żadnego poszanowania dla uczuć innych osób.

O mało nie roześmiałem się na głos, ale się pohamowałem, bo pułkownik Melchett nie widział widocznie nic zabawnego w wypowiedzianym przez siebie zdaniu.

— Muszę powiedzieć, że byłem zaskoczony, kiedy się dowiedziałem, że Redding sam oddał się w ręce władz — ciągnął dalej pułkownik Melchett, opadając na krzesło.

— Jak to się właściwie stało?

— Wczoraj wieczorem. Około dziesiątej. Gość wtacza się, rzuca na stół pistolet i powiada: „Oto jestem. To ja zabiłem”. Po prostu.

— Co mówi o całej sprawie?

— Bardzo niewiele. Ostrzeżono go oczywiście, że wszystko, co powie, może być użyte przeciwko niemu. Ale roześmiał się tylko. Powiedział, że przyszedł tutaj, żeby się zobaczyć z księdzem i spotkał pułkownika Protheroe. Od słowa do słowa wybuchła kłótnia, no i zabił go. Nie chce powiedzieć, o co poszło. Niech no ksiądz proboszcz posłucha — mówiąc między nami — czy ksiądz coś o tym wie? Słyszałem jakieś plotki — że Protheroe wypowiedział mu dom i tak dalej. Co to było — chłopak uwiódł mu córkę, czy jak? Ze względu na wszystkie osoby zainteresowane, nie chcielibyśmy wciągać w to dziewczyny. Czy o to chodziło?

— Nie — odrzekłem. — Mogę pana zapewnić, że chodziło o coś zupełnie innego, ale na razie nie mogę powiedzieć nic więcej.

Pułkownik Melchett skinął głową i wstał.

— Rad jestem, że to słyszę. Krąży moc pogłosek. W ogóle w tej części świata jest za dużo kobiet. No, muszę iść. Mam się zobaczyć z Haydockiem. Wezwano go gdzieś do chorego, ale powinien już teraz być w domu. Przyznam, że żał mi Reddinga. Sprawiał na mnie wrażenie porządnego chłopca. Może adwokaci wymyślą dla niego jakąś obronę. Skutki wojny, kontuzja, czy coś w tym rodzaju. Zwłaszcza jeżeli nie wypłynie jakiś wyraźny powód zabójstwa. Pójdzie ksiądz ze mną?

Odparłem, że pójdę chętnie, i wyszliśmy razem.

Dom Haydocka sąsiaduje z moim. Służąca powiedziała, że doktor przed chwilą wrócił, i wprowadziła nas do jadalni, w której Haydock siedział nad parującym talerzem jajek na boczku.

Przywitał mnie uprzejmym ukłonem.

— Przykro mi, że musiałem wyjść. Poród. A całą noc prawie nie spałem, bo zajęty byłem waszą sprawą. Wydostałem kulę.

Posunął ku nam małe pudełeczko. Melchett obejrzał kulę.

— Kaliber dwadzieścia pięć?

Haydock potwierdził skinieniem głowy.

— Zostawię techniczne szczegóły na rozprawę — powiedział. — Pana obchodzi tylko to, że śmierć nastąpiła od razu. Głupi szczeniak, po co on to zrobił? Nawiasem mówiąc, zdumiewające, że nikt nie słyszał strzału.

— Tak — rzekł Melchett — to mnie dziwi.

— Okno kuchenne wychodzi na drugą stronę domu — powiedziałem. — Jeżeli wszystkie wewnętrzne drzwi były pozamykane, wątpię, czy można było coś usłyszeć, a w domu nie było nikogo oprócz służącej.

— Hm, mimo wszystko to dziwne — powiedział Melchett. — Ciekawe, że ta starsza pani — jak to ona się nazywa? — panna Marple — nie słyszała strzału. Okno gabinetu było otwarte.

— Może słyszała — zauważył Haydock.

— Wątpię — odparłem. — Była już dzisiaj na plebanii, ale o niczym podobnym nie wspominała, a jestem pewien, że nie pominęłaby milczeniem tak interesującego faktu.

— Może słyszała i nie zwróciła uwagi... myślała, że w jakimś samochodzie pękła opona.

Zwróciłem uwagę, że Haydock ma dzisiaj znacznie weselszą minę. Wyglądał jak człowiek, który ze względów przyzwoitości stara się ukryć, że jest w wyjątkowym wprost humorze.

— A może rewolwer był z tłumikiem? — dodał. — To całkiem możliwe. W takim razie nikt by niczego nie słyszał.

Melchett potrząsnął głową.

— Slack nie znalazł tłumika i pytał o to Reddinga, a Redding z początku w ogóle nie wiedział, o co go pytają, a potem oświadczył stanowczo, że niczego takiego nie użył. Myślę, że można mu wierzyć.

— Tak. Biedaczysko!

— Głupi szczeniak — powiedział pułkownik Melchett.

— Słowo daję! Jakoś nie mogę się przyzwyczaić do myśli, że jest mordercą.

— A jaki powód? — spytał Haydock, dopijając ostatni łyk kawy i odsuwając krzesło.

— Mówi, że się pokłócili. Podczas kłótni stracił głowę i strzelił do pułkownika.

— Ma nadzieję, że uznają to za zabójstwo w afekcie, co? — Doktor potrząsnął przecząco głową.

— Nic z tego. Redding zakradł się od tyłu, kiedy pułkownik pisał, i strzelił mu w łeb. Nie ma mowy o żadnej kłótni.

— W każdym razie nie było czasu na kłótnię — dodałem, przypomniawszy sobie słowa panny Marple.

— Miał ledwie tyle czasu, żeby zakraść się, zastrzelić pułkownika, cofnąć wskazówkę zegara na szóstą dwadzieścia i wyjść. Nie zapomnę nigdy jego twarzy, kiedy go spotkałem przed bramą, ani tonu, jakim powiedział: „Ksiądz proboszcz chce zobaczyć pułkownika... O, zobaczy go ksiądz na pewno!” Powinienem się być od razu domyślić, co przed chwilą zaszło.

Haydock wybałuszył na mnie oczy.

— Jak to — co przed chwilą zaszło? Kiedyż to, zdaniem księdza, Redding zastrzelił pułkownika?

— Na parę minut zanim wróciłem do domu. Doktor potrząsnął gwałtownie głową.

— Niemożliwe. Absolutnie niemożliwe. Pułkownik nie żył już od dłuższej chwili.

— Ależ drogi doktorze — zawołał pułkownik Melchett — sam pan powiedział, że podaje pan pół godziny w przybliżeniu.

— Pół godziny, trzydzieści pięć minut, dwadzieścia pięć minut — owszem, ale nie mniej. W przeciwnym razie ciało byłoby jeszcze ciepłe, kiedy przyszedłem.

Spojrzeliliśmy po sobie. Twarz Haydocka zmieniła się nagle — ściągnęła i poszarzała. Zdziwiła mnie ta zmiana.

— Ależ doktorze! — nalegał pułkownik. — Skoro Redding przyznaje się, że zabił go o godzinie szóstej czterdzieści pięć...

Haydock zerwał się na równe nogi.

— Powiadam wam, że to niemożliwe! — ryknął. — Jeżeli Redding twierdzi, że zabił pułkownika Protheroe o godzinie szóstej czterdzieści pięć, to znaczy, że kłamie. Do diabła ciężkiego, jestem lekarzem i wiem, co mówię. Krew zaczęła już krzepnąć.

— Jeżeli Redding kłamie... — zaczął Melchett. Urwał i potrząsnął głową.

— Najlepiej będzie, jeśli pójdziemy na posterunek i porozmawiamy z nim — rzekł.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Droga na posterunek upłynęła nam w milczeniu. Tylko Haydock w pewnej chwili zwolnił kroku i szepnął do mnie:

— Nie podoba mi się to wszystko. Jest w tej sprawie coś niezrozumiałego.

Znać było po nim troskę i niepokój.

Inspektor Slack był na posterunku, po chwili więc znaleźliśmy się twarzą w twarz z Lawrence'em Reddingiem.

Był blady, lecz opanowany — zdumiewająco opanowany, zważywszy okoliczności, pomyślałem sobie. Melchett prychał i chrząkał, wyraźnie zdenerwowany.

— Niech pan posłucha — zwrócił się do Reddinga — złożył pan zeznanie przed obecnym tu inspektorem Slackiem. Stwierdził pan, że przyszedł na plebanie około godziny szóstej czterdzieści pięć, zastał tam pułkownika Protheroe, pokłócił się z nim, zastrzelił go i wyszedł. Nie chcę odczytywać stenogramu, ale do tego się mniej więcej sprowadza pańskie zeznanie.

— Tak.

— Chcę zadać panu kilka pytań. Uprzedzono już pana, że nie ma pan obowiązku na nie odpowiadać, jeśli pan nie chce. Pański adwokat...

Lawrence przerwał mu.

— Nie mam nic do ukrywania. Zabiłem pułkownika Protheroe.

— Hm! No więc... — Melchett znowu prychnął — więc jak się to stało, że miał pan przy sobie pistolet?

Lawrence zawahał się.

— Po prostu miałem go w kieszeni.

— Zabrał go pan z sobą na plebanie?

— Tak.

— Po co?

— Zawsze noszę go przy sobie.

Znów zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi i poczułem pewność, że nie mówi prawdy.

— Dlaczego cofnął pan wskazówki zegara?

— Zegara?

Pytanie to jak gdyby zaskoczyło Reddinga.

— Tak, zegar wskazywał szóstą dwadzieścia dwie. Na twarzy Reddinga odbiło się przerażenie.

— Ach zegar... Tak, cofnąłem go...

Tu odezwał się nagle doktor Haydock:

— Gdzie pan wystrzelił?

— W gabinecie na plebanii.

— Chodzi mi o to, w jaką część ciała pułkownika pan mierzył?

— A... No... Chyba w głowę... Tak, w głowę.

— Nie jest pan tego pewien?

— Ponieważ pan i tak wie, nie widzę powodu, żeby mnie o to pytać.

W tej chwili za drzwiami dał się słyszeć jakiś ruch. Policjant bez hełmu wszedł niosąc list.

— Do księdza proboszcza. Z adnotacją „bardzo pilne”. Rozerwałem kopertę i przeczytałem.

Błagam, niech ksiądz proboszcz do mnie przyjdzie! Nic wiem, co mam robić. Wszystko to jest potworne. Chcę się komuś zwierzyć. Proszę przyjść natychmiast i przyprowadzić z sobą kogoś według własnego uznania.

Anna Protheroe.

Spojrzałem znacząco na Melchetta. Zrozumiał od razu. Wyszliśmy wszyscy. Obejrzałem się i dostrzegłem na moment Reddinga. Nie odrywał oczu od listu, który trzymałem w ręce. Nigdy chyba nie widziałem na twarzy ludzkiej wyrazu takiej udręki i rozpacz.

Przypomniałem sobie, jak Anna Protheroe mówiła, siedząc u mnie w gabinecie:

— Jestem doprowadzona do ostateczności...

Serce zaciężyło mi nagle jakby było z ołowiu. Zrozumiałem teraz, jaki powód może mieć Redding, żeby bohatercko wziąć na siebie winę...

Melchett rozmawiał z inspektorem.

— Czy coś panu wiadomo o tym, co Redding robił przed zabójstwem? Mamy powody, aby przypuszczać, że zabił pułkownika wcześniej, niż twierdzi. Niech pan to zbada z łaski swojej.

Zwrócił się do mnie i podałem mu bez słowa list Anny Protheroe. Przeczytał go i ze zdziwieniem wyduł wargi. Potem spojrzał na mnie pytająco.

— Czy o tym właśnie napomykał ksiądz dzisiaj?

— Tak. Nie byłem pewien, czy mam obowiązek powiedzieć. Teraz jestem pewien.

Następnie opowiedziałem mu, co tamtego wieczora widziałem w pracowni.

Pułkownik zamienił jeszcze kilka słów z inspektorem, po czym poszliśmy do Starego Dworu. Doktor Haydock poszedł z nami.

Drzwi otworzył kamerdyner o nienagannych manierach i przywitał nas z należytą powagą, bo przecież wchodziliśmy do domu okrytego żalobą.

— Dzień dobry — rzekł Melchett. — Zechce pan przez pokojówkę pani Protheroe zawiadomić ją, żeśmy przyszli i pragniemy z nią pomówić. Potem wróci pan tutaj i odpowie nam na kilka pytań.

Kamerdyner oddalił się szybko i powrócił po chwili oznajmiając, że wykonał polecenie.

— Teraz chcieliśmy ustalić kilka szczegółów dotyczących wczorajszego dnia — powiedział Melchett. — Pan pułkownik był w domu na obiedzie?

— Tak jest, proszę pana.

— W normalnym humorze?

— O ile zdołałem zauważyć, to tak, proszę pana.

— Co się zdarzyło potem?

— Po obiedzie pani Protheroe poszła się położyć, a pan pułkownik udał się do swojego gabinetu.

Panna Letycja pojechała małym samochodem na tenisa. O pół do piątej państwo Protheroe pili herbatę w salonie. Na piątą trzydzieści miał zajeżdżać samochód, żeby zawieźć ich do miasteczka. W chwilę po ich odjeździe zadzwonił ksiądz proboszcz. — Kamerdyner skłonił się w moim kierunku. — Powiedziałem, że państwo wyjechali.

— Hm — mruknął pułkownik Melchett. — Kiedy pan Redding ostatni raz był tutaj?

— We wtorek po południu, proszę pana.

— Zdaje się, że doszło do jakiejś sprzeczki?

— Owszem, proszę pana. Pułkownik wydał mi polecenie, abym na przyszłość nie wpuszczał pana Reddinga.

— Czy słyszał pan tę kłótnię? — zapytał wprost Melchett.

— Pan pułkownik Protheroe miał bardzo donośny głos, zwłaszcza kiedy się gniewał. Mimo woli musiałem słyszeć to i owo.

— Dość, aby zorientować się w przyczynie sporu?

— Odniosłem wrażenie, proszę pana, że chodziło o portret, który malował pan Redding... portret panny Letycji.

Melchett chrząknął.

— Widział pan pana Reddinga, kiedy wychodził?

— Tak jest, proszę pana, odprowadziłem go do drzwi.

— Czy był bardzo wzburzony?

— Nie, proszę pana. Jeśli wolno tak się wyrazić, wydawał się raczej rozbawiony.

— Aha! A wczoraj nie było go tutaj?

— Nie, proszę pana.

— Czy przychodził kto inny?

— Wczoraj nikt, proszę pana.

— No a przedwczoraj?

— Pan Dennis wstępował po południu. I doktor Stone bawił u pana pułkownika przez jakiś czas. I wieczorem była jakaś pani.

— Pani? — spytał ze zdziwieniem Melchett. — Co za pani?

Kamerdyner nie powiedział nazwiska. Była to pani, której nigdy dotychczas nie widział. Owszem, podała nazwisko, a kiedy ją poinformował, że państwo są przy kolacji, powiedziała, że zaczeka. Wprowadził więc ją do małego saloniku.

Pytała o pana pułkownika, nie o panią Protheroe. Kamerdyner zameldował panu pułkownikowi i zaraz po kolacji pan pułkownik udał się do saloniku.

Jak długo ta pani zabawiła w domu? Jakieś pół godziny. Pan pułkownik sam ją odprowadził do drzwi. Ach tak! Kamerdyner przypomniał sobie jej nazwisko — pani Lestrangle.

Wprawiło to nas wszystkich w zdumienie.

— Ciekawe — powiedział Melchett — doprawdy bardzo ciekawe.

Nie dyskutowaliśmy jednak dłużej na ten temat, gdyż w tej chwili zawiadomiono nas, że pani Protheroe nas oczekuje.

Anna leżała w łóżku. Była blada, a oczy jej mocno błyszczały. Uderzył mnie wyraz jej twarzy — wyraz posępnej determinacji.

Zwróciła się do mnie.

— Dziękuję bardzo księdzu proboszczowi, że tak szybko spełnił moją prośbę — rzekła. — Jak widzę, zrozumiał ksiądz proboszcz, co miałam na myśli pisząc, że proszę sprowadzić kogoś według swego uznania.

Przerwała na chwilę.

— Najlepiej będzie jak najprędzej to odbyć, prawda? — powiedziała. Uśmiechnęła się lekko, jakoś żałośnie.

— Właściwie powinnam się z tym zwrócić do pana, panie pułkowniku. Widzi pan, to ja zabiłam mojego męża.

— Droga pani... — zaczął ostrożnie pułkownik Melchett.

— O, niech się pan nie obawia, to jest prawda. Powiedziałam to prosto z mostu, bez wstępów i łez, ale taka już jestem — nie potrafię histeryzować. Nienawidziłam go od dawna i wczoraj go zabiłam.

Opuściła głowę na poduszkę i przymknęła oczy.

— To wszystko. Pewno mnie pan aresztuje i zabierze z sobą. Wstanę i ubiorę się za chwilę, kiedy poczuje się na siłach. Na razie trochę mi słabo.

— Proszę pani, czy wiadomo pani, że pan Lawrence Redding przyznał się już do popełnienia tej zbrodni? Anna otworzyła oczy i skinęła głową.

— Wiem. Niemądry chłopiec. Jest we mnie bardzo zakochany. To bardzo szlachetne z jego strony... ale też i bardzo niemądre.

— On wiedział, że to pani popełniła zbrodnię?

— Tak.

— Skąd się o tym dowiedział? Anna zawahała się.

— Pani mu powiedziała?

Anna wciąż się wahała. Wreszcie zdecydowała się.

— Tak... ja mu powiedziałam...

Wzruszyła lekko ramionami, jakby podrażniona.

— Czy nie mogą panowie teraz wyjść? Powiedziałam wszystko. Nie chce więcej o tym mówić.

— Skąd pani wzięła pistolet?

— Pistolet? Ach, to był pistolet mojego męża. Wyjęłam go z szuflady jego toalety.

— Rozumiem. I zabrała go pani z sobą na plebanie?

— Tak. Wiedziałam, że mąż tam będzie...

— O której godzinie to było?

— Chyba po szóstej — kwadrans albo dwadzieścia po szóstej... mniej więcej...

— Wzięła pani z sobą pistolet z zamiarem zabicia męża?

— Nie... ja... chciałam... sama się pozbawić życia...

— Rozumiem. Ale poszła pani na plebanie?

— Tak. Podeszłam do okna. Nie słychać było głosów. Zajrzałam do środka. Zobaczyłam mojego męża. Coś mnie nagle opętało... i wystrzeliłam.

— A potem?

— Potem? Potem odeszłam.

— I powiedziała pani panu Reddingowi o tym, co zrobiła?

Znów wyczułem wahanie w jej głosie, zanim odrzekła:

— Tak...

— Czy ktoś widział, jak pani wchodziła albo wychodziła z plebanii?

— Nic... a może... owszem... Panna Marple. Rozmawiałam z nią przez chwilę. Była w swoim ogrodzie.

Anna poruszyła się niespokojnie.

— Czy to nie dosyć? Powiedziałam już wszystko. Czemu mnie pan dręczy?

Doktor Haydock zbliżył się do łóżka i zaczął badać jej puls.

Potem dał znak Melchettowi.

— Zostanę z nią — rzekł — a pan tymczasem poczyni niezbędne przygotowania. Nie powinno się jej zostawiać samej. Może sobie zrobić coś złego.

Melchett w milczeniu skinął głową.

Opuściliśmy pokój i zesliśmy na dół. Zauważyłem, że z przyległego pokoju wyszedł przeraźliwie chudy mężczyzna i pod wpływem impulsu wróciłem na piętro.

— Pan jest kamerdynerem pułkownika Protheroe? Mężczyzna spojrzał na mnie zaskoczony.

— Tak jest, proszę pana.

— Może mi pan powie, czy pułkownik miał jakiś pistolet?

— O ile mi wiadomo, to nie.

— Czy nie trzymał go w jednej z szuflad toalety? Niech pan sobie przypomni!

Lokaj stanowczo potrząsnął głową.

— Jestem zupełnie pewien, że nie, proszę pana. Gdyby trzymał w szufladzie pistolet, musiałbym go widzieć.

Zbiegłem ze schodów za moimi towarzyszami.

A więc pani Protheroe skłamała w sprawie pistoletu.

Dlaczego skłamała?

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przekazawszy wiadomość na posterunek policji, pułkownik Melchett oświadczył, że pragnie teraz złożyć wizytę panie Marple.

— Może ksiądz proboszcz pójdzie ze mną — poprosił. — Nie chciałbym, aby jedna z owieczek księdza dostała przeze mnie hysterii. Proszę mi więc użyczyć swojej kojącej obecności.

Uśmiechnąłem się. Wbrew pozorom filigranowa panna Marple potrafiła dotrzymać pola każdemu policjantowi, a nawet każdemu naczelnikowi policji na świecie.

— Co to za osoba? — spytał pułkownik, gdy dzwonił do drzwi. — Czy można polegać na tym, co mówi?

Zastanowiłem się.

— Sądzę, że można polegać — powiedziałem ostrożnie. — To znaczy, jeśli chodzi o to, co widziała na własne oczy. Bo jeśli mowa będzie o tym, co przypuszcza — to już inna sprawa. Ma bardzo żywą wyobraźnię i systematycznie podejrzewa wszystkich o rzeczy jak najgorsze.

— Słowem typowa stara panna — stwierdził Melchett ze śmiechem. — Znam dobrze ten gatunek. Boże, te tutejsze herbatki z ploteczkami!

Drzwi otworzyła nam miniaturowa pokojówka, która wprowadziła nas do małego saloniku.

— Pokój trochę przeładowany — zauważył pułkownik, rozglądając się wokoło — ale dużo pięknych rzeczy. Damski pokój, co, proboszczu?

Zgodziłem się z nim. W tej chwili drzwi się otworzyły i ukazała się panna Marple. Przedstawiłem jej pułkownika.

— Bardzo przepraszam, że panią niepokoję — rzekł pułkownik, przybierając dziarski, wojskowy ton, wiedział bowiem, że podoba się on zwykle starszym damom.

— Ale rozumie pani — obowiązek.

— Oczywiście, oczywiście — odparła panna Marple.

— Rozumiem doskonale. Zechcą panowie usiąść? I czy mogę poczęstować pana pułkownika kieliszeczkiem cherry brandy? Własnej roboty, podług przepisu mojej prababki.

— Serdecznie dziękuje... Bardzo to ładnie z pani strony, ale muszę odmówić. Ani kropelki przed obiadem, oto moja dewiza. Jeśli pani pozwoli, chciałbym porozmawiać z panią o tej smutnej sprawie — o tej bardzo smutnej sprawie. Wszyscy jesteśmy nią wstrząśnięci. Otóż istnieje prawdopodobieństwo, że w związku z położeniem pani domu i ogrodu może nam pani udzielić o wczorajszym popołudniu cennych informacji.

— Jeśli chodzi o ścisłość, byłam wczoraj w swoim ogródku od piątej po południu, a oczywiście stamtąd mimo woli widzi się wszystko, co się dzieje u sąsiadów.

— Jak słyszałam, pani Protheroe przechodziła tędy wczoraj.

— Tak, przechodziła. Zawołałam ją do siebie i podziwiała moje róże.

— Czy może pani nam powiedzieć, o której to było?

— Powiedziałabym, że to było około szóstej piętnaście, może zresztą o minutę czy dwie później. Tak, dobrze mówię. Zegar kościelny właśnie wybił kwadrans po szóstej.

— Doskonale. Cóż było dalej?

— Pani Protheroe powiedziała, że idzie na plebanie po męża, bo mają razem wrócić do domu. Przyszła od strony dróżki, rozumie pan, poszła więc na plebanie przez tylną bramę i przez ogród.

— Przyszła od strony dróżki?

— Tak, pokażę panu.

Panna Marple wyprowadziła nas ochoczo do ogrodu i pokazała wąską dróżkę biegnącą za jej ogrodem.

— Ta ścieżka naprzeciwko prowadzi do Dworu — wyjaśniła. — Tędy mieli wrócić razem do domu. Pani Protheroe przyszła z miasteczka.

— Doskonale, doskonale — pochwalił pułkownik.

— I mówi pani, że poszła na plebanie?

— Tak. Widziałam, jak skręciła za róg domu. Przypuszczam, że pułkownika jeszcze nic było, bo wróciła prawie natychmiast i poszła przez trawnik do pracowni — to jest tamten budynek.

Proboszcz pozwolił panu Reddingowi używać go jako pracowni.

— Rozumiem. A... nie słyszała pani przypadkiem strzału?

— Wtedy nie słyszałam strzału.

— Ale słyszała pani strzał w innym czasie?

— Tak, zdaje mi się, że ktoś wystrzelił gdzieś w lesie. Ale to było jakieś pięć albo nawet dziesięć minut później — i jak powiadam, gdzieś w lesie. Przynajmniej tak mi się zdaje. To nie mógł być... nie mógł chyba...

Urwała, blada z przejęcia.

— Tak, tak, jeszcze do tego wrócimy — powiedział pułkownik Melchett. — Proszę, niech pani opowiada dalej. Pani Protheroe poszła do pracowni?

— Tak, weszła do środka i czekała. Po chwili pan Redding nadszedł dróżką od strony miasteczka. Podeszedł do bramy plebanii, rozejrzał się...

— I zobaczył panią, panno Marple.

— Jeśli chodzi o ścisłość, to mnie nie widział — rzekła panna Marple, rumieniąc się lekko. — Bo się akurat w tej chwili nachyliłam... usiłowałam wyrwać korzeń zielska, a to tak trudno... Pan Redding wszedł tymczasem przez furtkę i poszedł do pracowni.

— Nie zbliżył się wcale do domu?

— Nie, poszedł prosto do pracowni. Pani Protheroe wyszła na jego spotkanie do drzwi i razem weszli do środka.

Tu panna Marple zrobiła szczególnie wymowną pauzę.

— Może mu pozowała? — wtrąciłem.

— Może — powiedziała panna Marple.

— Kiedy stamtąd wyszli?

— Jakies dziesięć minut później.

— Która była mniej więcej godzina?



— Zegar kościelny wydzwonił właśnie pół do siódmej. Wyszli przez furtkę ogrodową i ruszyli dróżką i w tej samej chwili doktor Stone nadjechał ścieżką wiodącą z Dworu i przyłączył się do nich. Wszyscy razem odeszli w kierunku miasteczka. Na końcu dróżki — tak mi się zdaje, chociaż nie jestem zupełnie pewna — przyłączyła się też do nich panna Cram. Myślę, że to musiała być panna Cram, bo taką miała krótką sukienkę.

— Musi pani mieć doskonały wzrok, skoro może widzieć na tak znaczną odległość.

— Obserwowałam właśnie ptaka — wyjaśniła panna Marple. — Zdaje się, że to był rudzik ze złotym grzbietem. Śliczna ptaszyna. Miałam więc przy sobie lornetkę i dzięki temu zobaczyłam przypadkiem pannę Cram — jeżeli to była panna Cram.

— Bardzo prawdopodobne — rzekł pułkownik Melchett. — Więc skoro jest pani taka spostrzegawcza, panno Marple, proszę mi powiedzieć, czy nie zauważyła pani, jakie miny mieli pani Protheroe i pan Redding, kiedy przechodzili koło pani żywoplotu?

— Uśmiechali się i rozmawiali — odpowiedziała panna Marple. — Wyglądali, jakby im było z sobą bardzo dobrze, jeśli wie pan, co mam na myśli.

— Nie byli wzburzeni ani zmartwieni?

— O, nie! Wprost przeciwnie.

— Bardzo dziwne — stwierdził pułkownik. — Coś jest w tej sprawie niesłychanie dziwnego.

Panna Marple naraz oszołomiła nas zupełnie, pytając słodkim głosem:

— Czy teraz z kolei pani Protheroe twierdzi, że to ona jest sprawczynią zbrodni?

— Na Boga — zawołał pułkownik — jak się pani tego domyśliła?

— Bo przypuszczałam, że to się może zdarzyć — od—rzekła panna Marple. — I Letycja też się chyba tego spodziewała. W gruncie rzeczy bardzo bystra z niej dziewczyna, chociaż czasami pozbawiona skrupułów. A więc Anna Protheroe twierdzi, że zabiła swego męża. No, no. Nie sądzę, żeby to była prawda. Jestem nawet prawie pewna, że to nieprawda. Taka kobieta nie mogła zrobić czegoś podobnego. Chociaż nigdy nikogo nie można być pewnym, prawda? Nieraz się już o tym przekonałam. Mówi, że o której go zabiła?

— Dwadzieścia po szóstej. Tuż po rozmowie z panią.

Panna Marple potrząsnęła głową wolno i z politowaniem. Politowanie, jak sądzę, dotyczyło dwóch dorosłych mężczyzn, którzy dają się wziąć na tak nedorzeczną bajkę. Tak to przynajmniej odczuliśmy...

— Z jakiej broni go zastrzeliła?

— Z pistoletu.

— Skąd go wzięła?

— Przyniosła go z sobą.

— Co to, to nie — oznajmiła stanowczo panna Marple. — Mogę na to przysiąc. Nie miała przy sobie żadnej broni.

— Może pani nie widziała pistoletu.

— Musiałabym go widzieć.

— Mogła go mieć w torebce.

— Nie miała przy sobie torebki.

— Być może ukryła go gdzieś pod ubraniem... Panna Marple spojrzała na pułkownika ze smutkiem, nie pozbawionym odcienia pogardy.

— Kochany panie pułkowniku, czy nie zna pan dzisiejszych młodych kobiet? Nie wstydzą się pokazywać niemal jak je Pan Bóg stworzył. Anna nie miała nawet chusteczki do nosa za podwiązką.

Melchett był człowiekiem upartym.

— Musi pani przyznać, że wszystko się zgadza. Czas, przewrócony zegar, wskazujący szóstą dwadzieścia dwie...

Panna Marple zwróciła się do mnie.

— Więc ksiądz proboszcz jeszcze nie powiedział o tym zegarze?

- A co takiego, proboszczu?  
Wytłumaczyłem mu. Pułkownik bardzo się zirytował.
- Dlaczego ksiądz proboszcz nie powiedział tego wczoraj Slackowi?
- Bo mi nie dał dojść do słowa.
- Głupstwa, trzeba było nalegać.
- Przypuszczalnie inspektor Slack zachowuje się w stosunku do pana inaczej niż w stosunku do mnie — rzekłem. — Ja nie mogłem nawet nalegać.
- Niesamowita historia — oświadczył Melchett. — Jeżeli jeszcze trzecia osoba przyjdzie i oznajmi, że popełniła to morderstwo, zgłoszę się sam do domu wariatów.
- Jeśli wolno coś wtrącić... — powiedziała cicho panna Marple.
- Słucham?
- Gdyby pan opowiedział panu Reddingowi o wyznaniu pani Protheroe i dodał, że pan nie wierzy w jej winę... I gdyby potem poszedł pan do pani Protheroe i powiedział jej, że pan Redding jest wolny... może by oni, każde z osobna, powiedzieli panu wówczas prawdę. A prawda zawsze może naprowadzić na właściwy trop — chociaż ci nieboracy sami pewno niewiele wiedzą.
- Wszystko to bardzo pięknie, ale poza nimi dwojgiem nikt nie miał powodu, żeby zabić pułkownika Protheroe.
- O, ja bym tego nie powiedziała, proszę pana — rzekła panna Marple.
- Co, przychodzi pani na myśl ktoś jeszcze?
- Ach, naturalnie. — Panna Marple zaczęła liczyć na palcach. — Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć — tak, sześć, nawet siedem. Przychodzi mi na myśl co najmniej siedem osób, które bardzo byłyby rade pozbyć się pułkownika Protheroe raz na zawsze.
- Melchett spojrzał na nią osłupiały.
- Siedem osób? W St.Mary Mead? Panna Marple skinęła energicznie głową.
- Proszę pamiętać, że nic wymieniam żadnych nazwisk — dodała. — To byłoby niewłaściwe. Ale obawiam się, że na świecie jest bardzo dużo zła. Taki prawy, szlachetny żołnierz jak pan, panie pułkowniku, oczywiście niewiele o tym wie.
- Przez chwilę zdawało mi się, że naczelnik policji dostanie ataku apoplektycznego.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gdy wreszcie wyszliśmy z domu panny Marple, uwagi pułkownika na temat gospodyni nie były bynajmniej pochlebne.

— Tej zasuszonej starej pannie zdaje się, że wszystkie rozumy zjadła. A przez całe życie pewnie ani razu nie wyjeżdżała z tego zabitego deskami miasteczka. Co taka może wiedzieć o życiu?

Zauważyłem pojednawczo, że chociaż panna Marple nic prawie nie wie o życiu przez wielkie Ż, to jednak bez wątpienia wie o wszystkim, co się dzieje w St.Mary Mead.

Melchett — acz niechętnie — przyznał mi rację. Panna Marple była cennym świadkiem — cennym zwłaszcza z punktu widzenia pani Protheroe.

— Sądzę, że można jej wierzyć, co?

— Jeżeli panna Marple mówi, że Anna Protheroe nie miała przy sobie pistoletu, może pan być tego pewien — powiedziałem. — Gdyby istniał choć cień możliwości, że pani Protheroe miała przy sobie broń, panna Marple już by tego nie przemilczała.

— To prawda. Chodźmy lepiej, obejrzymy pracownię.

Tak zwana pracownia była po prostu szopą z górnym światłem. Nie było tu okien, a jedyny otwór prowadzący na zewnątrz stanowiły drzwi. Upewniwszy się o tym, Melchett oznajmił, że zamierza odwiedzić plebanię w towarzystwie inspektora.

— Teraz pójdę na posterunek.

Kiedy wszedłem przez drzwi frontowe, do uszu moich doleciały głosy. Otworzyłem drzwi salonu.

Na kanapie obok Gryzeldy siedziała panna Gladys Cram i z ożywieniem o czymś rozprawiała. Założyła nogę na nogę i mogłem bez najmniejszego wysiłku zaobserwować, że ma na sobie jedwabne majtki w różowe paseczki.

— Halo, Len — zawołała Gryzelda.

— Dzień dobry, księżu proboszczu — powiedziała panna Cram. — Cóż za okropna historia z tym biednym pułkownikiem.

— Panna Cram — powiedziała moja żona — jest tak miła, że pragnie pomóc nam przy zlocie skautek. Pamiętasz, prosiliśmy zeszłej niedzieli, żeby pomocnice zgłaszały się na ochotnika.

Pamiętałem, ale byłem przekonany, podobnie zresztą jak Gryzelda — poznałem to z jej tonu — że pannie Cram nie przyszłoby nigdy do głowy zgłosić się na ochotnika, gdyby nie sensacyjny wypadek, który zdarzył się na plebanii.

— Mówiłam właśnie pani Clement — ciągnęła dalej panna Cram — że o mało nie zemdlałam, kiedy usłyszałam o tej historii. Morderstwo? — spytałam. — W tym cichym, maleńkim miasteczku? Bo każdy przyzna, że jest ciche, nawet kina nie ma! Więc kiedy usłyszałam, że zamordowano pułkownika Protheroe, po prostu nie chciałam wierzyć. Jakoś mi nie wyglądał na człowieka, którego ktoś może zamordować.

Nie wiedziałem, jakich podług panny Cram potrzeba kwalifikacji na to, aby zostać zamordowanym. Nie przychodziło mi nigdy do głowy, że zamordowani tworzą jakąś określoną grupę, ale panna Cram bez wątpienia miała na ten temat określone zdanie.

— Panna Cram przyszła więc tutaj, żeby się dokładnie o wszystkim dowiedzieć — powiedziała Gryzelda.

Obawiałem się, że te szczerze słowa mogą dotknąć naszego gościa, złotowłosa panna jednak odrzuciła tylko głowę w tył i wybuchnęła głośnym śmiechem, pokazując przy tym wszystkie zęby.

— A to dobre! Pani ma bystre oko, co? Ale to chyba rzecz naturalna, sama pani przyzna, że się chce poznać szczegóły takiej sprawy? Poza tym bardzo chętnie będę pomagała przy tych skautkach i zrobię wszystko, co mi pani każe. Bo ja już tu od dawna umieram z nudów, słowo daje. Co prawda mam doskonałą posadę, dobrze płatną, a doktor Stone jest prawdziwym dżentelmenem, ale młodej dziewczynie potrzeba trochę rozrywki poza godzinami biurowymi, a z wyjątkiem pani, z kim tu można porozmawiać? Same stare jędze!

— Jest przecież Letycja Protheroe — zauważyłem.

Gladys Cram podniosła dumnie głowę.

— Za wysokie progi na moje nogi. Ona wyobraża sobie, że jest arystokratką i nie zniży się do dziewczyny, która musi zarabiać na życie. Wprawdzie słyszałam, jak sama mówiła o tym, że ma zamiar postarać się o jakąś pracę. Ale kto ją weźmie, chciałabym wiedzieć? Wylano by ją najdalej po tygodniu. Chyba że poszłaby do jakiegoś magazynu na modelkę — tylko kręcić się w pięknych sukniach. Przypuszczam, że to by potrafiła.

— Byłaby doskonałą modelką — powiedziała Gryzelda. — Ma piękną figurę. — Gryzelda nie ma w sobie nic z jędzy. — A kiedy mówiła, że chce poszukać pracy?

Panna Cram stropiła się na chwilę, ale zaraz odzyskała kontenans.

— To już będzie plotka, prawda? — spytała. — Ale ona naprawdę tak mówiła. Przypuszczam, że w domu jest jej nie najlepiej. Żeby mnie kto kazał mieszkać z macochą, związałabym od razu.

— O, pani jest taka ambitna i samodzielna — rzekła Gryzelda z powagą, ale ja spojrzałem na nią podejrzliwie.

Ale pannie Cram słowa te wyraźnie pochlebily.

— Racja, taka już jestem. Ze mną można coś zrobić tylko dobrocią. Nawet wróżka mi to samo niedawno mówiła. O, ja bym się nie dała tyranizować. Doktorowi Stone'owi też od razu zapowiedziałam, że muszę mieć regularnie wolne dni. Ci naukowcy uważają sekretarkę za coś w rodzaju maszyny: zazwyczaj nie pamiętają wcale o jej istnieniu.

— Czy dobrze się pani pracuje z doktorem Stone'em? Jeżeli interesuje się pani archeologią, praca musi być bardzo ciekawa.

— Prawdę mówiąc, niewiele się na tym znam — wyznała dziewczyna. — Wciąż mi się wydaje, że wykopywanie umrzyków, którzy nie żyją od setek lat, ma w sobie coś... no, coś wścibskiego. Ale doktor Stone tak jest tym pochłonięty, że gdyby nie ja, przeważnie zapomniałby o posiłkach.

— Czy dziś też jest tam przy kopcu? — spytała Gryzelda.

Panna Cram potrząsnęła przecząco głową.

— Jakoś jest dzisiaj nie w sosie — wyjaśniła. — Nie może nic robić. Dlatego mała Gladys ma dziś wolne.

— Jest chory? To przykre — odezwałem się.

— O, to nic poważnego. Proszę się nie obawiać, nie będzie drugiego śmiertelnego wypadku. Ale ksiądz proboszcz podobno spędził cały ranek w towarzystwie panów z policji. Proszę mi opowiedzieć, co oni o tym wszystkim sądzą.

— Cóż — powiedziałem wolno — nie wszystko jest jeszcze... wyjaśnione...

— Ach! — zawołała panna Cram. — Więc koniec końców nie sądzą, że mordercą jest pan Lawrence Redding! Przystojny mężczyzna! Zupełnie jak gwiazdor filmowy. I tak się ślicznie uśmiecha, kiedy się kłania na ulicy. Doprawdy nie wierzyłam własnym uszom, kiedy się dowiedziałam, że go aresztowano. No, ale wiadomo, co jest warta prowincjonalna policja.

— W tym wypadku trudno winić policję — zaoponowałem — bo pan Redding sam się oddał jej w ręce.

— Co takiego? — Dziewczyna osłupiała wprost ze zdumienia. — A to dureń! Gdybym ja kogoś zamordowała, to już bym na pewno nie oddała się w ręce policji! Spodziewałabym się, że pan Lawrence Redding ma więcej rozumu. Oddać się samemu w ręce władz! A dlaczego zabił pułkownika Protheroe? Nie mówił? Czy po prostu się pokłócili?

— Nie jest jeszcze zupełnie pewne, czy to on go zabił — odparłem.

— No, jeżeli sam tak mówi, to chyba wie!

— W każdym razie powinien wiedzieć — przyznałem. — Ale funkcjonariusze policji mają zastrzeżenia co do jego zeznań.

— Czemuż by miał się przyznawać do winy, jeżeli nie popełnił zbrodni?

Nie miałem zamiaru udzielać panie Cram żadnych informacji w tej materii, powiedziałem więc wymijająco:

— Podobno we wszystkich głośniejszych sprawach o zabójstwo policja dostaje moc listów od różnych osób, które przyznają się do nie popełnionej winy.

Panna Cram zareagowała na tę wiadomość w sposób charakterystyczny.

— To muszą być idioci! — stwierdziła z pogardą, po czym dodała: — Nigdy bym nic podobnego nie zrobiła.

— Jestem tego pewien — odparłem.

— No, muszę już uciekać — oznajmiła z westchnieniem dziewczyna i wstała z kanapy. — A to się doktor Stone zdziwi, kiedy mu opowiem, że pan Redding sam się przyznał do winy.

— Czy się interesuje tą sprawą? — spytała Gryzelda.

Panna Cram zmarszczyła brwi.

— Dziwny z niego facet. Nigdy z nim nic nie wiadomo. Właściwie interesują go tylko starocie. Tysiąc razy wolałby oglądać jakiś tam wstętny, wykopany z ziemi nóż z brązu niż, na przykład, nóż, którym Crippen poćwiartował swoją żonę.

— Muszę przyznać, że się z nim zgadzam — powiedziałem.

W oczach panny Cram błysnęło zdziwienie i odrobina pogardy. Zaczęła się żegnać, co trwało zresztą dłuższą chwilę, po czym wreszcie wyszła.

— W gruncie rzeczy jest wcale sympatyczna — orzekła Gryzelda, gdy drzwi się za nią zamknęły. — Okropnie wulgarna, nie da się zaprzeczyć, ale przy tym taka z niej zdrowa, wesoła dziewczyna, że nie sposób jej nie lubić. Ciekawa jestem, co ją tu sprowadziło?

— Ciekawość.

— Hm. może masz rację. No, Len, teraz opowiedz mi wszystko. Umieram z niecierpliwości.

Usiadłem i zrelacjonowałem wiernie wszystkie wydarzenia tego poranka. Gryzelda przerywała mi okrzykami zdumienia i zainteresowania.

— A więc Lawrence przez cały czas kochał się w Annie! Wcale nie w Letycji. Jakże byliśmy ślepi! Widocznie to właśnie miała na myśli wczoraj panna Marple. Jak sądzisz?

— Chyba tak — odrzekłem, nie patrząc na Gryzeldę.

Weszła Mary.

— Przyszło jakichś dwóch, mówią, że są z gazety. Czy ich ksiądz proboszcz przyjmie?

— Nie — oświadczyłem. — W żadnym wypadku. Odeślij ich do inspektora Slacka.

Mary skinęła głową i zawróciła do drzwi.

— A kiedy się ich pozbędziesz — powiedziałem — wróć tutaj. Chcę cię o coś zapytać.

Mary jeszcze raz skinęła głową. Wróciła dopiero po kilku minutach.

— Nie było to takie łatwe — oznajmiła. — Za nic nie chcieli odejść. Tacy uparci, że nie wiem.

— Obawiam się, że będziemy mieli jeszcze z nimi sporo kłopotu — powiedziałem. — Ale posłuchaj, Mary. chce cię zapytać o taka. rzecz: czy jesteś pewna, żeś nie słyszała wczoraj po południu strzału?

— Tego strzału, co go zabił? Nie, na pewno nie słyszałam. Jakbym słyszała, tobym poszła zobaczyć, co się stało.

— Owszem, ale... — Przypomniałem sobie twierdzenie panny Marple, że słyszała wystrzał „w lesie”. Sformułowałem więc pytanie inaczej. — Czyś słyszała jakiś inny strzał — w lesie, na przykład?

— Inny? — Dziewczyna zastanawiała się chwile. — Tak. jak sobie teraz przypominam, to chyba słyszałam. Nie kilka, tylko jeden strzał. Taki dziwny dźwięk.

— O której godzinie to było? — spytałem.

— Tego to nie wiem. Dobrze po podwieczorku. Tylko tego jestem pewna.

— Nie potrafisz określić bliżej?

— Nic. Mam przecież swoją robotę, nie mogę bez przerwy patrzeć na zegary. A zresztą niewiele by z tego przyszło — budzik codziennie spóźnia się o dobre trzy kwadranse, więc go muszę ciągle przestawiać i w końcu nigdy nic wiem dokładnie, która godzina.

Być może tu właśnie tkwi przyczyna tego. że w naszym domu posiłki nie są nigdy podawane punktualnie. Czasami bardzo się spóźniają, a czasem znowu są ni stąd, ni zowąd grubo za wcześnie.

— Czy to było na długo przed przyjściem pana Reddinga?

— Nie. Jakies dziesięć minut, może kwadrans, nie dłużej. Skinąłem głową. To mi wystarczyło.

— Czy to już wszystko? — spytała Mary. — Bo chciałam powiedzieć, że mam pieczeń w piecyku, a budyń przegotuje się jak nic.

— Dobrze, możesz iść.

Mary wyszła, a ja zwróciłem się do Gryzeldy:

— Czy jej rzeczywiście nie sposób nauczyć choć odrobiny grzeczności?

— Próbowalam, ale ona od razu wszystko zapomina. Musisz pamiętać, że dziewczyna jest zupełnie surowa.

— Zdaję sobie z tego bardzo dokładnie sprawę, ale rzeczy surowe można przecież ugotować. Być może więc to samo dałoby się zrobić z Mary.

— Nie zgadzam się z tobą — powiedziała Gryzelda. — Wiesz, jak mało możemy płacić służącej. Jeżeli się choć trochę wyrobi, zaraz pójdzie gdzie indziej i dostanie wyższą pensję. A dopóki nie umie gotować i ma takie okropne maniery, możemy być spokojni, bo nikt inny jej nie weźmie.

Zacząłem dochodzić do wniosku, że metody gospodarskie mojej żony nie są tak przypadkowe, jakby się zdawało. Do pewnego stopnia były nawet przemyślane, choć moim zdaniem można było dyskutować, czy warto w ogóle mieć służącą za cenę tego, że nie umie ona gotować i że ciska na stół półmiski w sposób równie nagły i szokujący jak robi niemile uwagi.

— W każdym razie — ciągnęła dalej Gryzelda — musisz jej darować, że jest teraz jeszcze bardziej niegrzeczna niż zwykle. Trudno, żeby się bardzo martwiła z powodu śmierci pułkownika Protheroe, bo przecież posadził do więzienia jej sympatię.

— Posadził jej sympatię?

— A tak, za kłusownictwo. To ten Archer, wiesz. Mary chodzi z nim od dwóch lat.

— Nie wiedziałem o tym.

— Len, kochanie moje, ty nigdy o niczym nie wiesz.

— Dziwna rzecz — powiedziałem — wszyscy mówią, że strzał rozległ się z lasu.

— Nic w tym nie ma dziwnego — odparła Gryzelda. — Przecież strzały przeważnie padają w lesie, więc jak ktoś nagle słyszy strzał, zakłada z góry, że padł w lesie. Oczywiście, gdyby się było w sąsiednim pokoju, toby się wiedziało, że ktoś strzelił w domu, ale kuchnia ma okno po drugiej stronie, więc Mary pewno wcale to nie przyszło do głowy.

Drzwi znowu się otworzyły.

— Pułkownik Melchett wrócił — oznajmiła Mary. — I ten inspektor z nim przyszedł i proszą księdza do siebie. Są w gabinecie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zobaczyłem od razu, że pułkownik Melchett i inspektor Slack różnią się w poglądzie na sprawę. Melchett był zaczerwieniony i zirytowany, a inspektor nadąsany.

— Muszę stwierdzić z przykrością — rzekł Melchett — że inspektor Slack nie zgadza się ze mną. Nie wierzy w niewinność Reddinga.

— Jeżeli nie zabił, to czemu się miał przyznawać? — spytał sceptycznie Slack.

— Pani Protheroe postąpiła w sposób identyczny — zaproponował pułkownik.

— To co innego. Jest kobietą, a kobiety często robią różne głupstwa. Ani na chwilę nie przypuszczałem, że to ona zabiła. Dowiedziała się po prostu, że Redding jest aresztowany i zmyśliła bajeczkę. Przyzwyczajony jestem do takich szusów. Trudno sobie wyobrazić, co kobiety potrafią wyczyniać. Ale z Reddingiem inna sprawa — on ma dobrze poukładane w głowie. Jeżeli więc przyznaje się do winy, wierzę mu. To jego pistolet — temu pan nie zaprzeczy. A dzięki wyznaniu pani Protheroe znamy pobudkę zbrodni. Dotychczas był to słaby punkt, ale teraz wiemy już wszystko i sprawa jest jasna.

— Sądzi pan, że on mógł zastrzelić pułkownika wcześniej? Powiedzmy o szóstej trzydzieści?

— Nie, to niemożliwe.

— Ustalił pan dokładnie, gdzie on był przedtem? Inspektor potwierdził skinieniem głowy.

— Do godziny szóstej dziesięć był „Pod Niebieskim Dzikim”. Stamtąd przyszedł dróżką za ogrodami — jak pan sam mówi, widziała go ta stara dama z sąsiedztwa, a jej oku nic nie uniknie — i spotkał się z panią Protheroe w pracowni. Wyszli stamtąd razem o szóstej trzydzieści i poszli do miasteczka tą samą dróżką. Spotkali też doktora Stone’a, który poszedł z nimi razem. Doktor Stone to potwierdza — byłem u niego. Przez kilka minut wszyscy stali przed pocztą i rozmawiali, potem pani Protheroe poszła do panny Hartnell, żeby pożyczyć od niej jakieś ogrodnicze pismo. To też sprawdziłem. Pani Protheroe była u panny Hartnell prawie do siódmej. Wtedy spojrzała na zegar i zawołała, że jest okropnie późno i musi iść do domu.

— Jak się zachowywała?

— Była w doskonałym humorze — panna Hartnell zapewnia, że nie znać po niej było żadnego niepokoju lub wzburzenia.

— Dobrze, proszę mówić dalej.

— Redding poszedł z doktorem Stone’em „Pod Dzika”. Tam wypili po jednym. Wyszli stamtąd za dwadzieścia siódma i ruszył szybkim krokiem na plebanie. Mnóstwo osób go widziało.

— Tym razem nie szedł dróżką za ogrodami? — zauważył pułkownik.

— Nic, wszedł od frontu, zapytał o proboszcza, dowiedział się, że pułkownik Protheroe czeka na księdza, wszedł do gabinetu i zastrzelił go! Wszystko było dokładnie tak, jak on sam mówi, i nie trzeba szukać dalej.

Melchett potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Mamy przecież oświadczenie doktora. Nie wolno o tym zapominać. Protheroe zmarł nie później niż o szóstej trzydzieści.

— Ach, lekarze! — rzucił lekceważąco Slack. — Będzie im pan wierzył. Powyrywają panu wszystkie zęby — bo tak teraz robią — a potem powiedzą, że przepraszają najmocniej, ale zaszła pomyłka — trzeba było usunąć wyrostek robaczkowy. Lekarze!

— To nie jest kwestia diagnozy. Doktor Haydock obstaje przy swoim zdaniu. Nie możemy lekceważyć ekspertyzy lekarskiej, Slack.

— Ja też mogę coś zeznać — wtrąciłem, przypominając sobie nagle pewien szczegół. — Dotknąłem ciała: było zimne. Mogę na to przysiąc.

— Widzi pan? — zwrócił się Melchett do Slacka.

— No, trudno, skoro tak... Szkoda, mieliśmy piękną sprawę. Redding aż się prosił, żeby go powiesić.

— To właśnie wydaje mi się bardzo dziwne — zauważył pułkownik Melchett.

— Cóż, różne są gusta — stwierdził inspektor. — Po wojnie moc facetów ma lekkiego bzika. Ale będziemy musieli zacząć wszystko od początku. Czemu ksiądz proboszcz rozmyślnie wprowadził mnie w błąd w sprawie zegara, tego doprawdy nie rozumiem — zwrócił się nagle do mnie. — Przemilczał ksiądz proboszcz niezmiernie ważną okoliczność!

Dotknęło mnie to do żywego.

— Trzy razy usiłowałem panu o tym powiedzieć — stwierdziłem — ale pan za każdym razem kazał mi milczeć i nie chciał wcale słuchać.

— Czcze wymówki, proszę księdza. Gdyby ksiądz proboszcz naprawdę chciał mi powiedzieć, toby powiedział. Zegar i list tworzyły całość, tak to wyglądało, a teraz okazuje się, że zegar się śpieszy. W życiu nie miałem takiej sprawy. A w ogóle po co nastawiać zegar o kwadrans naprzód?

— Żeby się zaprawiać do punktualności — wyjaśniłem. Inspektor prychnął pogardliwie.

— Nie będziemy na razie tego roztrząsać, panie inspektorze — powiedział taktownie pułkownik Melchett.

— Zależy nam teraz przede wszystkim na uzyskaniu prawdziwych zeznań od pani Protheroe i pana Reddinga.

Telefonałem do doktora Haydocka i prosiłem, żeby przyprowadził tu panią Protheroe. Powinni tu być za kwadrans. Sądzę, że dobrze byłoby przedtem ściągnąć tu Reddinga.

— Zadzwoń na posterunek — rzekł inspektor podnosząc słuchawkę, po czym powiedział do niej kilka słów.

— A teraz — rzekł, odkładając słuchawkę — zabierzemy się do pracy i zbadamy dokładnie ten pokój.

Spojrzał przy tym na mnie znacząco.

— Może wołają panowie, żebym im nie przeszkadzał — powiedziałem.

Inspektor niezwłocznie uprzejmym ruchem otworzył przede mną drzwi. Melchett zawołał za mną:

— Proboszczu, proszę wrócić, kiedy przybędzie Redding. Jest ksiądz jego przyjacielem i potrafi może wpłynąć na niego, żeby powiedział prawdę.

Zastałem moją żonę na ożywionej a poufnej rozmowie z panną Marple.

— Rozważyliśmy wszelkie możliwości — powiedziała Gryzelda. — Chciałabym, żeby pani rozwiązała tę zagadkę, panno Marple, jak wtedy, kiedy pannie Wetherby zginęła torebka krewetek. A wszystko przez to, że przypomniało to pani o czymś zupełnie innym, co miało związek z workiem węgla.

— Kochana pani śmieje się ze mnie — odrzekła panna Marple — ale w ten sposób naprawdę dociera się czasem do istoty rzeczy. To właśnie nic innego jak intuicja, o którą teraz robi się tyle hałasu. Intuicja to coś jak czytanie bez sylabizowania. Dziecko tego nie potrafi, bo ma za mało doświadczenia. Ale dorosła osoba zna całe słowo, bo już je tyle razy przedtem widziała. Rozumie ksiądz proboszcz, co mam na myśli?

— Tak — odpowiedziałem z wolna — chyba rozumiem. Chodzi pani o to, że jeżeli jakaś rzecz przypomina inną rzecz, są to przypuszczalnie rzeczy tego samego rodzaju?

— Otóż właśnie.

— A co pani przypomina zabójstwo pułkownika Protheroe?

Panna Marple westchnęła.

— W tym sęk, że przychodzi do głowy tyle analogii. Był tu, na przykład, kiedyś major Hargreaves, członek rady parafialnej, człowiek ogólnie szanowany. A jak się okazało, przez cały czas miał drugi dom — i to z dawną pokojówką, proszę sobie wyobrazić! I pięcioro dzieci! Okropny to był wstrząs dla jego żony i córki.

Usiłowałem sobie wyobrazić pułkownika Protheroe w roli potajemnego grzesznika, ale dałem za wygraną.

— Następnie była historia z pralnią — ciągnęła dalej panna Marple. — Panna Hartnell przez nieuwagę zostawiła broszkę z opalem w plisowanej bluzce, którą dała do pralni. Przy tym kobieta, która zabrała broszkę, wcale nie chciała jej sobie przywłaszczyć. Po prostu ukryła ją w domu innej kobiety i zeznała na policji, że widziała, jak tamta broszkę skradła. Tylko żeby jej dokuczyć. O, złość to potężna pobudka. Chodziło oczywiście o mężczyznę. Zawsze chodzi o mężczyznę.

Tym razem nie widziałem już żadnej analogii, chociażby najodleglejszej. Panna Marple ciągnęła dalej tonem rozmarzenia:

— No i jeszcze była córka biednego Elwella — taka ładna, eteryczna dziewczynka. Ta znów usiłowała udusić młodszego braciszka. I była sprawa pieniędzy przeznaczonych na chór chłopięcy — to nie za czasów księdza proboszcza. Okazało się, że je ukradł organista. Bo jego żona miała okropne długi. Tak, ta sprawa przychodzi na myśl bardzo wiele wypadków, za wiele... Trudno dojść prawdy.

— Chciałbym bardzo, żeby mi pani powiedziała, kim jest ta siódemka podejrzanych?

— Siódemka podejrzanych?

— Mówiła pani, że może naliczyć siedem osób, które... no, które byłyby zadowolone ze śmierci pułkownika Protheroe.

— Ja to mówiłam? A tak, przypominam sobie.

— Czy to prawda?

— Oczywiście. Ale nie mogę wymieniać nazwisk. Ksiądz proboszcz może bez trudu sam je sobie wydedukować.

— Niestety, nie mogę. Można podejrzewać Letycję, ponieważ przypuszczalnie dziedziczy pieniądze po ojcu, ale śmieszne byłoby posądzać ją o zabójstwo, a poza tym nikt mi nie przychodzi na myśl.

— A pani, moje złotko? — spytała panna Marple, zwracając się do Gryzeldy.

Ku mojemu zdumieniu Gryzelda się zarumieniła. W oczach jej błysnęły łzy. Zaciśnęła drobne dłonie.

— O! — zawołała z oburzeniem. — Ludzie są tacy wstrętni... wstrętni! Czego tylko nie wymyślą! Mówią takie ohydne rzeczy...

Spojrzałem na nią zaskoczony. Gryzelda nigdy się tak nie unosi. Zauważyła moje spojrzenie i próbowała się uśmiechnąć.

— Nie patrz na mnie, jak gdybym była niezwykłym, a nie znanym ci okazem fauny, Len! Nie gorączkujmy się i nie odbiegajmy od tematu. Nie wierzę, żeby pułkownika zabił Lawrence albo Anna. A Letycji nie można w ogóle brać pod uwagę! Musi być jakaś poszlaka, która naprowadzi nas na właściwy trop.



— Jest oczywiście list — zauważyła panna Maiple. — Pamięta pani, mówiłam dzisiaj rano, że ten list daje mi do myślenia.

— List ustala godzinę śmierci pułkownika ze zdumiewającą dokładnością — powiedziałem — ale czy to możliwe? Byłoby to w chwilę po bytności tutaj pani Protheroe, która nie zdążyłaby nawet dojść do pracowni. Ja to sobie tłumaczę tylko tak: pułkownik pewnie spojrzął na własny zegarek, a ten się widocznie spóźnił.

— Ja myślę co innego — odezwała się Gryzelda.

— Przypuśćmy, że ktoś cofnął przedtem zegar na biurku — nie, to wychodzi na jedno! Mówię głupstwa.

— Kiedy wychodziłem, zegar był nastawiony jak zwykle — powiedziałem. — Pamiętam, że porównywałem go ze swoim zegarkiem kieszonkowym. Ale jak sama mówisz, to nie ma nic do rzeczy.

— A co pani sądzi? — zwróciła się Gryzelda do panny Marple.

Stara panna potrząsnęła głową.

— Moje złotko, przyznam się, że w ogóle nie rozważałam sprawy pod tym kątem. Mnie od pierwszej chwili zastanawia treść listu.

— Czemu? — spytałem. — Pułkownik Protheroe pisał tylko, że nie może dłużej czekać...

— O godzinie szóstej dwadzieścia? — rzekła z naciskiem panna Marple. — Mary powiedziała mu przecież, że ksiądz proboszcz wróci nie wcześniej niż o pół do siódmej, na co on powiedział, że zaczeka. A mimo to o szóstej dwadzieścia siada i pisze, że „nie może dłużej czekać”.

Patrzyłem na starą damę, czując coraz większy szacunek dla jej bystrości. Dostrzegła to, co uszło naszej uwagi. Rzeczywiście, coś tu się nie zgadzało.

— Gdyby na liście nie była oznaczona godzina... Panna Marple skinęła energicznie głową.

— Otóż to właśnie — gdyby godzina nie była oznaczona!

Wróciłem myślą do listu, usiłując przypomnieć sobie kartkę z zamazanym pismem, a u góry równiutkie cyfry: 6.20. Cyfry te pozostawały w jakiejś sprzeczności z resztą listu.

Wyrwał mi się nagle okrzyk.

— Przypuśćmy, że godzina nie była oznaczona — powiedziałem. — Przypuśćmy, że około pół do siódmej pułkownik Protheroe zaczął się niecierpliwic i usiadł przy biurku, aby napisać, że nie może dłużej czekać. Kiedy to pisał, ktoś wszedł przez okno...

— Albo przez drzwi — wtrąciła Gryzelda.

— Pułkownik byłby usłyszał stuk otwieranych drzwi i spojrzął na wchodzącą osobę.

— Pułkownik Protheroe był głuchy, należy pamiętać — powiedziała panna Marple.

— Tak, to prawda. Mógł nie usłyszeć odgłosu otwieranych drzwi. Otóż morderca — bez względu na to, którędy przyszedł — zakradł się za plecy pułkownika i zastrzelił go. Potem zobaczył list i zegar i przyszedł mu do głowy świetny pomysł. Napisał w nagłówku listu 6.20 i przestawił wskazówki zegara na szóstą dwadzieścia dwie. Był to bardzo mądry pomysł. Morderca sądził, że stwarza sobie w ten sposób murowane alibi.

— Musimy więc teraz znaleźć kogoś, kto ma alibi na godzinę szóstą dwadzieścia — rzekła Gryzelda — ale nie ma alibi na... No, to wcale nie takie łatwe. Trudno ustalić dokładny czas zabójstwa.

— Możemy go ustalić w przybliżeniu — odparłem.

— Haydock twierdzi, że zgon nastąpił najpóźniej o szóstej trzydzieści. Sadzę, że opierając się na naszym rozumowaniu, można przesunąć tę granicę na szóstą trzydzieści pięć. Nie ulega wątpliwości, że Protheroe nie zaczął się niecierpliwic przed szóstą trzydzieści. Właściwie znamy czas zabójstwa dość dokładnie.

— W takim razie strzał, który ja słyszałam... tak, sądzę, że to zupełnie możliwe. A przecież wcale nie zwróciłam na niego uwagi. Irytujące! Jednakże, kiedy tak sobie usiłuję przypomnieć, wydaje mi się, że był inny od strzałów, które się zwykle słyszy. Tak, była jakaś różnica.

— Głośniejszy? — podsunąłem.

Nie, panna Maiple nie sądziła, aby był głośniejszy. Nie umiała określić, na czym polegała różnica, twierdziła jednak, że był z pewnością inny.

Nic nie pamięta, wmawia sobie tylko, pomyślałem w pierwszej chwili — ale panna Marple przed chwilą rzuciła tak cenne światło na zagadnienie, że czułem dla niej wielki szacunek.

Starsza pani wstała, zapewniając, że doprawdy musi już iść — pokusa, żeby wpaść na plebanię i omówić wszystko z kochaną panią Gryzelda, była zbyt wielka... Odprowadziłem ją przez ogród do furki i po powrocie zastałem Gryzeldę pogrążoną w głębokich rozmyślaniach.

— Wciąż się głowisz nad tym listem? — spytałem.

— Nie.

Zadrzała nagle i niecierpliwie wzruszyła ramionami.

— Len, wciąż o czymś myślę... Jak bardzo ktoś musi nienawidzić Anny Protheroe!

— Nienawidzić?

— Tak. Czy nie rozumiesz? Przeciwno Lawrence'owi nie ma właściwie żadnych dowodów — wszystkie dowody przeciw niemu są raczej przypadkowe. Strzeliło mu nagle do głowy, żeby przyjść tutaj. Gdyby nie przyszedł, nikt by go w ogóle o nic nie podejrzewał. Ale z Anną sprawa wygląda inaczej. Może ktoś wiedział, że była tutaj dokładnie o szóstej dwadzieścia — zegar i godzina podana w liście, wszystko wskazuje na nią. Wątpię, czy wskazówki zegara przesunięto dla uzyskania alibi — sądzę, że to coś więcej — ktoś po prostu usiłował stworzyć pozory, że zabiła Anna. Gdyby panna Marple nie stwierdziła, że Anna nie miała przy sobie pistoletu i że była tu tylko przez chwilę, a potem poszła do pracowni... Tak, gdyby nie to... — Gryzelda znowu zadrzała. — Len... czuję, że ktoś nienawidzi Anny z całej duszy. Przeraza mnie to.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wezwano mnie do gabinetu po przybyciu Lawrence'a Reddinga. Był bladej, wymizerowany i, jak mi się zdawało, pełen nieufności dla nas wszystkich. Pułkownik Melchett przywitał go niemal kordialnie.

— Chcemy zadać panu kilka pytań, tu, na miejscu — oznajmił.

Lawrence uśmiechnął się ironicznie.

— To zdaje się francuska metoda? Rekonstrukcja zbrodni?

— Drogi chłopcze — rzekł pułkownik Melchett — niech pan nie przybiera wobec nas tego tonu. Czy wiadomo panu, że ktoś inny przyznał się również do popełnienia zbrodni, którą pan rzekomo popełnił?

Słowa te wywarły natychmiastowy skutek.

— Ktoś... in-ny? — wyjąkał. — Kto?

— Pani Protheroe — rzekł pułkownik Melchett, obserwując go pilnie.

— Absurd. Ona go nie zabiła. Nie mogła go zabić. To niepodobieństwo.

Melchett przerwał mu.

— Tak się dziwnie składa, żeśmy nie uwierzyli jej wyznaniu. Dodam ponadto, że nie wierzymy też panu. Doktor Haydock twierdzi stanowczo, że zabójstwa nie popełniono w tym czasie, który pan podaje.

— Doktor Haydock tak twierdzi?

— Tak, widzi pan więc, że jest pan oczyszczony z podejrzeń. czy się to panu podoba, czy też nie. A teraz musi nam pan dopomóc, opowiadając dokładnie, co zaszło.

Lawrence nadal się wahał.

— Nie oszukuje mnie pan, jeśli chodzi o... o panią Protheroe? Naprawdę jej panowie nie podejrzewają?

— Daję na to słowo honoru — oświadczył pułkownik Melchett.

Lawrence odetchnął głęboko.

— Cóż za idiota ze mnie! — zawołał. — Skończony kretyn. Jak mogłem choć przez chwilę przypuszczać, że to ona...

— Może pan nam opowie wszystko po kolei? — poprosił jeszcze raz pułkownik.

— Niewiele mam do opowiedzenia. Spotkałem panią Protheroe wtedy po południu...

Urwał.

— O tym już wiemy — rzekł Melchett. — Przypuszcza pan zapewne, że pańskie uczucia do pani Protheroe i jej do pana były absolutną tajemnicą, w rzeczywistości jednak wiele osób o nich wiedziało i mówiło. W każdym razie teraz wszystko i tak wyszło na jaw.

— Dobrze wiec. Zapewne ma pan racje. Przyrzekłem księdzu proboszczowi (spojrzał tu spod oka na mnie). że... że niezwłocznie wyjadę. Spotkałem panią Protheroe tego popołudnia w pracowni o szóstej piętnaście. Powiedziałem jej, jakie powziąłem postanowienie. Zgodziła się ze mną, że nic pozostaje nam nic innego do zrobienia. No... pożegnaliśmy się... Wyszliśmy z pracowni i w chwili potem podszedł do nas doktor Stone. Anna miała tyle siły charakteru, że potrafiła zachować się zupełnie naturalnie. Ja nie mogłem się na to zdobyć. Poszedłem z doktorem Stone'em do oberży i wypilem whisky. Potem chciałem pójść do domu, ale kiedy doszedłem do zakrętu szosy, zmieniłem zamiar i postanowiłem raz jeszcze zobaczyć się z proboszczem. Czułem, że muszę z kimś o wszystkim pomówić. Pokojówka otworzyła mi drzwi. Powiedziała, że proboszcz wyszedł, ale niedługo wróci, a w gabinecie czeka na niego pułkownik Protheroe. Nic chciałem tak odejść — wyglądałoby na to, że unikam spotkania z pułkownikiem. Powiedziałem więc, że zaczekam także i poszedłem do gabinetu. Redding urwał.

— Co dalej? — spytał pułkownik Melchett.

— Protheroe siedział przy biurku — tak jak go panowie znaleźli. Podszedłem do niego — dotknąłem go. Nie żył. Spojrzałem w dół i zobaczyłem pistolet leżący na podłodze. Podniosłem go i ujrzałem, że to mój własny pistolet.

Przeraziłem się. Mój pistolet! Błysnęła mi jedna jedyna myśl. Widocznie Anna zabrała mój pistolet — z zamiarem pozbawienia się życia, jeżeli nic będzie mogła dłużej go znieść. Może miała broń dzisiaj przy sobie. Po naszym rozstaniu w miasteczku musiała tu wrócić i... i... byłem chyba szalony, że tak pomyślałem! Ale takie było moje przeświadczenie. Wsunąłem pistolet do kieszeni i wyszedłem. Tuż przed bramą spotkałem księdza proboszcza. Powiedział coś o tym, że ma się zobaczyć z pułkownikiem Protheroe — i nagle chwycił mnie śmiech. Zachowywał się tak normalnie, zwyczajnie, a ja byłem napięty jak struna. Pamiętam, że zacząłem wykrzykiwać coś bez związku, a proboszcz zmienił się na twarzy. Byłem bliski obłędu, przypuszczam. Poszedłem przed siebie... gdzie oczy poniosą... aż w końcu nie mogłem dłużej tego znieść. Jeżeli Anna zdobyła się na rzecz tak potworną, czułem się za to odpowiedzialny, w każdym razie odpowiedzialny moralnie. Poszedłem na posterunek i przyznałem się do winy.

Kiedy skończył, zaległa cisza. Przerwał ją pułkownik, mówiąc rzeczowym tonem:

— Chciałbym jeszcze zadać panu parę pytań. Po pierwsze, czy pan dotykał ciała lub je przesuwiał?

— Nie. Widać było od razu, że pułkownik nie żyje.

— Czy zauważył pan na biurku list, na pół przykryty ciałem zmarłego?

— Nie.

— Czy przesuwiał pan wskazówki zegara?

— Nie dotykałem wcale zegara. Pamiętam, że zegar leżał na biurku, przewrócony, ale go nie dotykałem.

— A kiedy widział pan ostatni raz swój pistolet?

Lawrence zastanowił się.

— Trudno mi to powiedzieć dokładnie.

— Gdzie go pan przechowuje?

— W saloniku wśród rozmaitych rupieci. Na półce z książkami.

— Zostawiał go pan na wierzchu?

- Tak. Nie myślałem o nim właściwie. Po prostu leżał sobie.
- Każdy więc, kto bywał u pana, mógł go widzieć?
- Tak.
- I nie pamięta pan, kiedy go pan ostatni raz widział?
- Lawrence ściągnął brwi, usiłując sobie przypomnieć.
- Jestem prawie pewien, że przedwczoraj był na miejscu. Pamiętam, że odsunąłem go na bok, żeby wyjąć starą fajkę. Zdaje mi się, że to było przedwczoraj, ale mogło też być o dzień wcześniej.
- Kto był ostatnio u pana?
- O, tłumy ludzi. Ktoś zawsze wchodzi i wychodzi. Przedwczoraj urządziłem coś w rodzaju herbatki. Była Letycja Protheroe, Dennis i całe ich towarzystwo. Poza tym to ta, to owa z tutejszych starszerek wstępuje do mnie na pogawędkę.
- Czy wychodząc zamyka pan dom?
- Nie, po co miałbym go zamykać? Nie mam nic takiego, co warto byłoby ukraść. Nikt tu zresztą nie zamyka drzwi na klucz.
- Czy ktoś prowadzi panu gospodarstwo?
- Stara pani Archer opiekuje się mną „na przychodne”, jak to się mówi.
- Sądzi pan, że będzie pamiętała, kiedy pistolet był ostatnio na półce?
- Nie wiem. Być może. Ale dokładne sprzątanie nie należy do jej zwyczajów.
- Rzecz sprowadza się więc do tego, że każdy prawie mógł zabrać pistolet?
- Chyba tak.
- Drzwi się otworzyły i wszedł doktor Haydock z Anną Protheroe.
- Anna drgnęła na widok Lawrence’a, on zaś zrobił krok w jej kierunku.
- Przebacz mi, Anno — rzekł. — Nie wiem, jak mogłem tak pomyśleć...
- Ja... — Anna urwała i spojrzała błagalnie na pułkownika Melchetta. — Czy to prawda, co doktor Haydock mi powiedział?
- Że pan Redding jest wolny od podejrzeń? Tak. A cóż teraz z pani wyznaniem? No, co pani powie?
- Anna Protheroe uśmiechnęła się zawstydzona.
- Uważa pan chyba, że postąpiłam okropnie?
- Powiedzmy raczej: lekkomyślnie, bardzo lekkomyślnie. Ale to już minęło. Teraz chcę usłyszeć od pani prawdę, całą prawdę.
- Anna skłoniła głowę.
- Powiem. Przypuszczam, że wie pan o... o wszystkim.
- Tak.
- Miałam spotkać się z Lawrence’em... z panem Reddingiem... po południu w pracowni. O szóstej piętnaście. Pojechałam razem z mężem do miasteczka. Miałam kilka sprawunków do załatwienia. Po drodze mąż wspomniał, że idzie do księdza proboszcza. Nie mogłam już zawiadomić Lawrence’a, a... a było mi nieprzyjemnie spotkać się z nim w ogrodzie, kiedy mój mąż jest na plebanii.
- Policzki jej płonęły, gdy to mówiła. Nie była to dla niej miła chwila.
- Pomyślałam jednak, że może mój mąż nie zabawi tam długo. Żeby się o tym przekonać, poszłam dróżką do ogrodu. Miałam nadzieję, że mnie nikt nie zobaczy, ale oczywiście panna Marple musiała akurat być w ogrodzie! Zatrzymała mnie i zamieniłyśmy kilka słów. Wytłumaczyłam, że chcę wstąpić po męża. Czulałam, że muszę coś powiedzieć. Nie wiem, czy mi uwierzyła. Miała dość dziwną minę.
- Kiedy się z nią pożegnałam, poszłam prosto na plebanie, pod okno gabinetu. Zakradłam się cichutko, spodziewając się, że usłyszę głosy. Ale ku mojemu zdziwieniu było cicho. Zajrzałam do środka, zobaczyłam, że w pokoju nie ma nikogo i poszłam przez trawnik do pracowni, gdzie zaraz po mnie przyszedł Lawrence.
- Mówi pani, że w pokoju nie było nikogo?

— Tak. Mojego męża nie było.

— Zdumiewające.

— Chce pani powiedzieć, że go pani nie widziała? — spytał inspektor.

— Nie widziałam go.

Inspektor Slack szepnął coś naczelnikowi, który skinął na znak zgody.

— Czy zechce pani pokazać nam dokładnie, jak pani podeszła do okna?

— Oczywiście.

Anna wstała, inspektor Slack otworzył jej przeszklone drzwi, po czym wyszła na taras i skręciła na lewo za dom.

Inspektor Slack władczy gestem nakazał mi usiąść przy biurku.

Nie miałem na to wielkiej ochoty. Czułem się jakoś nieswojo, ale oczywiście wykonałem milczący rozkaz.

Po chwili usłyszałem kroki za oknem. Moment ciszy, po czym kroki oddaliły się. Inspektor Slack dał mi znak, że mogę wrócić na poprzednie miejsce. Pani Protheroe weszła znów przez taras.

— Czy to dokładnie tak, jak było wtedy? — spytał pułkownik Melchett.

— Myślę, że dokładnie.

— Więc czy może nam pani powiedzieć, gdzie się znajdował ksiądz proboszcz, kiedy pani zaglądała do pokoju?

— Ksiądz proboszcz?! N—nic... nie wiem. Nie widziałam go.

Inspektor Slack skinął głową.

— Tak samo też nie widziała pani swojego męża. Siedział przy biurku.

— O! — Anna umilkła. Naraz oczy jej zaokrągliły się z przerażenia. — To właśnie tam...

— Tak, proszę pani. Tam właśnie zginął. Anna zadrżała.

Inspektor pytał dalej:

— Czy wiedziała pani, że pan Redding ma pistolet?

— Tak, mówił mi o tym kiedyś.

— Czy ten pistolet znajdował się kiedykolwiek w pani posiadaniu?

Anna potrząsnęła głową.

— Nie.

— Czy wiedziała pani, gdzie pan Redding go przechowuje?

— Nie jestem pewna. Zdaje mi się... tak, zdaje mi się, że widziałam go na półce u niego w domu.

Tam go zdaje się trzymałeś, Lawrence?

— Kiedy pani była ostatni raz w domu pana Reddinga?

— Chyba ze trzy tygodnie temu. Byłam tam z mężem na herbacie.

— A od tego czasu więcej pani tam nie była?

— Nie. Nigdy tam nie chodziłam. W miasteczku zaczęłyby się od razu plotki.

— Bez wątplenia — powiedział oschle pułkownik Melchett. — A gdzie się pani zazwyczaj widywała z panem Reddingiem, jeśli wolno zapytać?

Anna zarumieniła się.

— On przychodził zwykle do Dworu. Malował Letycję. Czasem spotykaliśmy się potem w lesie.

Pułkownik Melchett skinął głową.

— Czy to nie dosyć? — głos Anny załamał się nagle.

— To takie okropne, że muszę panom o tym wszystkim opowiadać. I... i w tym nie było nic złego. Nie było. naprawdę, nie było nic złego. Byliśmy po prostu przyjaciółmi. To nie nasza wina, że się kochamy.

Spojrzała błagalnie na doktora Haydocka i pocziwiec postąpił naprzód.

— Panie pułkowniku — powiedział — zdaje mi się, że pani Protheroe naprawdę należy już dać spokój. Doznała wielkiego wstrząsu — i to niejednego.

Melchett skinął głową.

— Właściwie to o nic więcej nie chcę już pani pytać — rzekł. — Dziękuję, że z taką szczerością odpowiadała pani na moje pytania.

— Więc mogę już iść?

— Czy pani Clement jest w domu? — zwrócił się do mnie Haydock. — Pani Protheroe chciałaby się pewnie z nią zobaczyć.

— Tak — odpowiedziałem — Gryzelda jest w domu. Znajdą ją państwo w salonie.

Anna i Haydock wyszli, Lawrence Redding za nimi.

Pułkownik Melchett ściągnął wargi i bawił się nożem do papieru. Slack patrzył na list.

Wspomniałem wtedy o teorii panny Marple.

Slack przyjrzał się uważnie pismu.

— Daję słowo — zawołał — zdaje się, że staruszka ma rację! Proszę tu spojrzeć, te cyfry są napisane innym atramentem. Godzinę napisano wiecznym piórem!

Zelektryzowało to nas wszystkich.

— Oczywiście zbadał pan odciski palców na papierze? — powiedział naczelnik policji.

— Czy pan uwierzy, panie pułkowniku? Na liście nie ma w ogóle odcisków palców. Na pistolecie są odciski palców pana Reddinga. Może tam i były jakieś inne, zanim on złapał pistolet i nosił go w kieszeni, ale teraz nie ma już nic wyraźnego, co by można utrwalić.

— Z początku sprawa wyglądała bardzo groźnie dla pani Protheroe — powiedział z namyśleni pułkownik. — Znacznie groźniej niż dla Reddinga. Wprawdzie ta panna Marple twierdzi, że pani Protheroe nie miała przy sobie pistoletu, ale starsze panie często się mylą.

Milczałem, ale nie zgadzałem się z nim. Byłem zupełnie pewien, że jeśli panna Marple tak twierdzi, to Anna Protheroe nie miała przy sobie pistoletu. Panna Marple nie należy do starszych pań, które popełniają omyłki. Przeciwnie, w jakiś niesamowity sposób ma zawsze rację.

— Przekonało mnie to, że nikt nie słyszał strzału. Gdyby pani Protheroe wtedy wystrzeliła, kłós musiałby to słyszeć — bez względu na to, z której strony rzekomo strzał miałby się rozlec. Panie inspektorze, proszę jeszcze na wszelki wypadek porozmawiać z pokojówką.

Inspektor Slack ruszył żywo ku drzwiom.

— Ja bym jej nie pytał, czy słyszała strzał w moim domu — powiedziałem. — Bo jeżeli tak pan sformułuje pytanie, ona zaprzeczy. Niech pan pyta o strzał w lesie. Twierdzi, że słyszała tylko strzał z lasu.

— Już ja wiem, jak sobie z nimi radzić — odparł inspektor i znikł za drzwiami.

— Panna Marple mówi, że słyszała strzał później — rzekł pułkownik Melchett po namyśle. — Musimy sprawdzić, czy nie mogłaby dokładnie ustalić czasu. Oczywiście mógł to być jakiś przypadkowy strzał, nie mający nic wspólnego ze sprawą.

— Oczywiście — przyznałem. Pułkownik przeszedł się po pokoju.

— Wie proboszcz — powiedział nagle — mam przeczucie, że to będzie znacznie bardziej zawiła i trudna historia, niż nam się zdaje. Do diabła, coś się za tym wszystkim kryje, coś, czego nie wiem.

— Prychnął gniewnie. — To dopiero początek. Niech ksiądz proboszcz zapamięta moje słowa — to dopiero początek. Wszystko to — zegar, list, pistolet — jakoś nie pasuje.

Potrząsnąłem ze smutkiem głową.

— Ale ja dotrę do sedna. Nie będziemy wzywali Scotland Yardu. Slack to zdolny chłopak. Bardzo zdolny. Przypomina mi fretkę. Wywęszy w końcu prawdę. Ma za sobą kilka bardzo udanych spraw, a ta będzie jego największym sukcesem. Może kto inny na moim miejscu zwróciłby się do Scotland Yardu, ale ja tego nie zrobię. Rozwikłałam zagadkę na miejscu, w Downshire.

— Jestem tego pewien — powiedziałem.

Starąłem się mówić z entuzjazmem, ale nabrałem już takiej antypatii do inspektora Slacka, że perspektywa jego przyszłych sukcesów wcale mnie nie cieszyła. Slack, który odniósł sukces, myślałem sobie, będzie jeszcze stokroć bardziej nieznośny niż Slack, któremu się nie wiedzie.

— Kto mieszka w sąsiednim domu? — spytał nagle pułkownik.

— W tym na końcu drogi? Pani Ridley.

— Pójdziemy do niej, kiedy Slack skończy rozmowę ze służącą. Może ona coś słyszała. Nie jest głucha, co?

— Przeciwnie, odznacza się chyba wyjątkowo dobrym słuchem, jeśli sądzić z ilości plotek, które rozpuszcza zaczynając od słów: „słyszałam przypadkowo...”

— Takiej właśnie kobiety nam potrzeba. O, jest już Slack.

Inspektor wyglądał jak człowiek, który odbył przed chwilą ciężką batalię. Policzki mu płonęły, na czole widniały krople potu.

— No, no! — powiedział. — Ale ksiądz ma tu sekutnicę!

— Mary istotnie odznacza się silnym charakterem — odpowiedziałem.

— Nie lubi policji — stwierdził inspektor. — Ostrzegałem ją. robiłem, co mogłem, żeby obudzić w niej zbożny lęk wobec prawa, wszystko na nic. Okropnie mi się stawiała.

— Odważna dziewczyna — powiedziałem, czując nagle przyływ życzliwości do Mary.

— Ale wy dobyłem z niej w końcu to, o co nam chodziło. Słyszała jeden strzał i było to długo po przyjściu pułkownika Prothroa. Nie mogłem nakłonić jej, żeby określiła dokładnie czas, ale ustaliliśmy go w końcu za pomocą ryby. Rybę przyniesiono z opóźnieniem, więc Mary zwymyślała chłopca, który ją przyniósł, a chłopiec powiedział, że jest dopiero pół do siódmej i zaraz potem Mary słyszała strzał. Naturalnie, trudno to uważać za ścisłe dane, ale mamy w każdym razie przybliżone pojęcie.

— Hm — chrząknął Melchett.

— Nie sędzę w końcu, żeby pani Protheroe miała z tym coś wspólnego — powiedział Slack z odcieniem żalu. — Po pierwsze, nie miałyby czasu, a po drugie, kobiety nie lubią mieć do czynienia z bronią palną. Arsenik to coś dla nich. Tak, nie przypuszczam, żeby to ona zabiła. A szkoda!

Westchnął.

Melchett oznajmił, że chce pójść do pani Ridley. Slack pochwalił ten zamiar.

— Czy mogę pójść z panem? — spytałem. — Zaczyna mnie to wszystko interesować.

Odpowiedziano mi twierdząco i wyruszyliśmy. Gdy wyszliśmy za bramę, rozległo się głośne: „Hej!” i drogą od strony miasteczku nadbiegł mój siostrzeniec Dennis.

— Słuchaj pan — zwrócił się do inspektora — co z tym śladem stopy, o którym panu powiedziałem?

— Ogrodnika — rzekł inspektor lakonicznie.

— Nie sądzi pan, że mógł to być kto inny. kto włożył buty ogrodnika?

— Nic sędzę — odparł zimno Slack. Ale Dennisa niełatwo było zniechęcić. Wyciągnął z kieszeni dwie wypalone zapalki.

— Znalazłem te zapalki przed bramą plebanii.

— Dziękuję — odrzekł Slack i schował je do kieszeni. Wszelkie tematy, zdawałoby się, zostały wyczerpane.

Dennis jednak nie dawał za wygraną.

— Czy pan aresztował właśnie wujka Lena? — spytał żartobliwie.

— Za co miałbym go aresztować? — spytał Slack.

— O, dużo rzeczy przemawia przeciwko niemu — oświadczył Dennis. — Niech pan zapyta Mary. Nie dalej jak na dzień przed zabójstwem wujek wypowiedział życzenie, żeby pułkownik Protheroe zszedł z tego świata. Prawda, wujku?

— Hm... — zacząłem.

Inspektor Slack ogarnął mnie długim, podejrzliwym spojrzeniem i poczułem, że robi mi się gorąco. Dennis potrafił być wyjątkowo nietaktowny. Powinien rozumieć, że policjanci rzadko mają poczucie humoru.

— Nie błaznuj, Dennis — powiedziałem dość ostro. Niewinne dziecię otworzyło szeroko oczy.

— Przecież to żarty! Wujek powiedział tylko, że ten, kto by zamordował pułkownika Protheroe, oddałby światu wielką przysługę.

— Aha! — rzucił inspektor Slack — to mi tłumaczy coś, co mówiła służąca.

Służące też rzadko miewają poczucie humoru. W duchu kląłem Dennisa, że w ogóle poruszył tę sprawę. Ta historia w połączeniu z zegarem wystarczy, żeby inspektor podejrzewał mnie do końca życia.

— Chodźmy, księżu proboszczu — powiedział pułkownik Melchett.

— Dokąd panowie idą? Czy mogę pójść także? — spytał Dennis.

— Nie, nic możesz — warknąłem.

Odeszliśmy, a Dennis rozżalony siał i patrzył za nami. Gdyśmy się zbliżyli do domu pani Ridley, inspektor zapukał i zadzwonił w sposób, że tak powiem, jak najbardziej oficjalny.

Drzwi otworzyła ładniutka pokojówka.

— Czy zastaliśmy panią Ridley? — spytał Melchett.

— Nie, proszę pana. — Pokojówka umilkła na chwilę, po czym dodała: — Pani Ridley poszła właśnie na policję.

Była to zgoła nieoczekiwana wiadomość. Zawróciliśmy, a Melchett chwycił mnie za ramię i szepnął:

— Jeżeli ta też się przyzna do zabójstwa, to naprawdę zwariuję!

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nie wydawało mi się prawdopodobne, aby pani Ridley miała aż tak dramatyczne zamiary, ale ciekaw byłem, co sprawiło, że udała się na posterunek policji. Czy rzeczywiście ma coś ważnego do zakomunikowania? Cóż, wkrótce się dowiemy.

Gdyśmy weszli, pani Ridley przemawiała właśnie z szybkością stu słów na minutę do oszołomionego policjanta. Kokarda na jej kapeluszu drgała gwałtownie i poznałem po tym, że pani Ridley jest czymś niesłychanie oburzona.

Na nasz, widok pani Ridley przerwała na chwilę potok swej wymowy.

— Czy pani Ridley? — zapytał pułkownik Melchett, uchylając kapelusza.

— Pozwoli pani, że jej przedstawię pana pułkownika Melchetta — powiedziałem. — Pułkownik Melchett jest naczelnikiem policji naszego hrabstwa.

Pani Ridley spojrzała na mnie oziębłe, zdobyła się jednak na coś w rodzaju uśmiechu pod adresem pułkownika.

— Byliśmy właśnie u pani — wyjaśnił pułkownik — i dowiedzieliśmy się, że udała się pani tutaj.

Pani Ridley zupełnie odtajała.

— Ach! — zawołała. — Cieszę się, że przynajmniej zwrócono wreszcie uwagę na ten wypadek! Przecież to hańba! Wstyd! Skandal!

Nie ulega wątpliwości, że morderstwo jest rzeczą haniebną, ale zestaw słów zadziwił zarówno mnie, jak i pułkownika Melchetta.

— Czy zechce pani naświetlić nam sprawę ze swojego punktu widzenia? — spytał pułkownik.

— O, nie! To rzecz policji! Za co płacimy podatki, chciałabym wiedzieć?

Ciekawe, ile razy do roku pada to pytanie! — Robimy, co możemy, proszę pani — oświadczył naczelnik policji.

— Ale ten człowiek nawet nic o tym nie wiedział, dopóki mu nie opowiedziałam! — zawołała oburzona dama.

Wszyscy spojrzeliśmy na posterunkowego.

— Do pani ktoś telefonował — poinformował nas posterunkowy. — Podobno używał nieprzyzwoitych wyrazów.

— Ach, rozumiem! — Czoło pułkownika wypogodziło się. — Mówiliśmy każde o czym innym. Pani przyszła tu, żeby złożyć skargę?



Melchett jest mądrym człowiekiem. Wie, że kiedy się ma do czynienia z rozgniewaną starszą damą, nie ma innej rady, jak ją wysłuchać. Kiedy powie wszystko, co chce powiedzieć, można ją czasem nakłonić, aby posłuchała z kolei kogoś innego.

Pani Ridley buchnęła znów potokiem słów.

— Takim haniebnym wypadkom powinno się zapobiegać. Nie powinny się w ogóle zdarzać. Żeby ktoś dzwonił do mojego własnego domu i znieważał mnie — tak, znieważał! Nie jestem przyzwyczajona do takich rzeczy. Od czasu wojny nastąpiło rozluźnienie obyczajów i moralności. Nikt nie zwraca uwagi na to, co kto mówi, a już jeśli chodzi o ubranie...

— Tak, tak jest — potwierdził skwapliwie pułkownik.

— Ale co się właściwie stało?

Pani Ridley nabrała tchu i zaczęła znowu.

— Zatelefonowano do mnie...

— Kiedy?

— Wczoraj po obiedzie, ściśle biorąc przed wieczorem. O pół do siódmej. Nic nie podejrzewając podeszłam do telefonu. Aż tu nagle zaatakowano mnie, grożono mi...

— Co właściwie mówiono?

Pani Ridley poczerwieniała.

— Tego nie mogę powtórzyć.

— Sprośne wyrazy — mruknął basem posterunkowy.

— Czy używano nieprzyzwoitych słów? — spytał pułkownik Melchett.

— To zależy od tego, co pan nazywa nieprzyzwoitymi słowami.

— Czy je pani rozumiała? — spytałem.

— Oczywiście, że rozumiałam.

— W takim razie to nie mogły być nieprzyzwoite wyrazy — stwierdziłem.

Pani Ridley spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Wytworna dama — wyjaśniłem — nie zna sprośnych wyrażań.

— To nie były takie słowa — odparła pani Ridley. — Z początku, wyznam, dałam się zwieść.

Myślałam, że ktoś rzeczywiście ma mi coś do zakomunikowania. Potem ta... osoba... zaczęła mnie lżyć.

— Lżyć?

— Tak, obrzucono mnie obelgami. Byłam wprost przerażona.

— Padły jakieś pogrożki, co?

— Tak. Nie jestem przyzwyczajona, żeby mi grożono.

— Czym pani grożono? Uszkodzeniem ciała?

— Właściwie to nie.

— Niestety, proszę pani, musi pani wyrażać się jaśniej. W jaki sposób pani grożono?

Pani Ridley jakoś wcale nie miała chęci odpowiedzieć na to pytanie.

— Nie pamiętam dokładnie. Wszystko to wytrąciło mnie zupełnie z równowagi. Ale na zakończenie, kiedy byłam już naprawdę niesłychanie zdenerwowana, ten... ten potwór się roześmiał.

— Czy to był głos męski, czy kobiecy?

— To był zwyrodniały głos — odparła z godnością pani Ridley. — Mogę tylko powiedzieć, że był bardzo dziwny. To gruby, to znów piskliwy. Bardzo osobliwy głos.

— Pewnie jakiś kawał — rzekł pułkownik uspokajająco.

— Jeśli tak, jest to karygodny wybryk. Mogłam dostać ataku serca.

— Zajmiemy się tym — rzekł pułkownik — co, inspektorze? Wyśledzimy, skąd telefonowano.

Nie może mi pani powiedzieć dokładniej, co mówiono, proszę pani?

Pani Ridley toczyła najwyraźniej walkę wewnętrzną. Pragnienie przemilczenia sprawy walczyło z pragnieniem zemsty. Zemsta zatryumfowała.

— Mam nadzieję, że to zostanie między nami... — powiedziała. — To zwierzę zaczęło od słów... po prostu trudno mi je powtórzyć...

— Tak. tak „— zachęcił pułkownik.

— „Jesteś wstrętną, złośliwą staruchą!” Ja, panie pułkowniku, jestem złośliwą staruchą! „Ale tym razem posunęłaś się za daleko. Scotland Yard uwięzi cię za oszczerstwo”.

— Nic dziwnego, że się pani przeraziła — rzekł Melchett, przygryzając wąsa. żeby ukryć uśmiech.

— „Jeżeli na przyszłość nie będziesz trzymała języka za zębami, będzie z tobą źle”. Nie umiem opisać, jaka groźba zawierała się w tych słowach. Wyjąkałam ledwie dysząc: „Kto mówi?”, a głos odpowiedział: „Mściciel”. Krzyknęłam, bo zabrzmiało to okropnie, a wówczas ta... ta osoba roześmiała się. Roześmiała się! I to było wszystko. Usłyszałam jak odłożono słuchawkę.

Oczywiście zapytałam centralę, z jakiego numeru do mnie dzwoniono, ale powiedziano mi, że nie wiadomo. Wie pan, jakie są telefonistki: niegrzeczne i pozbawione uczuć ludzkich.

— To prawda — powiedziałem.

— Słabo mi się zrobiło — ciągnęła dalej pani Ridley. — Byłam tak zdenerwowana, że kiedy usłyszałam strzał w lesie, myślałam, że ze skóry wyskoczę. Ma pan najlepszy dowód.

— Strzał w lesie? — spytał żywo inspektor Slack.

— W stanie podniecenia, w jakim się znajdowałam, zdawało mi się, że to wystrzał armatni. „O!”, jęknęłam i upadłam bezwładnie na kanapę. Klara musiała mi przynieść kieliszek dżinu.

— Gorszące — stwierdził Melchett — gorszące. I ogromnie dla pani przykre. A ten strzał był bardzo głośny, powiada pani? Jak gdyby padł gdzieś blisko?

— Po prostu zdawało mi się. bo taka byłam zdenerwowana.

— Naturalnie, naturalnie. A o której to było? Pomoże to nam wysledzić to połączenie telefoniczne, rozumie pani.

— Około pół do siódmej.

— Nie mogłaby pani określić dokładniej?

— Widzi pan, mały zegar na mojej toalecie wybił właśnie pół do siódmej i powiedziałam: „Ten zegar chyba się śpieszy”.

Bo on się czasem śpieszy. Porównałam go z zegarkiem, który miałam na ręce. Było na nim dopiero dziesięć po szóstej, ale kiedy przyłożyłam go do ucha. przekonałam się. że stanął. Więc pomyślałam sobie: „Jeżeli zegar się śpieszy, to usłyszę za chwilę bicie zegara na wieży kościelnej”. Ale zaraz właśnie zadzwonił telefon i zupełnie o tym zapomniałam.

Urwała zdyszana.

— No, to jest dość dokładne — rzekł pułkownik Melchett. — Zbadamy tę sprawę, pani Ridley.

— Niech pani powie sobie, że to był głupi żart i nie przejmuj się — poradziłem.

Pani Ridley spojrzała na mnie oziębłe. Najwidoczniej miała wciąż w pamięci incydent z banknotem.

— Bardzo dziwne rzeczy dzieją się ostatnio w naszym miasteczku — rzekła, zwracając się do Melchetta. — Bardzo dziwne. Pułkownik Protheroe miał je zbadać — i cóż go spotkało? Może teraz kolej na mnie?

Po tych słowach oddaliła się, kiwając głową melancholijnie, a zarazem złowieszczo.

— Byłoby za wiele szczęścia — mruknął cicho Melchett. Zaraz jednak spowaźniał i spojrzał pytająco na inspektora.

Wielki detektyw skinął wolno głową.

— Sprawa chyba rozstrzygnięta, panie pułkowniku. Mamy już trzy osoby, które słyszały strzał. Musimy się teraz dowiedzieć, kto go oddał. Ta sprawa z zeznaniem pana Reddinga spowodowała zwłokę w dochodzeniu. Ale mamy kilka punktów wyjścia.

Będąc pewnym, że winowajcą jest pan Redding, nie zajmowałem się nimi, teraz jednak wszystko się zmieniło. Przede wszystkim trzeba zbadać, kto telefonował.

— Do pani Ridley?

Inspektor uśmiechnął się.

— Nie, chociaż tym trzeba będzie też się zająć, bo starsza pani nie da nam spokoju. Mnie jednak chodzi o ten telefon, którym ksiądz proboszcza wywołano z domu.

— Tak — rzeki Melchett — to ważne.

— Następnie trzeba ustalić, co wszyscy robili tego dnia między szóstą a siódmą. Wszyscy w Starym Dworze, no i prawie wszyscy mieszkańcy miasteczka.

Westchnąłem.

— Jakież zasoby energii posiada pan, panie inspektorze.

— Uważam, że wszystko zależy od pracy. Zaczniemy od zanotowania czynności księdza proboszcza.

— Proszę bardzo. Zatelefonowano do mnie około pół do szóstej.

— Głos męski czy kobiecy?

— Kobiecy. Przynajmniej tak mi się zdawało. Ale oczywiście zakładałem z góry, że dzwoni pani Abbott.

— Ksiądz jednak nie poznał jej głosu?

— Chyba nie. Nie zastanawiałem się nad tym w ogóle.

— I wyruszył ksiądz od razu? Pieszko? Nie ma ksiądz proboszcz roweru?

— Nie.

— Rozumiem. Ile czasu to zajęło?

— Odległość wynosi blisko dwie mile, którąkolwiek drogą się idzie.

— Najkrótsza droga wiedzie przez las Starego Dworu?

— Właściwie tak, ale to zła droga. Poszedłem i wróciłem ścieżką przez pola.

— Tą, która zaczynała się naprzeciwko bramy plebanii?

— Tak.

— A żona księdza proboszcza?

— Moja żona była w Londynie. Przyjechała pociągiem o szóstej pięćdziesiąt.

— Dobra. Ze służącą już rozmawiałem. Plebanię więc mamy załatwioną. Pójdę teraz do Starego Dworu. A potem chciałbym porozmawiać z panią Lestrangle. Dziwne, że była u pułkownika Protheroe akurat w wigilię jego śmierci. W ogóle w tej sprawie wszystko jest dziwne.

Zgodziłem się z nim.

Spojrzałem na zegar i zdałem sobie sprawę, że zbliża się pora obiadowa. Zaprosiłem Melchetta, żeby zjadł obiad u nas, ale wymówił się, twierdząc, że musi być „Pod Niebieskim Dzikim”. „Pod Niebieskim Dzikim” jedzenie jest niezbyt wykwintne, ale bardzo smaczne. Pomyślałem sobie, że Melchett dokonał mądrego wyboru. Należało się spodziewać, że Mary po rozmowach z policją będzie bardziej jeszcze nie zrównoważona niż zazwyczaj.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W drodze do domu spotkałem pannę Hartnell, która trzymała mnie co najmniej dziesięć minut, wyrzekając swoim basowym głosem na lekkomyślność i niewdzięczność niższych klas społeczeństwa. Chodziło głównie o to, że „nasi ubodzy” nie życzą sobie oglądać panny Hartnell w swoich domach. Sympatia moja była całkowicie po ich stronie. Stanowisko moje nie pozwala mi wyrażać niechęci do niektórych osób w sposób tak szczerzy i niedwuznaczny, jak to czynią oni.

Uspokoilem ją, jak mogłem, po czym umknąłem.

Haydock, który jechał swoim samochodem, dopędził mnie na zakręcie drogi na plebanię.

— Odwiozłem właśnie panią Protheroe do domu! — zawołał.

Począł na mnie przed bramą swojego domu.

— Niech ksiądz na chwilę wejdzie — powiedział.

Weszliśmy do środka.

— Przedziwna historia — powiedział, rzucając kapelusz na krzesło i otwierając drzwi do gabinetu.

Opadł na zniszczony fotel skórzany i patrzył gdzieś w przestrzeń. Minę miał zmartwioną i zatroskaną.

Opowiedziałem mu, że udało się nam ustalić czas wystrzału. Słuchał jakby z roztargnieniem.

— Więc Anna Protheroe jest wolna od podejrzeń — powiedział. — No, cieszę się, że to żadne z nich. Lubię ich oboje.

Uwierzyłem mu, a jednak zastanowiło mnie, czemu — skoro, jak sam powiedział, lubi ich oboje — ustalenie niewinności tych dwojga wprawiło go w tak posępny nastrój. Rano jeszcze wyglądał jak człowiek, któremu ciężar spadł z serca, teraz był nieswój i zdenerwowany.

Mimo to byłem pewien, że mówił szczerze. Lubił zarówno Annę Protheroe, jak i Lawrence'a Reddinga. Skąd więc ta posępna zaduma?

Haydock z wysiłkiem otrząsnął się z przykrych myśli.

— Chciałem opowiedzieć księdzu o wikarym Hawesie. Przez te wszystkie historie na śmierć o nim zapomniałem.

— Czy rzeczywiście jest chory?

— Właściwie nic mu nic jest. Wie ksiądz, oczywiście, że przechodził encephalitis lethargica, popularnie zwaną śpiączką.

— Nie — odparłem zaskoczony — nic o tym nie wiedziałem. Nigdy mi nic mówił. Kiedy przechodził śpiączkę?

— Mniej więcej przed rokiem. Wyzdrowiał, jeżeli w ogóle można po śpiączce powrócić do zdrowia. To dziwna choroba — pozostawia ślady w psychice. Czasami charakter człowieka zupełnie się po niej zmienia.

Milczał przez chwilę, potem dodał:

— Myślimy teraz że zgrozą o czasach, kiedyśmy palili czarownice. Moim zdaniem nadejdzie dzień, kiedy z dreszczem przerażenia będziemy wspominali o tym, żeśmy kiedykolwiek wieszali przestępców.

— Jest pan przeciwnikiem kary śmierci?

— Nie o to nawet chodzi. — Doktor urwał. — Wie ksiądz — powiedział wolno — wolę swoją pracę od pracy księdza proboszcza.

— Czemu?

— Bo ksiądz ma do czynienia przede wszystkim z tym, co nazywamy dobrem i złem — a ja nie jestem wcale pewien, czy coś takiego w ogóle istnieje. Być może to wszystko jest tylko sprawą gruczołów wydzielania wewnętrznego. Nadczynność jednego gruczołu, niedoczynność innego — i oto mamy mordercę, złodzieja, notorycznego przestępcę. Księżę proboszczu, przyjdzie na pewno czas, kiedy ze zgrozą będziemy myśleli o długich stuleciach, kiedyśmy pozwalali sobie na tak zwane potępienie moralne, o tym, jak karaliśmy ludzi za choroby, na które biedacy nie mieli rady. Nie wiesz się przecież człowieka za to, że ma gruźlicę.

— Nie jest niebezpieczny dla otoczenia.

— W pewnym sensie jest niebezpieczny. Zaraża innych. Albo weźmy człowieka, który wyobraża sobie, że jest cesarzem chińskim. Nie wyrzuca się mu, że to bardzo nieładnie z jego strony. Owszem zgadzam się — społeczeństwo należy chronić. Trzeba zamykać takich ludzi gdzieś, gdzie nie mogą nikomu wyrządzić szkody — można ich nawet w sposób humanitarny pozbawić życia — owszem, posunąłbym się nawet do tego. Ale nic nazywajmy tego karą. Nic ściągajmy wstydu na nich i na ich niewinne rodziny.

Spojrzałem na doktora ze zdziwieniem.

— Nigdy nie słyszałem od pana takich poglądów.

— Bo ja nie mam zwyczaju rozprawiać o swoich teoriach. Dzisiaj tylko dosiadłem ulubionego konika. Ksiądz proboszcz jest człowiekiem inteligentnym, czego nie da się powiedzieć o

wszystkich pastorach. Nie przyzna ksiądz zapewne, że tak zwany „grzech” właściwie nie istnieje, ale ma ksiądz dość otwartą głowę, aby zastanowić się nad taką możliwością.

— Mierzy to w podstawy wszystkich przyjętych przez nas pojęć.

— Tak, jesteśmy kupą ograniczonych, zadowolonych z siebie istot, aż nazbyt skorych do wyrokowania o sprawach, o których nie mamy żadnego wyobrażenia. Jestem święcie przekonany, że zbrodniarzem powinien się zajmować lekarz — nie policjant i nie duszpasterz. W przyszłości zresztą może w ogóle nie będzie zbrodniarzy.

— Uleczy ich pan?

— My ich uleczy my. Piękna myśl? Czy ksiądz przeglądał kiedykolwiek statystyki zbrodni? Oczywiście, że nie — bardzo niewiele osób tym się interesuje. A ja je studiuje. Zdziwiłby się ksiądz, jak wielka jest przestępczość wśród nieletnich — znów gruczoły. Neil, morderca z Oxfordshire, zabił pięć małych dziewczynek, zanim na niego padło podejrzenie. Lily Rose, dziewczynka z Kornwalii — zabiła wuja, bo ją za karę pozbawił słodyczy. Uderzyła go młotkiem, kiedy spał. Pojechała do domu i po dwóch tygodniach zabiła starszą siostrę, na którą rozgniewała się o jakąś drobnostkę. Żadnego z tych dwojga oczywiście nie powieszono — odesłano ich do zakładu poprawczego. Może wyrosną na normalnych ludzi, a może nie. Jeśli chodzi o dziewczynkę, wątpię. Lubi tylko jedno — patrzeć, jak się zabija świnię. Czy wie ksiądz, kiedy samobójstwa są najczęstsze? W wieku od piętnastu do szesnastu lat. Od samobójstwa do zabójstwa jest tylko jeden krok. Ale nic jest to ułomność moralna, lecz fizyczna.

— Mówi pan rzeczy okropne!

— Ani trochę, tylko nowe dla księdza. Należy patrzeć w oczy nowym prawdom. Korygować swoje idee. Ale czasami to utrudnia życie.

Siedział marszcząc brwi, twarz jego nosiła wyraz znużenia.

— Doktorze — powiedziałem — gdyby pan podejrzewał... gdyby pan wiedział, że ktoś jest mordercą, wydałby pan tę osobę w ręce władz, czy też starałby się pan ją osłonić?

Nie spodziewałem się, że pytanie moje wywoła taki skutek. Doktor drgnął i wbił we mnie gniewne, nieufne spojrzenie.

— Czemu ksiądz o to pyta? Co ksiądz ma na myśli? Proszę powiedzieć wszystko!

— Ależ nic specjalnego nie miałem na myśli — odparłem nieco speszony. — Tyle tylko, że wciąż teraz myślimy o tym morderstwie. Ciekaw byłem, jakiego byłby pan zdania na ten temat, gdyby przypadkiem wykrył pan mordercę — to wszystko.

Gniew doktora minął od razu. Haydock spojrzał raz jeszcze przed siebie jak człowiek, który usiłuje znaleźć odpowiedź na nękającą go zagadkę.

— Gdybym kogoś podejrzewał... gdybym coś wiedział... spełniłbym swój obowiązek. Przynajmniej mam nadzieję, że spełniłbym go.

— Chodzi mi właśnie o to, co uważałby pan za swój obowiązek.

Haydock spojrzał na mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— Każdy człowiek kiedyś w życiu staje chyba wobec tego pytania. I każdy musi sam zdecydować.

— Nie jest pan pewien?

— Nie jestem pewien...

Poczułem, że najlepiej będzie zmienić temat.

— Jeśli ktoś się czuje w swoim żywiole, to mój siostrzeniec — powiedziałem. — Wciąż tylko szuka śladów stóp i bada popiół z papierosów.

Haydock uśmiechnął się.

— Ile on ma lat?

— Skończył właśnie szesnaste. W tym wieku nie bierze się tragedii zbyt poważnie. Ma się w głowie tylko Sherlocka Holmesa i Arsena Lupina.

Haydock rzekł po namyśle:

— Duży ładny chłopak. Co ksiądz zamierza z nim zrobić?

— Niestety, nie stać mnie na to, żeby posłać go na uniwersytet. On sam chce iść do marynarki handlowej. Do wojennej nie zdał egzaminu.

— Cóż... to ciężkie życie... ale nie najgorsze. Tak, wcale nie najgorsze.

— Ojej, muszę już iść! — zawołałem spojrzawszy na zegar. — Spóźniłem się już pół godziny na obiad.

Moja rodzina siadała właśnie do stołu, kiedy przyszedłem. Zażądano ode mnie dokładnego sprawozdania z wydarzeń, którego udzieliłem, czując, że właściwie sprawa wcale nie posunęła się naprzód.

Dennisa jednak ubawiła ogromnie historia telefonu do pani Ridley. Pokładał się ze śmiechu, kiedy opisywałem wstrząs nerwowy, po którym czcigodną damę trzeba było cucić dzinem.

— Dobrze tak tej starej jędzy! — wołał. — Ma najgorszy jezor w całej okolicy. Szkoda, że nie przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić do niej i ją nastraszyć. A może by tak dać jej drugą porcję?

Przerażony błagałem go, żeby nic podobnego nie robił. Kiedy młodsze pokolenie ożywione najlepszymi zamiarami siara się pomóc starszym, skutki bywają nieobliczalne.

Dennis spowaźniał nagle. Zmarszczył brwi i przybrał minę człowieka doświadczonego.

— Spędziłem cały ranek z Letycją — powiedział. — Wiesz. Gryzeldo, ona jest bardzo przejęta śmiercią ojca. Stara się tego nie pokazywać, ale naprawdę jest bardzo przejęta.

— Spodziewam się — odparta Gryzelda, na której słowa Dennisa nie wywarły specjalnego wrażenia. Gryzelda bowiem nie przepada za Letycją Protheroe.

— Moim zdaniem jesteś niesprawiedliwa dla Letycji.

— Myślisz? — spytała Gryzelda.

— Mnóstwo ludzi nie nosi żałoby.

Gryzelda nie odpowiedziała, ja też nie zabrałem głosu. Dennis ciągnął dalej:

— Ona jest skryta, ale ze mną rozmawia. Bardzo się przejmuje tą całą sprawą i uważa, że coś się powinno przedsięwziąć.

— Przekona się wkrótce, że inspektor Slack podziela jej zdanie — rzekłem. — Wybiera się dziś po południu do Starego Dworu i na pewno zatruje tam wszystkim życie, usiłując dociec prawdy.

— A co ty myślisz, Len, jak wygląda prawda? — spytała naraz moja żona.

— Trudno powiedzieć, moja droga. Sam nie wiem, czy w tej chwili coś przypuszczam.

— Mówiłeś, że inspektor Slack chce ustalić, skąd był ten telefon, kiedy cię wezwano do Abbottów?

— Tak.

— Ale czy, mu się to uda? Czy to nic jest bardzo trudne do ustalenia?

— Przypuszczam, że nie. W centrali mają wykaz połączeń.

— Ach tak! — Moja żona zamyśliła się głęboko.

— Wuju — odezwał się Dennis — czemuś się tak zdenerwował, kiedy zażartowałem, żeś życzył pułkownikowi Protheroe śmierci?

— Bo na wszystko jest swój czas — odparłem. — Inspektor Slack nie ma poczucia humoru. Wziął twoje słowa zupełnie poważnie, będzie na pewno znów wypytywał Mary i uzyska dla mnie nakaz aresztowania.

— Co, on się nie zna na żartach?

— Tak jest, nie zna się. Doszedł do obecnego stanowiska gorliwą pracą i pilnym wypełnianiem obowiązków. Nie miał więc czasu na rozrywki.

— Lubisz go, wuju?

— Nie — odparłem — nie lubię go. Od pierwszej chwili, kiedy go ujrzałem, poczułem do niego wielką niechęć. Ale nie wątpię, że w swoim zawodzie jest człowiekiem wybitnym.

— Myślisz, że wykryje zabójcę starego Protheroe?

— Jeżeli nawet nie wykryje — rzekłem — to w każdym razie zrobi w tym kierunku wszystko, co w jego mocy.

Weszła Mary i oznajmiła:

— Pan Hawes do pana. Zaprowadziłam go do salonu, a tu jest list. Proszę o odpowiedź. Ustna wystarczy.

Rozerwałam kopertę i przeczytałam list.

Wielce Szanowny Księżę Proboszczu!

Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby zechciał Ksiądz Proboszcz odwiedzić mnie dzisiaj, możliwie jak najprędzej. Jestem w wielkim kłopotcie i chcę prosić o radę. Z prawdziwym poważaniem

Estella Lestrangle

— Powiedz, że będę za pół godziny — powiedziałam Mary.

Po czym udałem się do salonu, w którym czekał na mnie Hawes.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wygląd wikarego zmartwił mnie bardzo. Ręce mu się trzęsły, po twarzy przebiegał raz, po raz nerwowy skurcz. Moim zdaniem powinien być leżeć w łóżku i powiedziałem mu to. Upierał się jednak, że jest zupełnie zdrow.

— Zapewniam księdza proboszcza, że nigdy nie czułem się lepiej. Nigdy w życiu.

Było to tak wyraźnie niezgodne z prawdą, że nie wiedziałem po prostu, co mu odpowiedzieć. Żywię niejaki podziw dla ludzi, którzy nie poddają się chorobie, Hawes jednak stanowczo posuwał się w bohaterstwie za daleko.

— Przyszedłem powiedzieć księdzu proboszczowi, jak mi przykro... że coś podobnego zdarzyło się na plebanii.

— Tak przyznałem — nie jest to zbyt mile.

— To okropne... okropne... Podobno koniec końców nie zaarrestowano pana Reddinga?

— Nie. Była to pomyłka. Złożył... hm... dość lekkomyślne zeznanie.

— I policja jest teraz pewna, że jest niewinny?

— Najzupełniej pewna.

— A dlaczego, jeśli wolno zapytać? Czy... chciałem powiedzieć, czy podejrzewają kogoś innego?

Nigdy bym nic przypuszczał, że Hawes tak bardzo się będzie interesował szczegółami zabójstwa. Może ciekawość ta wynikała stąd, że siało się to na plebanii. Był roznamiętniony niczym reporter.

— Nie mam pewności, czy inspektor Slack informuje mnie o wszystkim, co dotyczy sprawy, ale o ile mi wiadomo, nie podejrzewa na razie żadnej konkretnej osoby. Prowadzi obecnie dochodzenie.

— Tak... tak, oczywiście... Ale któż mógł popełnić tak potworny czyn?

Potrząsnąłem głową.

— Pułkownik Protheroe nie był zbyt lubiany, wiem o tym, ale morderstwo! Do popełnienia takiej zbrodni muszą być chyba niezwykle silne pobudki.

— Ja też tak myślę — stwierdziłem.

— Któż mógł mieć takie powody? Czy policja orientuje się choć w przybliżeniu?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć.

— Mógł mieć wrogów, oczywiście. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej dochodzę do wniosku, że pułkownik był tego rodzaju człowiekiem, który może mieć wrogów. Miał. na przykład, opinię bardzo surowego sędziego.

— Tak też zdaje się było.

— Ksiądz proboszcz przypomina sobie? Wczoraj wieczorem pułkownik Protheroe opowiadał, że ten kłusownik Archer odgrażał mu się.

— Tak. rzeczywiście, teraz sobie przypominam — powiedziałem. — Stał ksiądz wtedy nieopodal.

— Tak. słyszałem, co mówił pułkownik. Trudno było nie usłyszeć, pułkownik miał taki donośny głos... Pamiętam, że słowa księdza proboszcza wywarły na mnie wielkie wrażenie. O tym, że

kiedy nadejdzie czas. być może do niego też zastosowana będzie sprawiedliwość zamiast miłosierdzia.

— Tak powiedziałem? — zapytałem, ściągając brwi. Ja pamiętałem własne słowa nieco inaczej.

— Ksiądz proboszcz powiedział to w sposób niezwykle sugestywny. Uderzyły mnie te słowa.

Sprawiedliwość to rzecz okropna. I pomyśleć, że nieszczęśliwy pułkownik zginął niedługo potem. Zupełnie jakby ksiądz proboszcz miał przeczucie.

— Nic miałem żadnego przeczucia — odparłem krótko. Nic podoba mi się u Hawesa ta skłonność do mistycyzmu. Ma on w sobie coś z wizjonera.

— Czy mówił ksiądz proboszcz policji o tym kłusowniku Archerze?

— Nic o nim nie wiem.

— Chodzi mi o to, czy ksiądz proboszcz powtórzył, co mówił pułkownik Protheroe... o tym, że Archer mu groził.

— Nie — rzekłem wolno.

— Ale powie ksiądz proboszcz?

Nie odpowiedziałem. Nie znoszę szczucia, zwłaszcza gdy chodzi o człowieka, który i tak już ma przeciwko sobie siły prawa i porządku. Nic zamierałem bronić Archera — jest to niepoprawny kłusownik — wesoły nicpoń, jakich można znaleźć w każdej parafii. Ale choćby nawet powiedział coś w gniewie, gdy go skazano, nie miałem wcale pewności, że nosił się z tymi samymi zamiarami po wyjściu z więzienia.

— Słyszał ksiądz naszą rozmowę — powiedziałem wreszcie. — Jeżeli uważa ksiądz za swój obowiązek donieść o niej policji, proszę to zrobić.

— Lepiej by wyglądało, gdyby to zrobił ksiądz proboszcz.

— Być może... ale szczerze mówiąc... no, po prostu nie mam na to ochoty. Kto wie, może przyczyniłbym się do zarzucenia stryczka na szyję niewinnemu człowiekowi.

— Ale jeżeli to on zabił pułkownika Protheroe...

— Ach, jeżeli! Nie ma na to żadnych dowodów.

— A pogróżki.

— Ściśle biorąc, to nie on rzucał pogróżki, ale pułkownik Protheroe. Pułkownik groził, że następnym razem, kiedy złapie Archera, pokaże mu, co warta jest zemsta.

— Nie rozumiem postawy księdza proboszcza.

— Nic? — rzuciłem ze znużeniem. — Bo ksiądz jest jeszcze młody i pełen zapału. Kiedy dojdzie ksiądz do moich lat, przekona się, że lepiej jest nie potępiać nikogo z góry.

— Wcale nie o to mi... Chciałem powiedzieć... Urwał, a ja spojrzałem na niego zdziwiony.

— Czy... czy nie domyśla się ksiądz proboszcz, kto popełnił morderstwo?

— Ależ skąd, nie mam wcale pojęcia. Hawes nie ustępował.

— A przynajmniej... pobudek zbrodni.

— Nie, a ksiądz?

— Ja? — odparł wikary. — Nie, nie... Zastanawiałem się tylko... Może pułkownik Protheroe... zwierzył się z czegoś księdzu proboszczowi... może wspomniał o czymś...

— Jego zwierzenia słyszało wczoraj rano całe miasteczko — rzekłem oschle.

— Tak... tak, naturalnie... Więc nie przypuszcza ksiądz proboszcz,, że to Archer?

— Policja i tak dowie się niechybnie o Archerze, i to w bardzo niedługim czasie — powiedziałem. — Gdybym sam słyszał, jak Archer grozi pułkownikowi Protheroe, byłaby inna sprawa. Ale może ksiądz być pewien, że jeśli Archer mu groził, polowa tutejszych mieszkańców słyszała pogróżki i wiadomość o tym dotrze do uszu policji. Ksiądz oczywiście musi postąpić w tym wypadku, jak sam uważa za stosowne.

Ale Hawes zdradzał wyraźną niechęć do osobistej interwencji.

W ogóle zachowywał się dziwnie i znać było po nim wielkie zdenerwowanie. Przypomniałem sobie, co mówił doktor Haydock o jego chorobie. Uznałem, że w niej należy doszukiwać się przyczyny nerwowości wikarego.



Hawes odszedł z ociąganiem, jak gdyby miał jeszcze coś do powiedzenia, lecz nie wiedział, jak zacząć.

Zanim wyszedł, umówiłem się z nim, że odprawi nabożeństwo dla Związku Matek. Miałem na to popołudnie inne plany.

Starając się nie myśleć więcej o wikarym i o jego kłopotach, ruszyłem do pani Lestrangle.

Na stole w holu leżały pisma „Guardian” i „Church Times” w nietkniętych opaskach.

W drodze przypomniałem sobie, że pani Lestrangle była u pułkownika Protheroe w wigilię jego śmierci. Być może w rozmowie poruszyli coś, co może rzucić teraz światło na zagadkę morderstwa.

Wprowadzono mnie prosto do saloniku, w którym czekała już na mnie pani Lestrangle. Wstała, aby mnie powitać. Znow uderzyła mnie cudowna atmosfera, którą ta kobieta umiała stwarzać wokół siebie. Miała na sobie suknię z jakiegoś matowego czarnego materiału, który podkreślał niezwykłą biel jej cery. Ale twarz jej nosiła wyraz jakiejś martwoty, tylko oczy płonęły gniewem.

Dostrzegłem w nich błysk jakby napięcia czy też wyczekiwania. Poza tym pani Lestrangle nie zdradzała żadnych oznak podniecenia.

— Bardzo to ładnie, że ksiądz proboszcz przyszedł — rzekła, podając mi rękę. — Chciałam pomówić z księdzem przedwczoraj, a potem się rozmyśliłam. Niesłusznie.

— Jak już powiedziałem wtedy, rad będę, jeśli zdołam w czymś pani pomóc.

— Tak, powiedział to ksiądz proboszcz. I powiedział to ksiądz takim tonem, jakby to rzeczywiście myślał. A bardzo niewielu ludzi na tym świecie kiedykolwiek pragnęło szczerze mi dopomóc.

— Trudno mi w to uwierzyć, proszę pani.

— Jednakże to prawda. Większość ludzi... większość mężczyzn, w każdym razie, myśli zwykle o własnej korzyści.

W głosie jej brzmiała gorycz.

Nie odezwałem się. pani Lestrangle więc powiedziała:

— Zechce ksiądz proboszcz usiąść.

Usłuchałem, ona zaś usiadła na fotelu naprzeciwko mnie. Zastanowiła się chwilę, po czym zaczęła mówić bardzo wolno, z namysłem, jakby ważąc każde słowo.

— Jestem w bardzo szczególnej sytuacji i chcę księdza proboszcza prosić o radę. Chodzi o to, że nic nie wiem, co teraz robić. Przeszłość jest przeszłością i nic da się jej odrobić. Rozumie mnie ksiądz proboszcz?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, pokojówka, która mnie wprowadziła, otworzyła drzwi i powiedziała zacerwieniona aż po czubek głowy:

— Przepraszam panią bardzo, ale przyszedł inspektor policji i mówi, że musi się z panią natychmiast zobaczyć.

Nastąpiła pauza. Na twarzy pani Lestrangle nie drgnął żaden mięsień. Tylko oczy bardzo wolno zamknęły się i otworzyły znowu. Zdawało się, że coś przełknęła, po czym powiedziała tym samym spokojnym, dźwięcznym głosem:

— Poproś go tu. Hildo.

Chciałem wstać, ale pani Lestrangle ruchem ręki nakazała mi, bym usiadł.

— Gdyby można prosić... Będę bardzo wdzięczna, jeśli ksiądz proboszcz zostanie.

Usiadłem znowu.

— Oczywiście, skoro pani sobie życzy — szepnąłem, gdy Slack wszedł energicznym, wytrenowanym krokiem.

— Dzień dobry pani — rzekł.

— Dzień dobry, panie inspektorze.

W tej chwili inspektor ujrzał mnie i zmarszczył się gniewnie. Nic ma co do tego najmniejszych wątpliwości

— Slack mnie nie lubi.

— Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, aby ksiądz proboszcz był obecny przy naszej rozmowie.

Inspektorowi nie wypadło odpowiedzieć szczerze.

— N—nie — rzekł niechętnie. — Chociaż może byłoby lepiej...

Pani Lestrangle nie zwróciła uwagi na te ostatnie słowa.

— Czym mogę panu służyć? — spytała.

— Rzecz się przedstawia następująco, proszę pani. Zamordowano pułkownika Protheroe i ja prowadzę dochodzenie w tej sprawie.

Pani Lestrangle skinęła głową.

— Aby dopełnić formalności, pytam wszystkich mieszkańców miasteczka, gdzie byli wczoraj wieczorem między szóstą a siódmą po południu. Powtarzam, że jest to tylko formalność.

Pani Lestrangle bynajmniej się tym nie stropiła.

— Pragnie się pan dowiedzieć, gdzie byłam wczoraj między szóstą a siódmą?

— Tak jest, proszę pani, jeśli pani łaskawa.

— Zaraz... — Pani Lestrangle zastanawiała się chwilę.

— Byłam tutaj, w domu.

— O! — Oczy inspektora zabłysły. — A pokojówka pani — ma pani zdaje się, tylko jedną służącą — może to potwierdzić?

— Nie, Hilda miała wychodne.

— Rozumiem.

— Więc niestety będzie pan musiał uwierzyć mi na słowo — powiedziała uprzejmie pani Lestrangle.

— Stwierdza pani z całą powagą, że była pani przez całe popołudnie w domu?

— Powiedział pan między szóstą a siódmą, panie inspektorze. Wczesnym popołudniem byłam na spacerze. Wróciłam na krótko przed piątą.

— Więc gdyby jakaś pani — na przykład panna Hartnell — twierdziła, że była tu około szóstej, dzwoniła do drzwi, ale nikt jej nie otworzył i musiała odejść — powiedziałyby pani, że osoba ta się myli?

— O, nie! — Pani Lestrangle stanowczo potrząsnęła głową.

— Ależ...

— Jeśli pokojówka jest w domu, może powiedzieć, że mnie nie ma. Ale jeżeli jestem sama, a nie mam ochoty przyjmować wizyt, wówczas jedyna rada, to pozwolić gościom dzwonić, dopóki się nie zniechęcą.

Inspektor Slack był wyraźnie skonsternowany.

— Starsze panie nudzą okropnie — dodała pani Lestrangle. — A panna Hartnell jest wyjątkowo nudna. Dzwoniła chyba z piętnaście razy, nim odeszła.

Uśmiechnęła się uroczo do inspektora. Inspektor spróbował z innej beczki.

— Więc gdyby ktoś twierdził, że mniej więcej w tym czasie widział panią poza domem...

— Ale nikt mnie nie widział, prawda? — Pani Lestrangle natychmiast wyczuła słabość przeciwnika. — Nikt nie widział mnie poza domem, bo byłam w domu.

— T—tak, proszę pani...

Inspektor przysunął krzesło o cal bliżej.

— Poza tym, o ile mi wiadomo, złożyła pani wizytę pułkownikowi Protheroe w wigilię jego śmierci.

— Tak jest — odparła spokojnie pani Lestrangle.

— Czy może mi pani zdradzić, jaki charakter miała rozmowa z pułkownikiem?

— Rozmowa dotyczyła spraw prywatnych, panie inspektorze.

— Niestety muszę prosić, aby powiedziała mi pani, co to były za sprawy.

— Nic panu na ten temat nie powiem, panie inspektorze. Mogę tylko zapewnić pana, że to, co mówiliśmy podczas mojej wizyty, nie może mieć żadnego związku z zabójstwem.

- Nie jestem pewien, czy może pani o tym wyrokować.
- W takim razie będzie pan musiał uwierzyć mi na słowo.
- Właściwie to w ogóle muszę uwierzyć pani na słowo.
- Na to rzeczywiście wygląda — przyznała pani Lestrangle wciąż z tym samym spokojnym uśmiechem.
- Inspektor Slack zaczerwienił się jak burak.
- Sprawa jest poważna, proszę pani. Chcę znać prawdę... — inspektor uderzył pięścią w siódło — i osiągnę to.
- Pani Lestrangle nic nie odpowiedziała.
- Czy nie widzi pani, że stawia się w bardzo dwuznacznej sytuacji?
- Pani Lestrangle nadal nic nie odpowiadała.
- Będzie pani zeznawać na rozprawie?
- Tak.
- Monosylaba, rzucona bez nacisku, zupełnie obojętnie. Inspektor zmienił taktykę.
- Znała pani pułkownika Protheroe?
- Tak, znałam go.
- Dobrze go pani znała?
- Pani Lestrangle odpowiedziała po krótkiej pauzie:
- Nie widziałam go od kilku lat.
- Czy pani znała panią Protheroe?
- Nie.
- Proszę mi darować, ale wybrała pani na wizytę bardzo dziwną porę.
- Z mojego punktu widzenia pora była najwłaściwsza.
- Co pani chce przez to powiedzieć?
- Pani Lestrangle odpowiedziała dźwięcznie i wyraźnie:
- Chciałam porozmawiać z pułkownikiem Protheroe w cztery oczy. Nie chciałam widzieć się z panią Protheroe ani z panną Protheroe. Uważałam, że w ten sposób najłatwiej osiągnę zamierzony cel.
- Dlaczego nie chciała się pani widzieć z panią Protheroe i z panną Protheroe?
- To już moja sprawa, panie inspektorze.
- Nie powie pani nic więcej?
- Nic absolutnie.
- Inspektor Slack wstał.
- Niech pani będzie ostrożna, bo może się pani znaleźć w bardzo niemiłej sytuacji. Wszystko to wygląda mi niedobrze... bardzo niedobrze.
- Pani Lestrangle roześmiała się. Mógłbym uprzedzić z góry inspektora Slacka, że nie należy ona do kobiet, które łatwo zastraszyć.
- Proszę pamiętać, że panią ostrzegałem. To wszystko — rzekł inspektor usiłując wycofać się z godnością. — Do widzenia pani. Zapewniam panią, że dojdziemy w końcu prawdy.
- Inspektor wyszedł. Pani Lestrangle wsiała i podała mi rękę.
- Pożegnaj teraz księdza proboszcza — tak będzie lepiej. Widzi ksiądz proboszcz, powzięłam już decyzję.
- Głosem, w którym brzmiała beznadzieja, powtórzyła:
- Powzięłam już decyzję.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wychodząc spotkałem na ganku doktora Haydocka. Obejrzał się za inspektorem, który wychodził właśnie przez bramę i zapytał:

- Indagował ją?

— Tak.

— Mam nadzieję, że był grzeczny?

Grzeczność moim zdaniem jest sztuką, której inspektor Slack jak dotychczas nie posiadał, przypuszczałem jednak, że we własnym mniemaniu inspektor zachowywał się bardzo grzecznie, a zresztą nie chciałem psuć doktorowi humoru. I tak już widać było, że jest zatroskany i nieswój. Oświadczyłem więc, że inspektor zachowywał się wcale uprzejmie.

Haydock skinął głową i wszedł do domu, ja zaś ruszyłem ulicą na której wkrótce dopędziłem inspektora. Jak mi się zdaje, szedł on umyślnie wolno. Inspektor bez wątpienia nie lubi mnie, nie należy jednak do ludzi, którzy by z powodu jakiejś tam antypatii zrezygnowali z możliwości uzyskania cennych informacji.

— Czy księdzu proboszczowi wiadomo coś o tej pani? — zapytał prosto z mostu.

Odparłem, że nic mi o niej nie wiadomo.

— Nie wspominała nigdy, czemu tu zamieszkała?

— Nie.

— A jednak ksiądz proboszcz bywa u niej?

— Odwiedzanie parafian należy do moich obowiązków — odparłem, pomijając milczeniem fakt, że mnie dzisiaj wezwano.

— Hm... chyba tak.

Inspektor milczał chwilę, jednakże niepowodzenie, którego doznał, wciąż go widocznie bolało, bo dodał:

— Podejrzana historia.

— Sądzi pan?

— Gdyby mnie kto pytał, powiedziałbym jedno słowo: „szantaż”. Wydaje się nieprawdopodobne, bo przecież pułkownik Protheroe taką tu miał opinię... Ale w tych rzeczach nigdy nic nie wiadomo. W każdym razie nie byłby to pierwszy członek rady parafialnej, który prowadził podwójne życie.

Przez głowę przemknęło mi mgliste wspomnienie uwag panny Marple na ten sam temat.

— Sądzi pan, że to możliwe?

— Fakty potwierdzają moją teorię, proszę księdza proboszcza. Po co wytworna, elegancka dama przyjeżdża do takiej dziury? Po co odwiedza pułkownika o tak dziwnej porze? Czemu unika spotkania z panią Protheroe i z panną Protheroe? Tak, to wszystko pasuje. Ona nie może się przyznać — szantaż jest przestępstwem karanym przez prawo. Ale wydobędziemy z niej prawdę. Nie wiemy — może to ma wielkie znaczenie dla sprawy. Jeżeli pułkownik Protheroe miał jakieś tajemnice — coś kompromitującego — to sam ksiądz proboszcz orientuje się na pewno, jakie się odsłaniają możliwości.

Orientowałem się.

— Próbowalem wyciągnąć coś z kamerdynera. Mógł podsłuchać rozmowę między pułkownikiem Protheroe a tą Lestrangle. Kamerdynerom to się zdarza. Ale ten przysięga, że nic ma pojęcia, o czym była rozmowa. Nawiasem mówiąc, przy tej okazji stracił pracę. Pułkownik wsiadł na niego za to, że ją wpuścił. Kamerdyner w odpowiedzi podziękował za służbę. Twierdzi, że i tak mu się nie podobało w Starym Dworze i od dłuższego już czasu myślał o tym, żeby stamtąd odejść.

— Rzeczywiście?

— Mamy więc jeszcze jedną osobę, która miała z pułkownikiem na pieńku.

— Nie podejrzewa pan chyba na serio tego człowieka? Jak on się nazywa?

— Nazywa się Reeves i nie mówię, że go podejrzewam. Mówię tylko, że nigdy nic nie wiadomo. Facet nie podoba mi się. Jest zanadto układny i śliski.

Ciekaw byłem, jakiego zdania jest Reeves o Slacku.

— Teraz chcę przesłuchać szofera.

— Może więc podwiezie mnie pan swoim samochodem? Chciałbym porozmawiać chwilę z panią Protheroe.

- O czym?
- O przygotowaniach do pogrzebu.
- O! — Inspektor spieszył się trochę. — Rozprawa jest jutro, w sobotę.
- Otóż właśnie. Pogrzeb przypuszczalnie odbędzie się we wtorek.
- Inspektor Slack zawstydział się widocznie swej popędliwości. Wyciągnął do mnie gałązkę oliwną w postaci zaproszenia na przesłuchanie szofera nazwiskiem Manning.
- Manning był miłym młodym mężczyzną, mającym nie więcej niż dwadzieścia pięć albo dwadzieścia sześć lat. Inspektor budził w nim zbożny lęk.
- No, mój chłopcze — oznajmił Slack — chcę uzyskać od pana pewne informacje.
- Tak jest, proszę pana — wyjąkał szofer. — Oczywiście, proszę pana.
- Gdyby nawet popełnił morderstwo, nie mógłby być bardziej wystraszony.
- Zawiózł pan pułkownika Protheroe wczoraj do miasteczka?
- Tak jest.
- O której to było?
- Piąta trzydzieści.
- Pani Protheroe też pojechała?
- Tak jest.
- Po drodze nigdzie się pan nie zatrzymywał?
- Nie.
- Co zrobił pan po przyjeździe do miasteczka?
- Pan pułkownik wysiadł i powiedział mi, że samochód nie będzie już potrzebny, bo wróci do domu pieszo. Pani Protheroe miała jakieś sprawunki do załatwienia. Paczki włożono do samochodu. Potem powiedziała, że to wszystko, pojechałem więc do domu.
- Zostawiając ją w miasteczku?
- Tak jest.
- O której to było?
- Kwadrans po szóstej, proszę pana. Dokładnie.
- Gdzie ją pan zostawił?
- Przy kościele.
- Czy pułkownik wspomniał, dokąd idzie?
- Mówił coś, że musi wstąpić do weterynarza, bo zachorował jeden z koni.
- Rozumiem. I wrócił pan prosto tutaj?
- Tak jest, proszę pana.
- Do Starego Dworu są dwa wjazdy, północny i południowy. Przypuszczam, że jadąc do miasteczka, wyjeżdża pan przez bramę południową?
- Tak jest, proszę pana, zawsze.
- I wrócił pan tą samą drogą?
- Tak.
- Hm. No, to będzie chyba wszystko. O. panna Protheroe!
- Letycja podeszła do nas właściwym sobie leniwym krokiem.
- Chcę pojechać fiatem, Manning — powiedziała. — Proszę mi go przygotować, dobrze?
- Tak jest, proszę pani.
- Szofer zbliżył się do dwuosobowego samochodu sportowego i podniósł maskę.
- Chwileczkę, proszę pani — powiedział Slack. — Muszę dowiedzieć się, co kto robił wczoraj po południu. Proszę oczywiście nie mieć mi tego za złe.
- Letycja spojrzała na niego obojętnie.
- Nigdy nie wiem, która jest godzina — rzekła.
- Wyszła pani wczoraj wkrótce po obiedzie?
- Dziewczyna potwierdziła ruchem głowy.
- Dokąd, jeśli wolno wiedzieć?

- Na tenisa.
- Z kim?
- Z państwem Hartley Napier.
- W Much Benham?
- Tale.
- I wróciła pani...?
- Nie wiem. Powiadam panu, że nigdy takich rzeczy nie wiem.
- Wróciłaś około pół do ósmej — powiedziałem,
- To prawda — potwierdziła Letycja — właśnie kiedy tutaj był cały ten rejwach. Anna mdlała, a Gryzelda ją cuciała.
- Dziękuję pani — rzeki inspektor. — To wszystko, co chciałem wiedzieć.
- Dziwne — powiedziała Letycja. — Przecież to takie nieciekawe.
- Podeszła do fiata.
- Inspektor ukradkiem dotknął czoła.
- Czegoś tam brak? — spytał.
- Skądże — odparłem. — Ale ona chce, żeby tak myślano.
- No, pójdę teraz przesłuchać służące.
- Nic sposób lubić Slacka, ale trudno nie podziwiać jego energii.
- Rozstaliśmy się i zapytałem Reevesa, czy mógłbym się widzieć z panią Protheroe.
- Pani Protheroe położyła się na chwilę.
- W takim razie nie będę jej niepokoił.
- Może ksiądz proboszcz zechce zaczekać, wiem, że pani Protheroe bardzo chce księdza proboszcza zobaczyć. Wspomniała o tym przy obiedzie.
- Wprowadził mnie do salonu i zapalił światło, ponieważ story były spuszczone.
- Bardzo smutna sprawa — powiedziałem.
- Tak jest, proszę księdza proboszcza.
- Głos jego był pełen szacunku, lecz brzmiał oziębłe.
- Spojrzałem na niego. Jakie uczucia kryją się pod tym beznamiętnym zachowaniem? Czy wie o czymś, o czym mógłby nam powiedzieć? Trudno o maskę bardziej pozbawioną wyrazu niż twarz dobrego służącego.
- Czy mogę jeszcze czymś służyć?
- Być może to było złudzenie, ale zdawało mi się, że ledwo dostrzegalny skurcz niepokoju przebiegł po tej nieskazitelnie spokojnej twarzy.
- Nie, dziękuję — odparłem.
- Czekałem tylko chwile, bo Anna Protheroe zaraz nadeszła. Omówiliśmy sprawy związane z pogrzebem, po czym Anna zawołała:
- Cóż za cudowny człowiek z tego doktora Haydocka.
- Haydock to najzacniejszy chłop, jakiego znam.
- Był dla mnie niezwykle wprost dobry. Ale taki jest smutny, prawda?
- Tego rodzaju określenie w stosunku do Haydocka nic przeszło mi nigdy przez myśl.
- Zastanowiłem się nad tym.
- Jakoś tego dotychczas nie zauważyłem — powiedziałem wreszcie.
- Ja też zwróciłam na to uwagę dopiero dzisiaj.
- Własne zmartwienia zaostrzają niekiedy spostrzegawczość.
- Tak, ma ksiądz proboszcz słuszość. Umilkła na chwilę, a potem powiedziała:
- Proszę księdza proboszcza, jest coś, czego w żaden sposób nie mogę zrozumieć. Jeżeli mojego męża zabito zaraz po moim odejściu, jak to się stało, że nie słyszałam strzału?
- Policja przypuszcza, że strzał oddano później.
- A ta godzina szósta dwadzieścia, oznaczona w liście?
- Została pewno dopisana inną ręką — ręką mordercy.

Anna zbladła.

— Potworne!

— Nie zwróciła pani uwagi, że cyfry nie były skreślone piśmem pani męża?

— Dla mnie cały list napisany był jakby obcym piśmem.

Uwaga ta nie pozbawiona była słuszności. Były to dość nieczytelne bazgroły, pułkownik Protheroe zaś pisał zawsze czysto i starannie.

— Ksiądz proboszcz jest pewien, że oni nie podejrzewają już Lawrence'a?

— Mam wrażenie, że niewinność jego została stwierdzona.

— Ale proszę księdza proboszcza, któż to mógł zrobić? Lucjusz nie był zbyt lubiany, wiem o tym. ale z drugiej strony nie sądzę, żeby miał jakichś zaciętych wrogów. W każdym razie nie miał chyba wrogów tego rodzaju.

Potrząsnąłem głową.

— Jest to dla mnie tajemnica.

Przypomniałem sobie siedmioro podejrzanych panny Marple. Kto to może być?

Pożegnawszy się z Anną przystąpiłem do wykonania pewnego własnego planu.

Wróciłem do Starego Dworu ścieżką przez las. Kiedy doszedłem do drogi za ogrodami, cofnąłem się i wybierając miejsce, gdzie poszycie było, jak mi się zdawało, zdeptane, skręciłem ze ścieżki i ruszyłem na przełaj przez zarośla. Las był gęsty, krzewy tworzyły zwartą płataninę. Nie posuwałem się więc zbyt szybko, aż naraz posłyszałem, że ktoś inny przedziera się nieopodal przez zarośla. Zatrzymałem się w niepewności, gdy naraz ujrzałem Lawrence'a Reddinga. W rękę niósł wielki kamień.

Miałem pewnie zdziwiona, minę, bo Redding wybuchnął śmiechem.

— Nie — rzeki — to nie jest dowód rzeczowy, ale dar na zgodę.

— Dar?

— No, powiedzmy, wstęp do pertraktacji. Chcę mieć pretekst do złożenia wizyty pańskiej sąsiadce, pannie Marple, a mówiono mi, że największą przyjemność można jej sprawić, przynosząc ładny kamień czy odłamek skały do japońskiego ogródka, który sobie zakłada.

— To prawda — powiedziałem. — Ale co pan chce od staruszki?

— Zaraz wyjaśnię. Panna Marple musiała widzieć wszystko, co zdarzyło się wczoraj po południu przy plebanii. Mogło to być coś niekoniecznie związanego ze zbrodnią — a w każdym razie coś. co jej zdaniem ze zbrodnią nie miało nic wspólnego. Jakiś dziwny czy groteskowy nawet incydent, jakieś drobne zdarzenie, które może stać się dla nas kluczem do zagadki. Być może sądziła, że nie warto o nim wspominać policji.

— Owszem, to możliwe.

— W każdym razie warto popробować. Bo ja muszę dotrzeć do sedna tej sprawy. Chociażby tylko przez wzgląd na Annę. A nie mam zbyt dużego zaufania do Slacka — jest niezmiernie gorliwy, ale gorliwość nie zastąpi inteligencji.

— Widzę, że jest pan owym ulubionym bohaterem powieści kryminalnych, detektywem — amatorem. Nic jestem zresztą pewien, czy w życiu tacy detektywi również biorą zawsze górę nad zawodowcami.

Redding spojrział na mnie bystro, po czym roześmiał się nagle.

— A co ksiądz proboszcz robi w lesie? Zarumieniłem się.

— Na pewno to samo, co ja. Przysięgłbym, że to samo. Niepokoi nas ta sama myśl. W jaki sposób morderca dostał się do gabinetu? Albo przez ogród, albo przez drzwi frontowe, albo... czy istnieje trzeci sposób? Chciałem sprawdzić, czy znajdę jakieś połamane lub stratowane krzaki w pobliżu muru ogrodowego plebanii.

— Tak. o to mi właśnie chodziło — przyznałem.

— Ale nic wykonałem zamiaru — ciągnął dalej Lawrence — bo przyszło mi nagle do głowy, że warto najpierw pójść do panny Marple i zapytać, czy nikt nie przechodził tędy w tym czasie, kiedy byliśmy w pracowni.

Potrząsnąłem głową.

— Twierdzi stanowczo, że nikt tędy nie przechodził.

— Owszem, nikt taki, kogo by uważała za kogoś — brzmi to jak bzdura, ale ksiądz proboszcz rozumie chyba, co mam na myśli. Bo może, na przykład, przechodził listonosz, mleczarz albo chłopiec od rzeźnika — słowem ktoś. czyja obecność jest rzeczą tak naturalną, że się nawet o niej nie wspomina.

— Jak widzę, czytuje pan Chestertona — powiedziałem, a Lawrence nie zaprzeczył.

— Ale takie przypuszczenie może być trafne?

— Owszem — przyznałem.

Bez dalszych rozmów poszliśmy do panny Marple. Pracowała w ogrodzie i zawołała nas, gdy się ukazaliśmy na ścieżce.

— Widzi ksiądz proboszcz — szepnął Lawrence — ona nikogo nie przeoczy.

Panna Marple powitała nas bardzo uprzejmie i z oznakami zadowolenia przyjęła wielki kamień, który Lawrence ofiarował jej z należytą powagą.

— Jest to dowód pamięci i troskliwości, panie Redding. Lawrence, ośmielony tą pochwałą, przystąpił do pytań. Panna Marple słuchała uważnie.

— Tak, rozumiem i zgadzam się w zupełności. O takich rzeczach nie wspomina się zwykle. Ale mogę pana zapewnić, że tym razem nic podobnego się nie zdarzyło. Absolutnie nic.

— Jest pani zupełnie pewna?

— Najzupełniej.

— Nic widziała pani nikogo, kto by udał się ścieżką do lasu? — spytałem. — Albo przyszedł stamtąd?

— Ach, owszem, kilka osób. Doktor Stone i panna Cram poszli tamtędy — jest to dla nich najkrótsza droga do kopca. Było to nieco po drugiej. No i doktor Stone wrócił tamtędy — jak panu wiadomo, panie Redding, bo przecież spotkał się z panem i panią Protheroe.

— A propos — wtrąciłem — ten strzał, który pani słyszała... Pan Redding i pani Protheroe również powinni byli go słyszeć.

Spojrzałem pytająco na Lawrence'a.

— Tak — rzekł, marszcząc brwi — zdaje się, że słyszałem jakieś strzały. Bo ich było parę.

— Ja słyszałam tylko jeden — powiedziała panna Marple.

— Przypominam sobie jak przez mgłę — ciągnął dalej Lawrence. — Do licha, szkoda, że nie pamiętam dokładnie. Gdybym wiedział... Byłem tak pochłonięty tym... tym...

Urwał zakłopotany.

Chrząknąłem taktownie, panna Marple zaś z właściwą sobie pruderią zmieniła temat.

— Inspektor Slack wypytywał mnie, czy słyszałam strzał po wyjściu pana Reddinga i pani Protheroe z pracowni czy przed ich wyjściem. Musiałam się przyznać, że nie potrafię stwierdzić tego na pewno, ale mam wrażenie — które staje się coraz silniejsze, w miarę jak o tym myślę, że to było po ich wyjściu.

— W takim razie czcigodny doktor Stone nie wchodzi w grę — rzekł z westchnieniem Lawrence. — I tak zresztą nie było powodu, żeby go podejrzewać o zabicie biednego Protheroe.

— Hm — chrząknęła panna Marple. — Ja jednak wiem z doświadczenia, że dla ostrożności należy każdego troszeczkę podejrzewać. Bo przecież nigdy nic nie wiadomo, prawda?

Była to dla panny Marple wypowiedź typowa. Zapytałem Reddinga, czy się z nią zgadza w sprawie wystrzału.

— Doprawdy nie potrafię powiedzieć. Widzi ksiądz, to był taki pospolity dźwięk... Skłonny byłbym raczej sądzić, że strzał musiał paść, kiedy byliśmy w pracowni. Dźwięk byłby wówczas dla mnie stłumiony i... i mogłem nie zwrócić na niego uwagi.

Z innych jeszcze powodów, pomyślałem sobie.

— Muszę zapytać Annę — rzeki Laurence. — Może ona pamięta. Nawiasem mówiąc, jest jeszcze jeden fakt, który moim zdaniem należałoby zbadać. Pani Lestrangle, tajemnicza dama z



St. Mary Mead: w środę wieczorem złożyła wizytę pułkownikowi Protheroe. Nikt jakoś nie wie, o co tam chodziło. Stary Protheroe nie powiedział nic ani żonie, ani córce.

— Może ksiądz proboszcz coś nam może powiedzieć — rzekła panna Marple.

Skąd ta kobieta wie, że byłem tego dnia u pani Lestrangle? To wprost niesamowite!

Potrząsnąłem głową i powiedziałem, że niestety nic mi nic wiadomo.

— Co o tym sądzi inspektor Slack? — spytała panna Marple.

— Starał się sterroryzować kamerdynera, ale ten widocznie jest wyjątkiem wśród służących i nie ma zwyczaju podsłuchiwać pod drzwiami. Sprawa utknęła więc na martwym punkcie — nikt nic nie wie!

— Ktoś chyba jednak coś słyszał — powiedziała panna Marple. — Nie zdarza się, żeby nikt nic nie wiedział. Sądzę, że tu mógłby zadziałać pan Redding.

— Ale pani Protheroe o niczym nie wie.

— Nie miałam na myśli Anny Protheroe — rzekła panna, Marple. — Chodzi mi o służące. One bardzo nie lubią udzielać informacji policjantom. Ale gdyby pytał przystojny młodzieniec — daruje mi pan, panie Redding — i to taki, którego niesłusznie posadzono... o, jestem pewna, że powiedziałyby mu wszystko.

— Spróbuję jeszcze dziś wieczorem — oświadczył energicznie Lawrence. — Dziękuję za radę, panno Marple. Pójdę po... no, po małej wyprawie, którą chcemy odbyć z księdzem proboszczem.

Pomyślałem sobie, że im prędzej załatwimy sprawę, tym lepiej. Pożegnałem się z panną Marple i ponownie weszliśmy do lasu.

Ruszyliśmy najpierw ścieżką aż do miejsca, które wyglądało tak, jak gdyby ktoś tu zboczył ze ścieżki na prawo.

Lawrence wyjaśnił, że szedł już tym tropem i przekonał się, że nigdzie nie prowadzi, dodał jednak, że możemy jeszcze raz spróbować. Może się przecież mylić.

Okazało się jednak, że miał rację. Po jakichś dziesięciu lub dwunastu jardach nie było już więcej śladu złamanych gałązek i stratowanych liści. Z tego właśnie miejsca Lawrence przedarł się na ścieżkę, na której mnie dzisiaj spotkał.

Wróciliśmy do punktu wyjścia i poszliśmy nieco dalej. Znów dostrześliśmy miejsce, w którym ktoś rozchyłał krzaki. Znaki były nieliczne, lecz niewątpliwe. Tym razem trop był bardziej obiecujący. Okrężną drogą wił się w kierunku plebanii. Po chwili dotarliśmy do miejsca, gdzie gęste zarośla ciągnęły się aż do muru ogrodowego. Mur jest wysoki i ozdobiony u góry odłamkami potłuczonych butelek. Jeżeli ktoś przystawił do muru drabinę, powinniśmy byli znaleźć ślady przejścia na drugą stronę.

Posuwaliśmy się wolno wzdłuż muru, gdy doleciał nas trzask złamanej gałązki. Pospieszyłem naprzód, przedzierając się przez gęstwinę krzewów i znalazłem się twarzą w twarz z inspektorem Slackiem.

— A więc to pan — rzekł — i pan Redding. Cóż to panowie tu robią?

Wy tłumaczyliśmy, nieco speszeni.

— No tak — powiedział inspektor. — Ale nie jesteście takimi durniami, za jakich się nas powszechnie uważa, sam więc wpadłem na tę myśl. Jestem tutaj od godziny. Powiedzieć panom coś?

— Tak — poprosiłem potulnie.

— Ten, kto zamordował pułkownika Protheroe, nie przyszedł tędy! Nie ma żadnych znaków ani po tej stronie muru, ani po tamtej. Morderca Protheroe wszedł przez drzwi frontowe. Nie mógł przyjść inną drogą.

— Niemożliwe! — zawołałem.

— Czemu niemożliwe? Drzwi plebanii są zawsze otwarte. Każdy może wejść. Z kuchni nic nie widać. Morderca wie, że księdza proboszcza nie ma w domu, wie, że pani Clement jest w Londynie, wie, że pan Dennis poszedł na tenisa. Idealnie proste. Nic potrzeba też przechodzić ani wracać przez miasteczko: tuż naprzeciwko bramy plebanii jest droga publiczna, a z niej można

skręcić do tego samego lasu i ruszyć nim, dokąd się spodoba. Byleby pani Ridley nie wyszła akurat w tej chwili przed bramę swego domu. morderca jest zupełnie bezpieczny. Znacznie bardziej niż gdyby miał przełazić przez mur. Boczne okna górnego piętra domu pani Ridley wyglądają na ten mur. Nie, ręczę, że zabójca przyszedł właśnie tą drogą.

Wszystko wskazywało na to, że racja musi być po stronie inspektora.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Inspektor Slack przyszedł do mnie nazajutrz rano. Mam wrażenie, że złagodniał trochę w stosunku do mnie. Może zapomniał z czasem incydent z zegarem.

— Dzień dobry księżdu proboszczowi — przywitał mnie. — Ustaliłem, skąd do pana telefonowano.

— Doprawdy? — zawołałem z ożywieniem.

— Rzecz, jest dość dziwna. Dzwoniono z domku odźwiernego przy północnej bramie Starego Dworu. Otóż domek ten stoi pustkami, dozorcę spensjonowano, a nowy dozorca jeszcze nie przyjechał. Miejsce ustronne i dogodne — z tyłu otwarte było okno. Na parapecie żadnych odcisków palców — wytarto go do czysta. To samo przez się jest wymowne.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Dowodzi to po prostu, że telefonowano umyślnie, żeby księdza proboszcza wywabić z domu. Czyli morderstwo było obmyślane z góry, i to bardzo starannie. Gdyby miał to być nieszkodliwy kawał, nie ścierano by tak starannie odcisków palców.

— Rozumiem.

— Dowodzi to też, że morderca znalazł dobrze Stary Dwór i jego przyległości. Przy tym pani Protheroe nie mogła telefonować. Sprawdziłem dokładnie, co robiła tego popołudnia. Co najmniej sześć osób ze służby przysięga, że aż do pół do szóstej nie wychodziła z domu. Polem podjechał samochód i pojechała wraz, z pułkownikiem Protheroe do miasteczka. Pułkownik udał się do weterynarza Quintona, żeby porozumieć się z nim w sprawie jednego z koni. Pani Protheroe poczyniła zamówienia w sklepie kolonialnym i rybnym, a stamtąd poszła prosto na drogę za ogrodami, gdzie ją widziała panna Marple. W sklepach wszyscy zgodnie twierdzą, że pani Protheroe nie miała przy sobie torebki. Stara dama miała rację.

— Zazwyczaj ma rację — wtrąciłem niewinnie.

— A panna Protheroe była już o pół do szóstej w Much Benham.

— Zgadza się — stwierdziłem. — Mój siostrzeniec też tam był.

— Ją więc możemy skreślić. Pokojówki wydają mi się godne zaufania, trochę może rozhisteryzowane i wytracone z równowagi, ale trudno się w tej sytuacji spodziewać czego innego. Oczywiście mam na oku kamerdynera... bo przecież złożył wymówienie i tak dalej. Ale wątpię, czy coś wie.

— Badania dały więc rezultat raczej negatywny.

— I tak, i nie. Wyłoniła się pewna bardzo dziwna okoliczność — w dodatku zupełnie niespodziewana.

— Mianowicie?

— Przypomina sobie ksiądz proboszcz, jak się pani Ridley: sąsiadka księdza proboszcza, awanturowała wczoraj rano o to, że ktoś tam do niej telefonował?

— Oczywiście.

— Otóż sprawdziliśmy, skąd było połączenie — po prostu dla świętego spokoju. I jak ksiądz proboszcz przypuszcza, skąd telefonowano?

— Z automatu? — próbowałem odgadnąć.

— Nie, proszę księdza proboszcza. Telefonowano z domu pana Lawrence'a Reddinga.

— Co takiego?! — zawołałem zdumiony.

— Otóż właśnie. Dziwne, co? Pan Redding nie ma z tym nic wspólnego. O tej porze, czyli o szóstej trzydziści szedł pod „Niebieskiego Dzika” w towarzystwie doktora Stone’a. Całe miasteczko go widziało. Ale fakt pozostaje faktem. Wymowne, co? Ktoś wszedł do pustego domu i skorzystał z telefonu. Kto to był? Dwa zagadkowe telefony jednego dnia. Nasuwa się przypuszczenie, że musiał między nimi istnieć jakiś związek. Kanarek jestem, jeśli w obu wypadkach nie telefonowała jedna i ta sama osoba.

— Ale w jakim celu?

— Tego się właśnie musimy dowiedzieć. Drugi telefon na pozór nie miał konkretnego celu, ale mogą to być tylko pozory. I proszę zwrócić uwagę: telefonowano z domu pana Reddinga. Użyto pistoletu pana Reddinga. Wszystko, żeby rzucić na niego podejrzenie.

— Bardziej celowe byłoby, gdyby pierwszy telefon pochodził z jego domu — zaproponowałem.

— Ba! Zastanawiałem się na tym. Co zazwyczaj robił pan Redding po południu! Jeździł do Starego Dworu i tam malował portret panny Protheroe. A jeździł z domu motocyklem i wjeżdżał do parku przez północną bramę. Rozumie teraz, ksiądz. proboszcz, czemu telefonowano stamtąd. Mordercą jest ktoś, kto nie wiedział o kłótni, ani o tym, że pan Redding nie jeździł już do Starego Dworu.

Milczałem chwilę, aby przetrwać argumenty inspektora. Wydawały mi się logiczne i nieodparte.

— Czy na słuchawce w domu pana Reddinga były jakieś odciski palców?

— Nie było — odparł z goryczą inspektor. — Ta wstrętna baba, która u niego sprząta, pościerała kurze wczoraj rano. — Inspektor przez chwilę zastanawiał się gniewnie nad tym skandalem. — To w ogóle stara idiotka. Nie pamięta, kiedy ostatni raz widziała pistolet. Może był na miejscu w dniu zabójstwa, a może i nie był. „A bo ja wiem”. Wszystkie są jednakowe!

— Dla formalności poszedłem jeszcze do doktora Stone’a — ciągnął dalej. — Był bardzo uprzejmy, muszę to przyznać. Poszedł razem z panną Cram na ten pagórek czy kopiec, jak go się tam nazywa, wczoraj około pół do trzeciej. Pozostali tam przez całe popołudnie. Doktor Stone wrócił sam, panna Cram później. Mówi, że nie słyszał wystrzału, ale przyznaje się, że jest roztargniony. Wszystko to zresztą potwierdza nasze przypuszczenia.

— Tyle tylko, że panowie nie złapali mordercy — zauważyłem.

— Hm — chrząknął inspektor. — Ksiądz proboszcz mówi, że przez telefon rozmawiała z panem jakaś kobieta. Pani Ridley również słyszała jak gdyby kobiecy głos. Gdyby ten strzał nie padł tuż przed telefonem, tobym wiedział, gdzie szukać zabójcy.

— Gdzie?

— Ba! Tego właśnie najlepiej nie mówić. Zaproponowałem bezwstydnie szklaneczkę starego porto. Mam bardzo dobre stare porto. Jedenasta rano nie jest porą do picia ciężkiego wina, ale miałem nadzieję, że dla inspektora nie gra to roli. Było to oczywiście potworne marnowanie doskonałego trunku, ale w takich wypadkach nie można być skąpym.

Po drugiej szklaneczce inspektor Slack trochę się rozkrochmalił. Moje porto zwykle działa w ten sposób.

— Księdzu proboszczowi mogę chyba powiedzieć — rzekł. — Zachowa to ksiądz proboszcz w sekrecie, prawda? Nie chciałbym, żeby się rozeszło po parafii.

Uspokoilem go, że nikt się o niczym nie dowie.

— Ponieważ wszystko się zdarzyło tu, na plebanii, ksiądz proboszcz moim zdaniem ma prawo do szczegółowej informacji.

— Mnie się też tak zdaje.

— Więc co ksiądz proboszcz na to, jeśli to właśnie ta pani, która złożyła wizytę pułkownikowi w wigilię zabójstwa.

— Pani Lestrangle! — zawołałem dość głośno, gdyż wiadomość ta mnie oszołomiła.

Inspektor spojrział na mnie z wyrzutem: — Ależ nie tak głośno, proszę księdza proboszcza! Tak, pani Lestrangle jest tą osobą, którą mam teraz na oku. Przypomina sobie ksiądz proboszcz moje słowa — podejrzewam, że miał tu miejsce szantaż.

— To chyba nie jest powód do zabójstwa. Przecież — równałoby się to zabiciu kury, która znosi złote jajka.

Zakładając, że pańska hipoteza jest słuszna, czego ani przez chwilę nie przypuszczam.

Inspektor wulgarnie przymrużył oko.

— O, mężczyźni zawsze bronią tego rodzaju pań. Ale niech mnie ksiądz proboszcz wysłucha. Przypuśćmy, że ta pani szantażowała już kiedyś pułkownika, i to z powodzeniem. Po kilkuletniej przerwie dowiaduje się, gdzie pułkownik obecnie mieszka, przyjeżdża więc tutaj i próbuje swoich sztuczek na nowo. Ale czasy się zmieniły. Prawo zajmuje w takich sprawach całkiem odmienne stanowisko. Osoby wnoszące skargę o szantaż korzystają z wszelkich ułatwień — a nazwisk nie wolno ogłaszać w prasie. Przypuśćmy więc, że pułkownik Protheroe ostro się postawił i powiedział, że zwróci się do policji. Pani znajduje się w bardzo nie milej sytuacji. Za szantaż dostaje się bardzo surowe wyroki. Pani ma tylko jedno wyjście — żeby się uratować, musi szybko sprzątnąć pułkownika.

Milczałem. Musiałem przyznać, że hipoteza inspektora ma cechy prawdopodobieństwa. Jedno tylko nie pozwalało mi absolutnie uwierzyć w jej prawdziwość — osoba pani Lestrage.

— Nie zgadzam się z panem — powiedziałem. — Pani Lestrage nie sprawia na mnie wrażenia potencjalnej szantażystki. — Jest... oczywiście, to staroświeckie słowo — ale jest prawdziwą damą.

Inspektor spojrział na mnie z politowaniem.

— No, ksiądz proboszcz jest duchownym — rzekł wyrozumiale. — Nie ma ksiądz pojęcia o tym, co się dzieje na świecie. Prawdziwa dama! Zdziwiłby się ksiądz proboszcz, gdyby się dowiedział różnych rzeczy, które mi są znane.

— Nie chodzi mi jedynie o pozycję społeczną. Mam na myśli... kulturę osobistą.

— Ksiądz proboszcz patrzy na nią innym okiem niż ja. Owszem, jestem mężczyzną, ale zarazem też urzędnikiem policji. Nikt mi nie zamydli oczu kulturą osobistą. Ho, ho, to taka baba, że potrafiłaby z zimną krwią wsadzić księdzu nóż w plecy.

Rzecz szczególna, prędzej bym uwierzył w to, że pani Lestrage winna jest morderstwa, niż w to, że zdolna jest do szantażu.

— Ale, oczywiście, nie mogła jednocześnie telefonować do tej starej i strzelać do pułkownika Protheroe — ciągnął dalej inspektor. Zaledwie to powiedział, klepnął się nagle po udzie.

— Mam! — zawołał. — To był cel tego telefonu. Wiedziałem, że znajdziemy jakiś związek z pierwszym telefonem. To coś w rodzaju alibi. Muszę to zbadać. Mogła przekupić jakiegoś wiejskiego chłopaka, żeby telefonował za nią. Na pewno nie przyszłoby mu do głowy, że to ma coś wspólnego z zabójstwem.

Inspektor wyszedł spiesźnie.

— Panna Marple chce się z tobą widzieć — powiedziała Gryzelda, zaglądając do pokoju. — Przysłała dość chaotyczną kartkę — nabazgrane naprędce i co drugie słowo podkreślone. Połowy nic mogłam odczytać. Pisz coś, że nie może wyjść z domu. Idź do niej prędko i dowiedz się, o co chodzi. Poszłabym z tobą, ale ma przyjść za chwilę moja podopieczna staruszka. Nie znoszę starych kobiet — opowiadają o swoich chorych nogach i czasem je nawet pokazują. Jak to dobrze, że dziś odbędzie się rozprawa! Nie będziesz musiał iść na mecz krykietowy Klubu Chłopców.

Wyszedłem prędko, zaintrygowany tym wezwaniem.

Zastałem pannę Marple w stanie wielkiego podniecenia. Była zarumieniona i mówiła trochę bezładnie.

— Mój siostrzeniec — wyjaśniła. — Mój siostrzeniec. Rajmund West, pisarz. Przyjeżdża tu dzisiaj. Tyle zamieszania. Muszę sama wszystkiego dopilnować. Nic można polegać na służącej, że przewietrzy pościel jak należy, i musimy oczywiście mieć dzisiaj mięso na kolację. Mężczyźni muszą mieć mięso! I trunki. Powinno się mieć w domu jakiś alkohol... no i syfon z wodą sodową.

— Jeżeli mogę w czymś pomóc... — zacząłem.

— O! To bardzo ładnie ze strony księdza proboszcza. Ale nie o to mi chodziło. Mam przecież dość czasu. Rajmund na szczęście przywozi własną fajkę i tytoń, więc się nie muszę głowić nad tym, jakie papierosy kupić. Ale z drugiej strony to nie bardzo dobrze, bo tak długo trwa, zanim wywietrzy się zapach z firanek. Oczywiście, codziennie wczesnym rankiem otwieram okna i mocno firanki przetrząsam. Rajmund wstaje bardzo późno — zdaje się, że pisarze częstokroć wstają późno. Píše bardzo mądre książki, chociaż w rzeczywistości ludzie nie są nawet w połowie tak wstrętni, jak ich przedstawia. Inteligentni młodzi ludzie wcale nie znają życia, prawda?

— Czy chciałaby go pani przyprowadzić do nas na kolację? — spytałam, wciąż nie rozumiejąc, po co mnie wezwała.

— O, nie, dziękuję bardzo — odparła panna Marple. — Bardzo to ładnie ze strony księdza proboszcza — dodała.

— Zdaje się, że chciała się pani ze mną widzieć w jakiejś sprawie — powiedziałem doprowadzony do rozpaczki.

— Ach! Oczywiście. W tym zamieszaniu wyleciało mi to zupełnie z głowy. — Urwała i zawołała do pokojówki:

— Emilko, Emilko! Nie te prześcieradła! Te z falbankami i monogramem, i nie wieszaj ich za blisko ognia.

Zamknęła drzwi i stąpając na palcach wróciła do mnie.

— Wczoraj w nocy zdarzyła się osobliwa rzecz — wyjaśniła. — Doszłam do wniosku, że powinnam księdzu proboszczowi powiedzieć, chociaż na pierwszy rzut oka cała ta sprawa nie bardzo ma sens. Otóż nic mogłam wczoraj zasnąć, bo wciąż myślałam o tym smutnym wypadku, w pewnej chwili więc wstałam i wyjrzałam przez okno. I jak ksiądz proboszcz myśli, co zobaczyłam?

Spojrzałam na nią pytająco.

— Gladys Cram — oświadczyła z naciskiem panna Marple. — Tak jak mnie tu ksiądz proboszcz widzi — zobaczyłam Gladys Cram, która szła do lasu z walizką.

— Ż walizką?

— Dziwne, co? Po co jej była walizka w lesie o północy?

Oboje spojrzeliśmy po sobie.

— Bardzo możliwe, że to nie ma nic wspólnego z zabójstwem — dodała panna Marple — ale rzecz jest bardzo dziwna. A na razie powinniśmy chyba wszyscy zwracać uwagę na rzeczy niezwykle.

— Zdumiewające — stwierdziłem. — Może miała zamiar... no... spać tam w kopcu?

— Nie wiem, jaki miała zamiar, ale tam nie spała — odrzekła panna Marple. — Bo w krótkim czasie potem wróciła i nie miała już przy sobie walizki.

Znów spojrzeliśmy na siebie.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Rozprawa odbyła się tego dnia, w sobotę, o drugiej po południu, „Pod Niebieskim Dzikim”. Nie trzeba nadmieniać, że cała okolica była tym niezmiernie podniecona. W St. Mary Mead od piętnastu chyba lat nie zdarzyło się zabójstwo, zamordowanie zaś takiej osobistości jak pułkownik Protheroe, i to w dodatku na plebanii, stanowi sensację, jaka w ogóle rzadko się trafia mieszkańcom małego miasteczka.

Do uszu moich dolatywały uwagi najpewniej wcale dla nich nie przeznaczone.

— To proboszcz. Błady, co? Ciekawa jestem, czy przyłożył do tego rękę. No bo mów, co chcesz, pułkownika zabito na plebanii.

— Mary, co też ty wygadujesz? Przecież był w tym czasie u Henryka Abbotta.

— Aha! Ale podobno kłócił się z pułkownikiem. Idzie Mary Hill. Patrz, jak zadziera nosa. To dlatego, że służy na plebanii.

— Cicho, idzie koroner.

Funkcję koronera pełnił doktor Roberts z sąsiedniego miasteczka Much Benham. Chrząknął, poprawił okulary i przybrał poważny wyraz twarzy.

Przytaczanie wszystkich zeznań znużyłoby czytelników. Lawrence Redding powiedział, jak znalazł ciało i stwierdził, że pistolet należy do niego. O ile sobie przypominał, widział pistolet we wtorek, na dwa dni przed zabójstwem. Leżał zwykle na półce w domu Reddinga, a drzwi były zazwyczaj otwarte.

Pani Protheroe zeznała, że po raz ostatni widziała męża o godzinie piątej czterdzieści pięć, kiedy pożegnali się na ulicy w miasteczku. Przyrzekła, że wstąpi po niego później na plebanię. O godzinie szóstej piętnaście — mniej lub więcej — udała się na plebanię drogą za ogrodami. Nie słyszała głosów w gabinecie i sądziła, że w pokoju nie ma nikogo, ale jej mąż mógł siedzieć przy biurku, w którym to wypadku nie widziałaby go. O ile jej wiadomo, nic mu specjalnego tego dnia nie dolegało i był w normalnym usposobieniu. Nie zna nikogo, kto by mógł żywić do niego nienawiść.

Następnie zeznawałem ja. Opowiedziałem o umówionym spotkaniu z, pułkownikiem Protheroe i o wezwaniu do Abbottów. Opisałem, jak znalazłem zwłoki i jak wezwałem doktora Haydocka.

— Czy wiele osób wiedziało, że pułkownik ma być tego popołudnia u księdza proboszcza?

— Przypuszczam, że sporo. Moja żona, mój siostrzeniec, poza tym pułkownik Protheroe sam wspominał o zamierzonej wizycie, kiedy spotkałem go tego ranka w miasteczku. Kilka osób mogło słyszeć jego słowa, gdyż pułkownik był trochę głuchy i w związku z tym mówił bardzo głośno.

— Była to więc rzecz powszechnie wiadoma?

— Chyba tak.

Po mnie wystąpił doktor Haydock. Był bardzo ważnym świadkiem. Dokładnie, przytaczając fachowe szczegóły, opisał wygląd zwłok i ran. Jego zdaniem zmarłego zastrzelono w chwili, gdy pisał. Zgon nastąpił przypuszczalnie między szóstą dwadzieścia a szóstą trzydzieści — z pewnością nie później niż o szóstej trzydzieści pięć. Jest to dolna granica. Stwierdza to z całą stanowczością. Samobójstwo nie wchodzi w grę, takiej rany człowiek nie może zadać sobie sam.

Zeznania inspektora Slacka były powściągliwe i skłócone. Opowiedział, jak go wezwano, i opisał okoliczności, w których znalazł ciało. Obejrzano nie dokończony list i odnotowano wymienioną na nim godzinę — 6.20. Pokazano również zegar. Domniemywano widocznie, choć nic o tym specjalnie nie mówiono, że zabójstwa dokonano o godzinie 6.22. Policja nie zdradziła się z niczym. Anna Protheroe mówiła mi potem, że kazano jej zeznać, iż była na plebanii nieco przed szóstą dwadzieścia.

Następnym świadkiem była Mary, nasza służąca, która jak zwykle zachowywała się niezbyt grzecznie, nic słyszała i nic nie chciała słyszeć. Przecież nieczęsto się zdarza, żeby zabito kogoś, kto przyszedł proboszcza. Może nawet zapewnić, że nic podobnego nigdy się jeszcze nie zdarzyło. A ona, Mary, za dużo roboty, żeby miała się zajmować cudzymi sprawami. Pułkownik Protheroe przyszedł punktualnie o szóstej piętnaście. Nie, Mary nie patrzyła na zegar. Słyszała bicie zegara kościelnego, kiedy wprowadziła pułkownika do gabinetu. Żadnego strzału nie słyszała. Gdyby był strzał, toby go słyszała. Tak, rozumie, że musiał paść strzał, skoro pułkownika znaleziono nieżywego, ale nic innego nie może powiedzieć. Nie słyszała wystrzału i tyle.

Koronier nie nalegał. Zorientowałem się, że działa w porozumieniu z pułkownikiem Melchettem.

Panią Lestrangle wezwano na świadka, ale przysłała świadectwo lekarskie, podpisane przez doktora Haydocka, a stwierdzające, że nie może się stawić z powodu choroby.

Pozostał tylko jeden jeszcze świadek — niezbyt rożgarnięta, stara kobieta, która zajmuje się sprzątnięciem u Lawrence'a Reddinga.

Pani Archer rozpoznała pistolet jako ten, który widywała w saloniku pana Reddinga. „Poniewierał się na półce.” Ostatni raz widziała pistolet w dniu morderstwa. Tak — rzekła w odpowiedzi na dalsze pytanie — jest pewna, że w czwartek był tam jeszcze, kiedy wychodziła. o której to było? Za kwadrans pierwsza. Przypomniałem sobie, co mi opowiadał inspektor, i trochę

się zdziwiłem. Kiedy inspektor ją przesłuchiwał, udzielała bardzo mglistych odpowiedzi, teraz natomiast mówiła bardzo stanowczo.

Koroner zreasumował sprawę zwięźle i werdykt padł niemal natychmiast.

Zabójstwo — sprawca lub sprawcy nieznani.

Wychodząc z pokoju dostrzegłem grupę młodych mężczyzn o inteligentnych, bystrych twarzach. Wszyscy oni byli w jakiś sposób do siebie podobni. Kilku znałem już z widzenia, bo przez ostatnie dni nachodzili wciąż plebanię. Szukając dróg ucieczki dałem nura z powrotem „Pod Niebieskiego Dzika” i mając to szczęście, że spotkałem archeologa, doktora Stone’a, chwyciłem go za ramię.

— Reporterzy — rzuciłem krótko a wymownie. — Czy może mnie pan uratować z ich szponów?

— Oczywiście. Ksiądz proboszcz pozwoli ze mną na górę. Zaprowadził mnie po wąskich schodach do swojego saloniku, w którym siedziała panna Cram, tłukąc wprawnie w klawisze maszyny do pisania. Powitała mnie szerokim uśmiechem i skorzystała ze sposobności, żeby przerwać pracę.

— Okropne, co? — powiedziała. — No, że nie wiadomo, kto zabił. Poza tym jestem w ogóle rozczarowana. Bardzo to wszystko było dziś ospałe. Żadnej sensacji.

— Była pani tam?

— Pewnie, że byłam. Że też ksiądz proboszcz nie zauważył. Jestem nawet dotknięta. Naprawdę. Mężczyzna, choćby nawet pastor, też powinien mieć oczy.

— Pan również był — zwróciłem się do doktora Stone’a, aby przerwać te żarciki. Młode kobiety w rodzaju panny Cram zawsze wprawiają mnie w zakłopotanie.

— Nie, ja się nic interesuję takimi sprawami. Pochłonięty jestem swoją pracą.

— Musi być bardzo interesująca — zauważyłem.

— Zna się pan na archeologii? Przyznałem, że minimalnie.

Doktor Stone nic należy do ludzi, których zniechęca przyznanie się do ignorancji. Rezultat był zupełnie taki sam, jak gdybym powiedział, że wykopaliska, czy też kopce, stanowią moją jedyną rozrywkę. Z ust doktora trysnął potok wymowy. Kopce, kurhany, epoka kamienna, epoka brązu, paleolit, neolit. Nie pozostawało mi nic innego, jak kiwać głową z inteligentną miną, choć — być może — pochlebiam sobie co do tej miny. Doktor Stone buczał dalej. Był niewielkiego wzrostu, pulchny i łysy, twarz miał okrągłą, rumianą i patrzył na mnie miłośnie poprzez bardzo mocne szkła. Nie widziałem jeszcze człowieka, który by przy tak zupełnym braku zachęty ze strony rozmówcy rozprawiał z takim entuzjazmem. Przytaczał wszelkie argumenty za i przeciw swej umiłowanej teorii — której, nawiasem mówiąc, absolutnie nie mogłem zrozumieć! Rozwodził się też obszernie nad swoją sprzeczką z pułkownikiem Protheroe.

— Uparty gbur! — wołał z oburzeniem. — Tak, tak, wiem, że nie żyje, a o zmarłych nie powinno się źle mówić. Ale śmierć nie zmienia faktów. Uparty gbur to dla niego idealne określenie.

Przeczytał parę książek i zdawało mu się, że jest autorytetem — mając do czynienia z człowiekiem, który przecież całe życie poświęcił studiom w tej dziedzinie. Całe życie, księżę proboszczu. Całe życie...

Z podniecenia zaczął się jąkać. Gladys Cram ściągnęła go na ziemię.

— Spóźni się pan na pociąg — zauważyła trzeźwo.

— O! — Mały archeolog urwał w pół słowa i wyciągnął zegarek z kieszeni. — Mój Boże! Za piętnaście...? Niemożliwe!

— Pan zapomina o czasie, kiedy zaczyna mówić. Nie wiem, doprawdy, co by to było, gdybym się panem nie opiekowała.

— Racja, droga pani, racja. — Doktor Stone poklepał ją czule po ramieniu. — Cudowna dziewczyna, księżę proboszczu. Zawsze o wszystkim pamięta. Miałem wielkie szczęście, że na nią trafiłem.

— Niechże pan doktor da spokój! — zawołała młoda dama. — Gotów mnie pan zepsuć.

Nie mogłem się oprzeć uczuciu, że powinienem przyłączyć się do tego odłamu opinii publicznej, który przewiduje w przyszłości ślubny kobierzec dla doktora Stone'a i panny Cram. Zacząłem dochodzić do wniosku, że panna Cram na swój sposób jest osobą wcale sprytną.

— Lepiej niech pan doktor już idzie — powiedziała panna Cram.

— Tak, tak, czas już na mnie.

Zniknął w sąsiednim pokoju i wrócił z walizką. — Wyjeżdża pan? — spytałem z pewnym zdziwieniem.

— Jadę na parę dni do Londynu — wyjaśnił. — Muszę odwiedzić jutro moją starą matkę, załatwić w poniedziałek pewne sprawy z adwokatem. We wtorek wrócę. A propos, sądzę, że śmierć pułkownika nie zmieni naszej umowy w sprawie kopca. Pani Protheroe nie będzie miała nic przeciwko temu, że będziemy kontynuowali pracę.

— Sądzę, że nie.

Gdy to powiedział, pomyślałem, że nie wiem właściwie, kto będzie teraz rządził w Starym Dworze. Jest przecież możliwe, że Protheroe zapisał wszystko Letycji. Byłem trochę ciekaw, jak pułkownik rozporządził majątkiem.

— Śmierć wywołuje zwykle zamęt w rodzinie — stwierdziła panna Cram, rozkoszując się tym makabrycznym tematem. — Nie wyobraża sobie ksiądz proboszcz, jaką czasem robi złą krew.

— No, muszę już naprawdę iść.

Doktor Stone czynił daremne wysiłki, aby poradzić sobie z walizką, wielkim pledem i nieporęcznym parasolem. Pospieszyłem mu z pomocą. Zaprotestował.

— Proszę się nie trudzić, proszę się nie trudzić. Dam sobie doskonale radę. Na pewno znajdę kogoś na dole.

Na dole jednak nie było ani śladu czyścibuta lub kogokolwiek w tym rodzaju. Podejrzewam, że hulali właśnie na koszt prasy. Czas jednak naglił, wyruszyliśmy więc na stację. Doktor Stone niósł walizkę, ja trzymałem pled i parasol.

Zdyszany archeolog mimo to nie przestawał wciąż mówić:

— Doprawdy to bardzo ładnie... ze strony księdza proboszcza... Nie chciałem... księdza proboszcza... trudzić... Mam nadzieję, że... nie spóźnię się... na pociąg... Gladys to dobra dziewczyna... naprawdę wspaniała... anielskie usposobienie... miała ciężkie życie w domu... dusza dziecka... dusza dziecka... zapewniam księdza... mimo różnicy wieku... mamy moc wspólnego...

Czułem, że gdyby panna Marple była tutaj, nasunęłoby się jej z miejsca kilka analogii.

Skręciliśmy ku stacji i ujrzelśmy domek Lawrence'a Reddinga. Słoi na uboczu, w pobliżu nie ma innych domów. Zauważyłem dwóch eleganckich młodych ludzi na ganku i dwóch innych, którzy zaglądali przez okno. Prasa nie odpoczywała.

— Miły chłopak z tego Reddinga — zauważyłem, aby sprawdzić, co powie mój towarzysz.

Był już tak zdyszany, że trudno mu było cokolwiek powiedzieć, wyszeptał jednak słowo, którego w pierwszej chwili nie dosłyszałem.

— Niebezpieczny — jęknął, kiedy poprosiłem o powtórzenie.

— Niebezpieczny?

— Ogromnie niebezpieczny. Niewinne dziewczęta... ufne i niedoświadczone... dają się zwieść takim mężczyznom... zawsze kręci się przy kobietach... Nic dobrego...

Wywnioskowałem z tego, że jedyny młodzieniec w miasteczku ściągnął na siebie uwagę powabnej Gladys.

— Boże! — zawołał doktor Stone. — Pociąg!

Byliśmy już blisko stacji, ruszyliśmy więc różnym kłusem.

Pociąg z Londynu stał na stacji, pociąg do Londynu właśnie nadjeżdżał.

W drzwiach prowadzących do kasy zderzyliśmy się z wytwornym młodzieńcem. Poznałem w nim siostrzeńca panny Marple. Młody ten człowiek, jak sądzę, nie lubił, żeby ktoś na niego nagle wpadał. Szczyci się opanowaniem i spokojem, a wulgarnie zderzenie bez wątpienia burzy spokój i



równowagę ducha. Odskoczył szybko. Przeprosiłem go pospiesznie i pobiegliśmy dalej. Doktor Stone wsiadł do pociągu, a ja podałem mu bagaż właśnie w chwili, gdy pociąg ruszał.

Pozdrowiłem archeologa ręką na pożegnanie i wyszedłem ze stacji. Rajmunda Westa już nie było, ale nasz aptekarz, nazwiskiem Cherubin, wyruszał właśnie do miasteczka. Poszedłem razem z nim.

— O włos, a doktor by się spóźnił — zauważył. — Jak tam było dzisiaj na rozprawie, proszę księdza proboszcza?

Powtórzyłem mu werdykt.

— Tak, spodziewałem się takiego werdyktu. Dokąd pojechał doktor?

Powtórzyłem, co mi mówił.

— Miał szczęście, że zdążył. Chociaż na tej linii nigdy nic nie wiadomo. Powiadam księdzu proboszczowi, to skandal. Oburzające! Pociąg, którym przyjechałem, spóźnił się o dziesięć minut! I to w sobotę, kiedy właściwie nic ma wcale ruchu. A w środę — nie, w czwartek... tak, w czwartek — pamiętam, że to było w dniu zabójstwa, bo miałem zamiar napisać skargę do zarządu kolei, ale, jak się dowiedziałem o zabójstwie, wyleciało mi to z głowy — tak, w czwartek, byłem na zebraniu Stowarzyszenia Farmaceutów. Jak ksiądz sądzi, o ile się spóźnił pociąg z 18.50? O pół godziny! Pół godziny. Co ksiądz proboszcz na to? Dziesięć minut to jeszcze pół biedy. Ale jeżeli pociąg przychodzi dopiero o siódmej dwadzieścia, to człowiek jest w domu dopiero pół do ósmej. Więc po co go nazywać pociągiem 18.50, pytam?

— Ma pan rację — powiedziałem i pragnąc uniknąć dalszego słuchania monologu, odszedłem pod tym pretekstem, że mam coś do powiedzenia Reddingowi, który właśnie zbliżał się do nas po drugiej stronie szosy.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

— Cieszę się, że księdza proboszcza spotkałem — rzekł Lawrence. — Może zechce ksiądz proboszcz do mnie wstąpić.

Skręciliśmy do małej furtki w żywopłocie i ścieżką doszliśmy do domu. Redding wyjął z kieszeni klucz i wsadził go do zamka.

— Teraz, zamyka już pan drzwi — zauważyłem.

— Tak — Redding roześmiał się z goryczą. — Mądra koza po szkodzie, co? Wie ksiądz proboszcz — dodał, przepuszczając mnie przodem — jest w tej sprawie coś, co mi się nie podoba. Wszystko obraca się... jak by to powiedzieć... w zbyt ciasnym kole. Ktoś wiedział o tym moim pistolecie. Oznacza to, że morderca musiał być u mnie w domu — może nawet popijał ze mną whisky.

— Niekoniecznie — zaoponowałem. — Całe miasteczko St.Mary Mead prawdopodobnie wie dokładnie, gdzie pan trzyma szczotkę do zębów i jakiego proszku do zębów pan używa.

— Czemu miałoby to ich interesować?

— Nie wiem — odrzekłem — ale faktem jest, że ich to interesuje. Jeżeli zmieni pan krem do golenia, będzie to przedmiotem długich rozmów.

— Muszą się szalenie nudzić.

— Nudzą się bardzo. Tutaj nigdy nie zdarza się nic ciekawego.

— No, teraz się zdarzyła sensacja za wszystkie czasy. Zgodziłem się z tym.

— A kto im o tym opowiada? O kremie do golenia i tak dalej?

— Przypuszczalnie stara pani Archer.

— Ta staruszka? Przecież to na pół kretynka, o ile się orientuje.

— To barwa ochronna biedaków — wyjaśniłem. — Kryją się pod maską głupoty. Przekona się pan jeszcze, że stara pani ma bardzo dobrze w głowie. Nawiasem mówiąc, jest już teraz zupełnie pewna, że pistolet leżał na swoim miejscu w czwartek po południu. Skąd nabrała nagle tej pewności?

— Nie mam pojęcia.  
 — Sądzi pan, że mówi prawdę?  
 — Znów nic mam pojęcia. Nie spisuję codziennie inwentarza swoich rzeczy.  
 Rozejrzałem się po małym saloniku. Wszystkie półki i stoły zarzucone były mnóstwem najrozmaitszych przedmiotów. Lawrence żył wśród nieładu artystycznego, który doprowadziłby mnie do szaleństwa.  
 — Czasami niełatwo mi jest coś znaleźć — powiedział, dostrzegając moje spojrzenie. — Ale z drugiej strony mam wszystko pod ręką. Nic nie jest schowane.  
 — Co do tego nie ma wątpliwości — przyznałem. — Może lepiej byłoby, gdyby pistolet był schowany.  
 — Wie ksiądz proboszcz, spodziewałem się, że koroner powie coś w tym guście. Koronerzy to takie osły. Spodziewałem się, że udzieli mi surowego napomnienia, czy jak to się tam nazywa.  
 — A propos — spytałem — czy pistolet był nabity?  
 Lawrence potrząsnął głową.  
 — Nie jestem aż tak lekkomyślny. Nic był nabity, ale obok leżało pudełko naboju.  
 — Bo podobno był nabity i wystrzelono tylko jedną kulę.  
 Lawrence potwierdził skinieniem głowy.  
 — A czyja ręka oddała strzał? Wszystko bardzo pięknie, ale jeśli nie schwytają mordercy, będę podejrzany o tę zbrodnię do końca życia.  
 — Proszę tak nie mówić, mój chłopcze.  
 — Muszę tak mówić.  
 Umilkł, marszcząc w zamyśleniu brwi. Wreszcie rzeki:  
 — Ale chcę opowiedzieć, co było wczoraj wieczorem. Trzeba przyznać, że panna Marple zna się na ludziach.  
 — O ile mi wiadomo, jest z tego powodu dość nielubiana.  
 Lawrence ciągnął dalej opowiadanie. Za radą panny Marple udał się do Starego Dworu. Tam dzięki Annie uzyskał rozmowę z pokojówką. Anna powiedziała tylko:  
 — Różo, pan Redding chce zadać Róży kilka pytań.  
 Potem wyszła z pokoju.  
 Lawrence miał tremę. Róża, ładna dwudziestopięcioletnia dziewczyna, wpatrywała się w niego uporczywie, co go jeszcze bardziej peszyło.  
 — Chodzi... chodzi o śmierć pułkownika Protheroe.  
 — Tak, proszę pana?  
 — Zależy mi bardzo na tym, żeby ustalić, jak to było.  
 — Tak jest, proszę pana.  
 — Mam nadzieję, że ktoś... że coś... że było może jakieś zdarzenie...  
 Tu Lawrence poczuł, że nie okrywa się chwałą, toteż kłął w duchu pannę Marple i jej rady.  
 — Myślałem, że może panna Róża zdoła mi pomóc.  
 — Tak, proszę pana.  
 Róża zachowywała się wciąż jak idealna służąca, uprzejma, usłużna i całkowicie obojętna.  
 — Tam, do diabła! — zawołał Lawrence. — Czyżbyście nie dyskutowali o tej sprawie tam na dole, między sobą?  
 Nagły ten atak zachwiał idealnym spokojem Róży.  
 — W jadalni dla służby, proszę pana?  
 — Może w pokoju ochmistrzyni albo w komórce czyścibuta, czy ja wiem, gdzie wy tam rozmawiacie? Gdzieś przecież musicie rozmawiać.  
 Widać było, że Róża ma ochotę parsknąć śmiechem i Lawrence poczuł się pewniej.  
 — Panna Róża jest przecież miłą dziewczyną. Na pewno rozumie, jak ja się czuję. Nie chcę, żeby mnie powieszono. Nie zamordowałem waszego pana, ale wiele osób myśli, że go zamordowałem. Czy nie może mi panna Róża jakoś pomóc?

Wyobrażam sobie, że Lawrence musiał w tej chwili wyglądać niezmiernie pociągająco. Piękna głowa odrzucona w tył, błękitne oczy zaklinają i proszą. Róża zmiękła i skapitulowała.

— Ach, proszę pana, jestem pewna, że gdyby ktokolwiek z nas mógł pomóc... Nikt z nas nie myśli, że to pan zabił. Daję słowo.

— Wiem, moja droga, ale to mnie nie uratuje od policji.

— O, policja! — Róża potrząsnęła pogardliwie głową. — Mogę panu powiedzieć tylko tyle, że nie zachwycamy się tym inspektorem. Policja!

— Mimo wszystko policja jest potężna. Panna Róża mówi, że chciałyby mi pomóc. Otóż nie mogę się oprzeć uczuciu, że jest jeszcze mnóstwo rzeczy, które moglibyśmy ustalić. Na przykład ta pani, która odwiedziła pułkownika Protheroe w wigilię jego śmierci.

— Pani Lestrangle?

— Tak, pani Lestrangle. Mam wrażenie, że to była dość dziwna wizyta.

— Tak, proszę pana, wszyscyśmy to mówili.

— Doprawdy?

— No bo przysłała o takiej porze i pytała o pana pułkownika. Oczywiście było dużo rozmów — bo nikt jej tu u nas nie znał. A pani Simmons — gospodyni, proszę pana — powiedziała, że to musi być podejrzana osoba. Ale po tym, co mówiła Gladdie, sama nic wiedziałam, co mam myśleć.

— Co Gladdie mówiła?

— O! Nic takiego, proszę pana. Po prostu... rozmawialiśmy, wie pan.

Lawrence spojrział na nią. Czuł, że dziewczyna coś ukrywa.

— Bardzo jestem ciekaw, o czym ta pani rozmawiała z pułkownikiem.

— Tak jest, proszę pana.

— Panna Róża chyba coś o tym wie?

— Ja? Ależ skąd, proszę pana, nic nie wiem.

— Proszę posłuchać. Powiedziała panna Róża, że chce mi pomóc. Jeżeli słyszała panna Róża coś — cokolwiek — może się to wydawać nieważne, ale cokolwiek... Byłbym tak bardzo wdzięczny. Ostatecznie ktoś mógł... mógł przypadkiem coś słyszeć.

— Ja nic nie słyszałam, proszę pana, daję słowo.

— W takim razie, kto inny słyszał? — rzekł bystro Lawrence.

— N—no... proszę pana...

— Panno Różo, ja proszę.

— Nie wiem, co Gladdie na to powie.

— Na pewno chciałyby, żeby mi wszystko powtórzyć. Nawiasem mówiąc, kto to jest Gladdie?

— Podkuchenna, proszę pana. I widzi pan, ona właśnie szła do przyjaciółki i przechodziła pod oknem

— pod oknem gabinetu — a tam był pan pułkownik z tą panią. A pan pułkownik naturalnie mówił jak zawsze bardzo głośno. I naturalnie Gladdie trochę to zaciekawiło...

— Najzupełniej naturalne — zapewnił ją skwapliwie Lawrence. — Po prostu musiała posłuchać.

— Ale oczywiście, nie mówiła nikomu poza mną. I nam obydwu to się wydawało bardzo dziwne. Ale Gladdie nie mogła nic mówić, bo gdyby się dowiedziano, że wyszła na spotkanie z... z koleżanką, to miałyby nieprzyjemności od pani Pratt — to znaczy od kucharki, proszę pana. Ale jestem pewna, że panu chętnie by wszystko opowiedziała.

— Więc czy mogę pójść do kuchni i z nią porozmawiać? Róża przeraziła się na samą tę myśl.

— O nie, proszę pana, broń Boże. A poza tym, Gladdie jest bardzo nerwowa.

Po długich dyskusjach osiągnięto wreszcie porozumienie i umówiono potajemne spotkanie w ogrodzie.

Tutaj Lawrence ujrzał nerwową Gladdie, która przypominała raczej wystraszonego królika aniżeli istotę ludzką. Dziesięć minut upłynęło na uspokajaniu dziewczyny, przy czym drżąca Gladys twierdziła, że nie może i nie powinna, że nie spodziewała się, żeby Róża ją zdradziła, ale w

każdym razie nic myślała nic złego, daje na to słowo, a teraz będzie miała za swoje, jeżeli pani Pratt o wszystkim się dowie.

Lawrence uspokajał, namawiał, perswadował — i wreszcie Gladys dała się uprosić.

— Jeżeli pan jest pewien, że to dalej nie pójdzie...

— Oczywiście, że nie.

— I żeby nie użyto tego przeciwko mnie w sądzie!

— Nigdy.

— I nie powie pan mojej pani?

— Pod żadnym pozorem.

— Bo jeżeli to dojdzie do pani Pratt...

— Nic dojdzie, Gladys. Proszę mi powiedzieć.

— Jeżeli pan jest pewien, że dobrze robię...

— Absolutnie pewien. Będzie pani kiedyś zadowolona, że mnie uratowała od szubienicy.

Gladys wydała okrzyk przerażenia.

— O, proszę pana, tego na pewno bym dla pana nie chciała! Więc ja słyszałam bardzo mało — i to zupełnie przypadkowo...

— Rozumiem to doskonale.

— Ale pan pułkownik widocznie bardzo się gniewał. „Po tylu latach — tak mówił — po tylu latach ośmielasz się tu przychodzić... To niesłychane...” Nie słyszałam, co ta pani mówiła, ale po chwili pułkownik powiedział: „Odmawiam, stanowczo odmawiam...” Nie pamiętam wszystkiego dokładnie... w każdym razie zdawało się, że okropnie się kłóca, bo ona chce, żeby on coś zrobił, a on się nie zgadza. Pamiętani, że powiedział: „To hańba, żeś tu przyjechała”. I jeszcze: „Nie zobaczysz jej — zabraniam ci!”, a wtedy nadstawiłam ucha, bo to tak wyglądało, jakby ta pani chciała coś opowiedzieć pani Protheroe, a pan pułkownik się tego bał. Więc pomyślałam sobie: „Proszę, proszę, jaki jest surowy, a nie wiadomo, jak tam z nim jest naprawdę. Pomyśleć tylko!”. „Wszyscy mężczyźni są tacy sami!” — powiedziałam polem do mojego najdroższego. Ale on się ze mną nie zgodził. Spierał się ze mną, chociaż przyznał, że dziwi się panu pułkownikowi — bo przecież pan pułkownik jest członkiem rady parafialnej i czyta w niedzielę Ewangelię. „Właśnie — powiedziałam — tacy są najgorsi”. Bo tak zawsze mówiła moja matka.

Gładzie umilkła, żeby zaczerpnąć tchu, a Lawrence spróbował taktownie powrócić do punktu wyjścia.

— Czy słyszała pani coś jeszcze?

— Trudno mi spać dokładnie, proszę pana. Powtarzali mniej więcej to samo. Pan pułkownik powiedział parę razy: „Nie wierzę w to”. Tak po prostu: „Niech sobie Haydock mówi, co chce, ja w to nie wierzę”.

— Tak powiedział? „Niech sobie Haydock mówi, co chce”?

— Tak, i powiedział jeszcze, że to intryga.

— Nie słyszała pani wcale, co mówiła ta pani?

— Dopiero na końcu. Widocznie wstała i podeszła bliżej okna. Wtedy usłyszałam. Aż mnie ciarki przeszły. Nigdy tego nie zapomnę. „Jutro o tej porze być może nie będziesz już żył” — powiedziała. I to takim tonem. Jak tylko usłyszałam, co się stało, zaraz powiedziałam do Róży: „No proszę”. Tak powiedziałam.

Lawrence był zaskoczony. Przede wszystkim zastanawiał się, w jakim stopniu można polegać na słowach Gladys. Podejrzywał, że po morderstwie musiała ona trochę upiększyć i przyozdobić swoje opowiadanie. Wątpił zwłaszcza w ścisłość ostatnich słów. Wydawało mu się bardzo prawdopodobne, że uwaga ta zrodziła się w pamięci Gladys dopiero po zabójstwie.

Podziękował Gladys, wynagrodził ją odpowiednio, zapewnił, że pani Pratt o niczym się nie dowie i opuścił Stary Dwór, mając wiele materiału do rozmyślań.

Jedno nie ulegało wątpliwości — rozmowa pani Lestrangle z pułkownikiem Protheroe miała przebieg burzliwy i pułkownikowi zależało bardzo na tym, aby żona nie zapoznała się z jej treścią.

Przyszedł mi na myśl wspomniany przez pannę Marple członek rady parafialnej, który utrzymywał potajemnie drugą rodzinę. Czyżby miało się tu do czynienia z podobnym wypadkiem?

Jeszcze bardziej zastanawiało mnie, jaką rolę odgrywa w tym Haydock. Uchronił on panią Lestrangle od składania zeznań na rozprawie. Robił, co mógł, żeby chronić ją przed policją.

Jak daleko zamierza posunąć tę opiekę?

Przypuśćmy, że podejrzewałby ją o popełnienie zbrodni — czy nadal starałby się ją osłaniać?

Pani Lestrangle była kobietą niezwykłą, kobietą obdarzoną magnetycznym urokiem. Sam nie mogłem dopuścić myśli, aby mogła mieć coś wspólnego ze zbrodnią.

Głos wewnętrzny mówił mi: „To nie może być ona!”

Dlaczego?

Chochlik ukryty w mózgu odpowiadał: „Bo jest bardzo piękną i pociągającą kobietą. Oto dlaczego”.

Wszyscy jesteście tylko ludźmi, jak powiada panna Marple.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kiedy wróciłem na plebanię, okazało się, że mamy przesilenie gabinetowe.

Gryzelda wyszła na moje spotkanie do holu i ze łzami w oczach zaciągnęła mnie do salonu.

— Odchodzi...!

— Kto odchodzi?

— Mary. Wymówiła mi.

Nic mogłem traktować tej wiadomości tragicznie.

— Trudno — powiedziałem — postaramy się; o inną służącą.

Wydawało mi się to najzupełniej rozsądne — kiedy jedna służąca odchodzi, przyjmuje się drugą. Toteż nie rozumiałem spojrzenia pełnego wyrzutu, które rzuciła mi Gryzelda.

— Len, jesteś bez serca. Wcale się nic przejmujesz.

Była to prawda. Jeśli chodzi o ścisłość, czułem nawet radość na myśl o tym, że nie będzie już przypalonych budyni i nie dogotowanych jarzyn.

— Będę musiała poszukać dziewczyny, znaleźć ją i wyszkolić — ciągnęła dalej Gryzelda głosem pełnym litości nad sobą.

— Czy Mary jest wyszkolona? — spytałem.

— Oczywiście.

— Ktoś pewnie usłyszał raz, jak wyjątkowo zwróciła się do nas grzecznie — powiedziałem — i natychmiast ją od nas wywabił sądząc, że to wzór cnót wszelkich. Mogę cię tylko zapewnić, że czeka go wielkie rozczarowanie.

— Wcale nic o to chodzi — odparła Gryzelda. — Nikt inny jej nie chce i nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł chcieć. Obraziła się po prostu, bo Letycja Protheroe powiedziała, że ona źle sprząta.

Gryzelda częstokroć wygłasza przedziwne i zaskakujące zdania, to jednak tak mnie zadziwiło, że je zakwestionowałem. Wydawało mi się najbardziej nieprawdopodobną rzeczą na świecie, aby Letycja Protheroe miała wtrącać się do naszych spraw domowych i napominać naszą służącą za niedbałe wykonywanie obowiązków. Było to do niej wcale niepodobne, co też zaznaczyłem.

— Nic rozumiem, co Letycja Protheroe może mieć wspólnego ze sprzątaniami naszego domu — powiedziałem.

— Absolutnie nic — odrzekła moja żona. — Dlatego to wszystko jest tak bezsensowne.

Chciałabym, żebyś sam pomówił z Mary. Jest w kuchni.

Nie miałem najmniejszej ochoty na rozmowę z Mary, ale Gryzelda, która jest bardzo energiczna, wepchnęła mnie do kuchni, nim się zdążyłem zbuntować.

Mary obierała kartofle przy zlewie.

— Hm... dzień dobry — powiedziałem niezbyt pewnie.

Mary podniosła głowę i prychnęła. nie odezwała się jednak.

— Pani mówi, że chcesz nas opuścić. Na to już Mary raczyła odpowiedzieć.

— Są rzeczy, których żadna dziewczyna nie zniesie — oznajmiła złowieszczo.

— Może mi to dokładniej wyjaśnisz?

— Co?

— Może powiesz mi dokładniej, co cię tak wzburzyło?

— Proszę bardzo, mogę powiedzieć w dwóch słowach. — (Muszę stwierdzić, że nie dotrzymała obietnicy). — Bo tu przychodzą różne osoby i myszkują po kątach, kiedy ja nie widzę. Wścibiają nos, gdzie nie potrzeba. A czy to jej interes, jak często sprzątam w gabinecie? Jeżeli ksiądz proboszcz i pani na mnie nie narzekają, to nikogo innego to nie powinno obchodzić. Najważniejsze, żeby państwo byli ze mnie zadowoleni.

Nigdy nie byłem zadowolony z Mary. Przyznam się, że tęsknię za pokojem co dzień rano dokładnie sprzątniętym i odkurzonym. Stosowany przez Mary zwyczaj ścierania tylko bardziej rzucających się w oczy pokładów kurzu jest moim zdaniem najzupełniej niewystarczający. Rozumiem jednak, że chwila nie jest odpowiednia do dyskusji na ten temat.

— Musiałam iść zeznawać, nie? Ja, porządna dziewczyna, musiałam stać przed dwunastoma chłopami! A kto wie, jakie pytania mogli mi zadawać. Powiem księdzu proboszczowi tylko tyle — nigdy jeszcze nie byłam w domu, w którym kogoś zamordowano, i nie chcę być nigdy więcej.

— Mam nadzieję, że nie będziesz. Zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa szansa na to jest niewielka.

— Nic mnie nie obchodzą żadne rachunki. A za świadka też nie chcę być. On był sędzią pokoju. Niech tylko jaki biedak zamierzył się na królika, zaraz go pakował do więzienia, a sam miał bażanty i Bóg wie co. A teraz, zanim go jeszcze pochowano jak pan Bóg przykazał, jego córka tu przychodzi i powiada, że źle sprzątam.

— Panna Protheroe tu była?

— Zastałam ją tutaj, kiedy wróciłam spod „Niebieskiego Dzika”. Była w gabinecie. „Szukam mojego żółtego bereciku — powiada. — Zostawiłam go tutaj parę dni temu”. „Ja tam żadnego beretu nie widziałam — mówię. — Nie było go, jak tu sprzątałam w czwartek rano”. A ona na to: „Mary pewno go nie zauważyła. Mary nie traci za dużo czasu na sprzątanie, prawda?” I przeciąga palcem po półce i patrzy na ten palec. A czy to ja miałam czas dzisiaj rano zdejmować wszystkie drobiazgi i odstawiać je z powrotem? A policjanci dopiero wczoraj wieczorem otworzyli pokój. „Jak proboszcz i pani proboszczowa są ze mnie zadowoleni, to jest chyba najważniejsze, panienko” — powiedziałam. A ona się roześmiała, wyszła na taras i mówi: „A czy Mary taka jest pewna, że są zadowoleni?”

— Rozumiem.

— No i już! Ja mam swoją ambicję! Ręce sobie po łokcie urabiam dla księdza proboszcza i dla pani. A jak pani chce jakiejś nowomodnej potrawy, zawsze ją z miłą chęcią gotuję.

— Niewątpliwie — starałem się ją uspokoić.

— Ale ona musiała coś takiego słyszeć, boby tak nie powiedziała. A jak państwo nie są ze mnie zadowoleni, to wolę sobie iść. Nie żebym sobie coś robiła z tego, co mówi panna Protheroe. Jej tam we dworze nie kochają, to mogę powiedzieć. Nigdy nie powie „proszę” ani „dziękuję”, a swoje rzeczy rozrzuca na prawo i na lewo. Sama bym nie dała dwóch groszy za pannę Protheroe: chociaż pan Dennis patrzy w nią jak w obraz. Ale to taka osoba, co zawsze potrafi owinąć młodego człowieka wokół palca.

Podczas tej przemowy Mary wydłubywała oczka z kartofli tak energicznie, że sypały się po kuchni jak grad.

W tej chwili jedno trafiło mnie w oko i spowodowało chwilową przerwę w konwersacji.

— Czy nie sądzisz — powiedziałem, przykładając do oka chusteczkę — że zbyt pochopnie dopatrzyłaś się obrazę w słowach zupełnie niewinnych? Bo musisz wiedzieć Mary, że twoja pani bardzo będzie żałowała, jeśli cię straci.

— Nie mam nic do pani ani do księdza proboszcza, jeżeli o to chodzi.  
 — Więc czy nie myślisz, że zachowujesz się niemądrze? Mary pociągnęła nosem.  
 — Trochę się zdenerwowałam... bo to i śledztwo, i zeznania... A ja mam swoją ambicję. Ale nie chciałabym robić pani przykrości.  
 — No to wszystko w porządku — powiedziałem. Wyszedłem z kuchni. Gryzelda i Dennis czekali na mnie w holu.  
 — No i co?! — zawołała Gryzelda.  
 — Zostaje — oznajmiłem z westchnieniem.  
 — Len — powiedziała moja żona — jesteś genialny! Nie byłem skłonny przyznać jej racji. Moim zdaniem postąpiłem bardzo nierozsądnie. Jestem świecie przekonany, że żadna służąca nie może być gorsza od Mary. Wszelka zmiana byłaby zmianą na lepsze.  
 Ale lubię sprawiać przyjemność Gryzeldzie. Powtórzyłem główne punkty żalów Mary.  
 — Cała Letycja! — zawołał Dennis. — Nie mogła przecież zostawić tu w środę beretu. Miała go w czwartek na tenisie.  
 — Wydaje mi się to bardzo prawdopodobne — powiedziałem.  
 — Nigdy nie wie, gdzie coś posiała — oświadczył Dennis z najzupełniej nieuzasadnionym rozrzewnieniem i podziwem. — Gubi codziennie co najmniej dziesięć przedmiotów.  
 — Niezwykle pociągająca cecha — zauważyłem. Mój sarkazm chybił celu.  
 — Letycja w ogóle jest pociągająca — odparł z westchnieniem Dennis. — Wciąż jej się ktoś oświadcza, sama mi to mówiła.  
 — Muszą to być niezbyt godziwe oświadczyzny, jeżeli czynione są w naszym miasteczku — zauważyłem. — Nie mamy tu ani jednego kawalera.  
 — Jest doktor Stone — zaoponowała Gryzelda, a oczy jej zabłysły figlarnie.  
 — Prawda, zapraszał ją kilka dni temu na zwiedzanie kopca — przyznałem.  
 — Naturalnie — dodała Gryzelda. — Bo ona naprawdę jest pociągająca. Len. Nawet łysi archeolodzy to czują.  
 — Ma moc seksapilu — stwierdził Dennis tonem znawcy. A jednak Lawrence Redding nie uległ wdziękom Letycji. Gryzelda wszakże wyjaśniła to z miną osoby przekonanej o swej słuszności:  
 — Lawrence sam ma moc seksapilu. Ten rodzaj mężczyzn woli zawsze — jak to powiedzieć — typ purytański. Kobiety powściągliwe i nieśmiałe. Takie, o których się mówi, że są zimne. Anna jest chyba jedyną kobietą, która potrafi utrzymać przy sobie Lawrence'a. Nigdy się pewnie sobą nie znudzą. Mimo to pod pewnym względem postąpił niemądrze. Używał Letycji za parawan. Pewno wcale mu nie przyszło do głowy, że się jej podoba — jest właściwie bardzo skromny — ale ja mam wrażenie, że Letycji bardzo na nim zależy.  
 — Nie znosi go — oznajmił stanowczo Dennis. — Sama mi to mówiła:  
 Trudno opisać pełne politowania milczenie, jakim Gryzelda skwitowała tę uwagę.  
 Poszedłem do gabinetu. Wciąż jeszcze czułem się w tym pokoju nieswojo i wiedziałem, że muszę to uczucie przezwyciężyć. Jeżeli mu ulegnę, dojdzie do tego, że przestanę w ogóle korzystać z gabinetu. W zamyśleniu podszedłem do biurka. Tutaj siedział Protheroe, rumiany, rubaszny, zadowolony z siebie, i tu w pewnej chwili dosięgła go mordercza kula. Tutaj, gdzie ja stoję, stał wróg...  
 Nie ma już pułkownika Protheroe...  
 Oto pióro, które trzymał w palcach.  
 Na podłodze widniała niewyraźna, ciemna plama — dywan oddano do pralni, ale krew przesączyła się na drugą stronę.  
 Zadrzałem.  
 — Nie mogę używać tego pokoju — powiedziałem na głos — nie mogę.  
 Naraz oko moje padło na coś niebieskiego... drobna, intensywnie niebieska plamka. Schyliłem się. Na podłodze pod biurkiem dostrzegłem maleńki przedmiot. Podniosłem go.

Stałem trzymając go na dłoni, gdy weszła Gryzelda.

— Len, zapomniałam ci powiedzieć. Panna Marple zaprasza nas po kolacji do siebie. Mamy zabawić jej siostrzeńca. Boi się, żeby mu się nie nudziło. Powiedziałam, że przyjdziemy.

— Doskonale, kochanie.

— Co tak oglądasz?

— Nic.

Zacisnąłem rękę i patrząc na moją żonę powiedziałem:

— Jeżeli Rajmund West nie będzie się doskonale bawił w twoim towarzystwie, znaczy to, że bardzo trudno mu dogodzić.

— Nie bądź śmieszny, Len — odparta, rumieniąc się moja żona.

Wyszła znowu, a ja rozwarłem rękę.

Na mojej dłoni leżał kolczyk z lapis-lazuli, okolony drobnymi perełkami.

Był to dość oryginalny klejnot i pamiętałem doskonale, u kogo widziałem go przedtem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Nie powiem, żebym kiedykolwiek żywił specjalny podziw dla pana Rajmunda Westa. Wiem, że uważa się go za wybitnego powieściopisarza i że zdobył rozgłos jako poeta. Wiersze jego pozbawione są wielkich liter, co, jeśli się nie mylę, stanowi szczyt nowoczesności. Książki jego traktują o niemiłych ludziach, pędzących niewymownie nudny żywot.

Swoją „ciotkę Jankę” traktuje z pobłażliwą czułością i nazywa ją w oczy „zabytkiem przeszłości”.

Panna Marple słucha go z przypochlebną uwagą, a jeśli czasami w oku jej migoczą błyski humoru, pan West na pewno ich nie dostrzega.

Przysiadł się od razu do Gryzeldy. Rozmawiali o nowoczesnych sztukach teatralnych, od nich zaś przeszli do nowoczesnej scenografii. Gryzelda udaje, że śmieje się z Rajmunda Westa, w gruncie rzeczy jednak wywody jego robią na niej, zdaje się, wrażenie.

Podczas mojej (bardzo nudnej) rozmowy z panną Marple, słyszałem powtarzający się co pewien czas zwrot: „Jest pani tutaj żywcem pogrzebana”.

Zaczęło mnie to w końcu drażnić. Powiedziałem nagle:

— Pan pewnie sądzi, że jesteśmy tutaj odcięci od świata?

Rajmund West zatoczył koło ręką, w której trzymał papierosa.

— Uważam St. Mary Mead za sadzawkę ze stojącą wodą — oświadczył tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Był przygotowany na to, że słowa jego wzbudzą gniew, jednakże ku jego zdziwieniu, a może i żmartwieniu, nikt nie zdradził najlżejszej irytacji.

— Nie jest to trafne porównanie, kochany Rajmundzie — odparła wesoło panna Marple. — Pod mikroskopem nic chyba nie jest tak pełne życia, jak kropla stojącej wody.

— Życia w swoim rodzaju — przyznał powieściopisarz.

— Wszelkie życie jest tego samego rodzaju — odrzekła panna Marple.

— Przyrównujesz siebie do stworzenia z sadzawki, ciociu?

— Mój drogi, sam w ostatniej książce napisałeś coś podobnego.

Żaden młody intelektualista nie lubi, żeby używano cytatów z jego dzieł jako argumentów przeciw niemu. Rajmund West nie stanowił w tym względzie wyjątku.

— To było zupełnie co innego — uciał.

— Ostatecznie życie wszędzie jest takie samo — ciągnęła dalej panna Marple swoim spokojnym głosem.

— Człowiek się rodzi, dorasta, styka się z innymi ludźmi, którzy potracają go i popychają, potem małżeństwo i znów dzieci...



— A w końcu śmierć — rzekł Rajmund West. — I to nie zawsze śmierć fizyczna. Czasem bywa to śmierć za życia.

— A propos śmierci — wtrąciła Gryzelda. — Czy wie pan, że mieliśmy tu morderstwo?

Rajmund West ruchem papierosa odtrącił ten temat.

— Morderstwa są wulgarne — oświadczył. — Nie interesuję się nimi.

Nic dałem się ani przez chwilę zwieść tym słowom. Nie ma człowieka, który by się nie pasjonował morderstwami. Ludzie proszą, jak Gryzelda i ja, przyznają się do tego faktu, ale każdy człowiek z gatunku Westa musi udawać znudzenie — w każdym razie przez pierwsze pięć minut.

Panna Marple jednakże zdradziła siostrzeńca, mówiąc:

— Podczas kolacji o niczym innym nie rozmawialiśmy.

— Bo ja się bardzo interesuję miejscowymi nowinkami — wyjaśnił skwapliwie Rajmund.

Uśmiechnął się przy tym do panny Marple dobrotliwie i wyrozumiale.

— Ma pan jakąś teorię? — spytała go Gryzelda.

— Logicznie rzecz biorąc — rzekł Rajmund West, znów wywijając papierosem — pułkownika Protheroe mogła zabić tylko jedna osoba.

— Tak? — przynagliła Gryzelda.

Oczy wszystkich zawisły na ustach pisarza.

— Ksiądz proboszcz — oznajmił West, wskazując na mnie oskarżycielskim ruchem.

Jęknąłem przerażony.

— Wiem oczywiście, że ksiądz proboszcz tego nie zrobił — uspokoił mnie West. — Życie nigdy nie układa się tak, jak powinno. Ale proszę tylko pomyśleć, jaki by to był dramat... jaki doskonały węzeł dramatyczny — członek rady parafialnej zamordowany na plebanii przez proboszcza. Palce lizać!

— A pobudki? — spytałem.

— O, to ciekawe. — West wyprostował się, nie zwracając nawet uwagi na to, że mu zgasł papieros.

— Może kompleks niższości. Albo zbyt wiele zahamowań psychicznych. Chętnie bym opisał taką historię. Niestychanie skomplikowana sprawa. Tydzień po tygodniu, rok po roku proboszcz widuje tego człowieka: na zebraniach parafialnych, podczas prób chóru chłopięcego, przy zbieraniu ofiar, które pułkownik przynosi polem do ołtarza. Czuje do niego niechęć, którą wciąż w sobie tłumi. To niechrześcijańskie uczucie, proboszcz nie powinien dopuszczać do jego rozwoju. Niechęć więc tli się w nim, ukryta głęboko, aż pewnego pięknego dnia...

Powieściopisarz zrobił wymowny gest. Gryzelda zwróciła się do mnie.

— Miałeś kiedy takie uczucie, Len?

— Nigdy — odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

— A jednak nie tak dawno życzył mu ksiądz proboszcz śmierci — zauważyła panna Marple. (Niegodziwy Dennis! Ale to moja wina, nie wolno mi było nic podobnego mówić).

— Niestety tak — powiedziałem. — Była to głupia uwaga, ale doprawdy spędziłem w jego towarzystwie bardzo męczący ranek.

— Szkoda wielka — rzekł West. — Bo, oczywiście, gdyby podświadomość księdza proboszcza rzeczywiście planowała zabójstwo, nie pozwoliłaby księdzu nigdy wypowiedzieć takiej uwagi na głos.

Westchnął.

— Moja teoria rozpada się w gruzy. Mamy przypuszczalnie do czynienia z bardzo pospolitym morderstwem — jakiś kłusownik pałający chęcią zemsty albo coś w tym rodzaju.

— Była u mnie dzisiaj panna Cram — rzekła panna Marple. — Spotkałam ją w miasteczku i zapytałam, czy nie chciałaby obejrzeć mojego ogrodu.

— Czy ona interesuje się ogrodnictwem? — spytała Gryzelda.

— Wątpię — odparła panna Marple z dobrodusznym błyskiem w oku. — Ale to bardzo dobry pretekst do rozmowy.

— I co pani o niej sądzi? — spytała Gryzelda. — Bo moim zdaniem ona wcale nie jest taka okropna, na jaką wygląda.

— Bez, żadnego ponagłania z mojej strony dostarczyła mi mnóstwa informacji — stwierdziła panna Marple — doprawdy mnóstwa informacji. Głównie o sobie i o swojej rodzinie. Jak się okazuje wszyscy jej krewni albo nie żyją, albo są gdzieś w Indiach. Bardzo to smutne. Nawiasem mówiąc, ma spędzić weekend w Starym Dworze.

— Co takiego?

— A tak! Pani Protheroe zaprosiła ją, czy może panna Cram przymówiła się o zaproszenie — nie bardzo się orientuję, jak to tam było. Panna Cram ma pomóc pani Protheroe — tyle przecież jest listów do napisania w związku z pogrzebem. Tak się szczęśliwie złożyło, że doktor Stone wyjechał i panna Cram nie ma nic do roboty. Tyle było zamieszania z rozkopywaniem tego kopca...

— Stone? — spytał Rajmund. — Czy to ten archeolog?

— Tak, prowadzi tu roboty wykopaliskowe. Na terytorium pułkownika Protheroe.

— To wybitny uczony — rzekł Rajmund — i niesłychanie rozmiłowany w swojej pracy. Widziałem go niedawno na przyjęciu u znajomych i odbyliśmy niezmiernie interesującą rozmowę. Muszę go tu odwiedzić.

— Niestety, wyjechał właśnie na dwa dni do Londynu — wtrąciłem. — Ale pan przecież zderzył się z nim dzisiaj na stacji.

— Zderzyłem się z księdzem proboszczem. A obok księdza biegł jakiś mały grubas w okularach.

— Tak, doktor Stone.

— Ależ, księżo kochany, to nie był Stone.

— Nie?

— W każdym razie nie ten archeolog. Znam go bardzo dobrze. To na pewno nie był Stone... ani trochę nawet do niego niepodobny.

Spojrzelśmy po sobie. Szczególnie przeciągłe spojrzenie rzuciłem pannie Marple.

— Zdumiewające — powiedziałem.

— Walizka — rzuciła panna Marple.

— Ale dlaczego? — spytała Gryzelda.

— Przypomina mi się ten przyjezdny, który udawał, że jest inspektorem z gazowni — szepnęła panna Marple.

— Wywiózł stąd wcale pokaźny łup.

— Oszust! — zawołał Rajmund West. — To rzeczywiście ciekawe.

— Najważniejsze, czy to ma coś wspólnego z morderstwem? — wtrąciła Gryzelda.

— Niekoniecznie — odparłem — ale... — Tu spojrzałem na pannę Marple.

— Osobliwe zdarzenie — stwierdziła panna Marple.

— Jeszcze jedno osobliwe zdarzenie.

— Tak — powiedziałem wstając — mam wrażenie, że należy natychmiast zawiadomić o nim inspektora.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Rozkazy inspektora Slacka — gdy uzyskałem z nim połączenie — były zwięzłe, lecz ważne. Mielśmy „nie puszczać pary z gęby”. Przede wszystkim nie należało płoszyć panny Cram. Tymczasem miano rozpocząć energiczne poszukiwania walizki, ukrytej prawdopodobnie w pobliżu kopca.

Gryzelda i ja wróciliśmy do domu niezmiernie podnieceni nowym odkryciem. Nie mogliśmy wszakże rozmawiać o nim w obecności Dennisa, gdyż przyrzekliśmy uroczyście inspektorowi, że nie piśniemy nikomu ani słówka.

Dennis zresztą miał własne kłopoty. Przyszedł do mnie do gabinetu, dotykał bezmyślnie przedmiotów na biurku, przestępował z nogi na nogę i w ogóle miał bardzo zaambarasowaną minę.

— O co chodzi, Dennis? — spytałem wreszcie.

— Wujku. ja... ja nie chcę iść do marynarki.

Oslupiałem. Dennis dotychczas twierdził zawsze stanowczo, że chce zostać marynarzem.

— Przecież tak się do tego paliłeś...

— Owszem, ale się rozmyśliłem.

— Cóż więc chcesz robić?

— Chcę być finansistą.

Wprawilo mnie to w jeszcze większe zdumienie...

— Co to znaczy — finansistą?

— Chcę iść do City.

— Ależ, chłopcze kochany, na pewno nie podobałoby ci się takie życie. Gdybym nawet postarał się dla ciebie o posadę w banku...

Dennis odparł, że ma na myśli co innego. Nie chce wcale pracować w banku. Zapytałem go, co właściwie ma na myśli, i okazało się, jak się zresztą domyślałem, że chłopiec w gruncie rzeczy sam dobrze nie wie.

„Zostać finansistą” równało się dla niego szybkiemu wzbogaceniu się, a z optymizmem właściwym młodości sądził, że nastąpi to niechybnie, jeżeli tylko „pójdzie do City”. Rozwiąłem jego złudzenia możliwie jak najdelikatniej.

— Skąd ci to strzeliło do głowy? — spytałem. — Tak się cieszyłeś, że zostaniesz marynarzem.

— Tak, wujku, ale ostatnio dużo się nad tym zastanawiałem. Będę się chciał kiedyś ożenić, a żeby się ożenić, trzeba być bogatym.

— Fakty przeczą twojej teorii — zauważyłem.

— Wiem, ale jak się ktoś chce ożenić z prawdziwą dziewczyną... z taką, która jest przyzwyczajona do różnych rzeczy...

Wszystko to było dość mgliste, ale zacząłem się domyślać, o co mu chodzi.

— Musisz wiedzieć — powiedziałem łagodnie — że nie wszystkie dziewczęta są takie jak Letycja Protheroe.

Zaperzył się od razu.

— Jesteś dla niej okropnie niesprawiedliwy. Nie lubisz jej. Gryzelda też jej nie lubi. Mówi, że jest nieznośna.

Z kobiecego punktu widzenia Gryzelda ma zupełną słuszność. Letycja rzeczywiście jest nieznośna. Rozumiałem jednak, że chłopca ten przymiotnik może oburzać.

— Ludzie powinni mieć trochę wyrozumiałości. Nawet Napierowic wyrzekają na nią, i to w takiej chwili! Tylko dlatego, że wyszła od nich z tenisa trochę wcześniej, niż chcieli. Dlaczego miała zostać, skoro się nudziła? Bardzo ładnie, że w ogóle przyszła.

— Tak, uczyniła im wielką łaskę — powiedziałem, ale Dennis nie dopatrywał się w moich słowach złośliwości. Był ogromnie rozżalony z powodu Letycji.

— W gruncie rzeczy jest absolutnie pozbawiona egoizmu i bardzo dba o uczucia innych osób. Mnie, na przykład, kazała tam zostać. Bo ja oczywiście chciałem iść z nią razem, ale nie chciała o tym słyszeć. Powiedziała, że to będzie nieładnie wobec Napierów. Zostałem więc jeszcze przez kwadrans, żeby jej sprawić przyjemność.

Młódzież ma osobliwe pojęcie o egoizmie i o braku egoizmu.

— A teraz Zuzanna Hartley Napier opowiada podobno na prawo i na lewo, że Letycja jest źle wychowana.

— Nie powinieneś się tym przejmować — powiedziałem.

— Bardzo pięknie, ale...

Urwał.

— Zrobiłbym... zrobiłbym wszystko dla Letycji.

— Bardzo niewielu spośród nas może coś zrobić dla kogoś innego — powiedziałem. — Mimo najlepszych chęci jesteśmy bezradni.

— Chciałbym umrzeć — powiedział Dennis. Biedny chłopiec, pierwsza miłość to ciężka choroba.

Powstrzymałem się od truizmów — irytujących zapewne — które się w takich wypadkach cisną na usta, życzyłem tylko Dennisowi dobrej nocy, poszedłem na górę i położyłem się spać.

Nazajutrz rano odprawiłem nabożeństwo o godzinie ósmej, po powrocie zaś do domu zastałem Gryzeldę przy stole z jakimś listem w ręku. List był od Anny Protheroe.

Kochana Gryzeldo!

Gdybyś zechciała dzisiaj przyjść : księdzem proboszczem do mnie na obiad, byłabym bardzo wdzięczna. Zdarzyło się coś bardzo dziwnego i chciałabym zasięgnąć rady księdza proboszcza. Proszę bardzo nie wspominać o tym, kiedy przyjdiesz, bo nikomu o niczym jeszcze nic nie mówiłam. Twoja kochająca

Anna Protheroe

— Oczywiście musimy iść — oświadczyła Gryzelda. Przyznałem jej rację.

— Ciekawa jestem, co się stało. Ja również byłem ciekaw.

— Wiesz — powiedziałem do Gryzeldy — mam wrażenie, że do końca sprawy jest jeszcze bardzo daleko.

— Chodzi ci o chwilę, kiedy kogoś na dobre aresztują?

— Nie. Myślałem o czym innym — o tym, że tu wchodzi w grę różne czynniki, o których nic nie wiemy. Aby dotrzeć do sedna, trzeba jeszcze wyjaśnić moc rzeczy.

— Rzeczy, które same przez się nie mają wielkiego znaczenia, ale przeszkadzają w wykryciu prawdy?

— Tak. sądzę, że o to właśnie mi chodzi.

— Moim zdaniem wszyscy robimy wiele hałasu o nic — rzekł Dennis, nabierając sobie marmolady. — Bardzo dobrze się siato, że stary Protheroe nie żyje. Nikt go nie lubił. Owszem, wiem, że policja musi łamać sobie nad tym głowę — od tego jest. Ale ze swojej strony mam nadzieję, że nie złapią zabójcy. Byłoby to nie do wytrzymania, gdyby Slack dostał awans i puszył się jak paw, że taki jest mądry.

Jestem tylko człowiekiem, pomyślałem więc w skrytości ducha, że zgadzam się z Dennisem co do awansu Slacka. Człowiek, który systematycznie następuje innym na odciski, nie może liczyć na popularność.

— Doktor Haydock jest mniej więcej tego zdania, co ja — ciągnął dalej Dennis. — Nie wydałby nigdy zabójcy w ręce sprawiedliwości. Sam tak powiedział.

Tu właśnie tkwi chyba niebezpieczeństwo poglądów Haydocka. Być może są nawet rozsądne — trudno mi o tym wyrokować, ale u osobników młodych i niewyrobionych budzą reakcje przez Haydocka na pewno nie zamierzone.

Gryzelda wyjrzała przez okno i powiedziała, że w ogrodzie są reporterzy.

— Zdaje się, że znowu fotografują okno gabinetu — dodała z westchnieniem.

Musieliśmy już wiele znieść od chwili zabójstwa. Najpierw ciekawość mieszkańców miasteczka — wszyscy przychodzili gapić się na plebanię. Następnie reporterów uzbrojonych w aparaty fotograficzne i znowu mieszkańców miasteczka, którzy znów przychodzili gapić się na reporterów. Wreszcie musieliśmy znosić obecność policjanta z Much Benham, pełniącego wartę pod oknem.

— No, pogrzeb odbędzie się jutro — powiedziałem. — Potem na pewno podniecenie zacznie opadać.

Kiedyśmy przyszli do Starego Dworu, zauważyłem kilku kręcących się w pobliżu reporterów. Zasypali mnie rozmaitymi pytaniami, na które udzielałem niezmiennie tej samej odpowiedzi (zdaniem naszym. najlepszej), że „nie mam nic do powiedzenia”.

Kamerdyner wprowadził nas do saloniku, w którym zastaliśmy pannę Cram, będącą w doskonałym humorze.

— Niespodzianka, co? — powiedziała, witając się z nami. — Przez myśl by mi nie przeszło, ale pani Protheroe jest anielsko dobra. Bo rzeczywiście nie wypada, żeby młoda dziewczyna była sama „Pod Niebieskim Dzikim”, w zajeździe, bądź co bądź, i to w czasie, kiedy tyle tam reporterów. Oczywiście, nic siedzę tu beczynn timer, w takiej chwili sekretarka jest wprosi niezbędna, a panna Protheroe nie stara się wcale pomóc biednej pani Annie.

Dostrzegłem z rozbawieniem, że panna Cram jest wciąż równie wrogo nastawiona do Letycji, stała się natomiast gorącą zwolenniczką Anny. Zastanawiałem się jednocześnie, czy wyjaśniając, w jaki sposób tu się znalazła, nie mija się trochę z prawdą. Przedstawiała rzecz tak, jak gdyby inicjatywa wyszła od Anny, ale trudno mi było w to uwierzyć. Sądziłem raczej, że to panna Cram pierwsza wspomniała jakby mimochodem, że przykro jej być samej „Pod Niebieskim Dzikim”. W tej chwili do pokoju weszła Anna Protheroe. Ubrana była w bardzo skromną, czarną suknię. W rękę trzymała pismo niedzielne, które podała mi ze smutnym spojrzeniem.

— Nigdy jeszcze nie miałam do czynienia z czymś podobnym. Okropne, prawda? Jakiś reporter podszedł do mnie podczas rozprawy. Powiedziałam, że jestem zupełnie wytracona z równowagi i nie mam nic do powiedzenia, a on wtedy zapytał, czy zależy mi na tym, żeby znaleźć mordercę mojego męża, na co odpowiedziałam: „Owszem”. Spytał wtedy, czy kogoś podejrzewam, odpowiedziałam: „Nie”. I czy nie sądzę, że zbrodniarz musiał dobrze znać teren, na co powiedziałam, że na to wygląda. To było wszystko. A teraz proszę tylko przeczytać.

Pośrodku strony widniała fotografia, najwyraźniej robiona przed dziesięciu laty. Bóg jeden wie, skąd reporterzy ją zdobyli. Pod nią widniało wielkimi literami:

„WDOWA OŚWIADCZA, ŻE NIE SPOCZNIE, DOPÓKI NIE WYKRYJE MORDERCY SWEGO MĘŻA

Pani Protheroe, wdowa po zmarłym, jest przekonana, że mordercy należy szukać wśród miejscowej ludności. Podejrzewa kogoś, ale nie ma jeszcze pewności. Oznajmiła, że jest załamana strasliwym ciosem, który na nią spadł, nie spocznie jednak, dopóki morderca nie będzie ujęty.”

— To takie niepodobne do mnie, prawda? — rzekła Anna.

— Mogłoby być znacznie gorzej — odparłem, zwracając jej pismo.

— Co za beczelność! — zawołała panna Cram. — No, niechby tylko któryś z tych łobuzów spróbował coś wyciągnąć ze mnie!

Błysk w oku Gryzeldy dał mi poznać, że uważa ona te słowa raczej za pobożne życzenie niż za pogroźkę.

Kamerdyner zameldował, że podano do stołu i przeszliśmy do jadalni. Letycja zjawiała się dopiero w połowie posiłku. Leniwym krokiem podeszła do swego krzesła i zajęła je, rzucając uśmiech Gryzeldzie i witając mnie niedbałym skinieniem głowy. Z sobie tylko wiadomych powodów obserwowałem ją uważnie, ale wydawała się równie roztargniona i nieobecna jak zazwyczaj. Była bardzo ładna — sprawiedliwość nakazywała mi to przyznać. Wciąż jeszcze nie nosiła żałoby. Miała na sobie bladozieloną suknię podkreślającą jej jasne włosy i delikatną cerę.

Po kawie Anna powiedziała cicho, bez nacisku:

— Chciałabym porozmawiać chwilę z księdzem proboszczem. Może ksiądz przejdzie ze mną do saloniku na górze?

Miałem się więc wreszcie dowiedzieć, po co nas wezwała. Wsiałem i poszedłem za Anną po schodach. Zatrzymała się przed drzwiami pokoju. Chciałem coś powiedzieć, ale powstrzymała mnie ruchem ręki. Stała nasłuchując, wpatrzona w hol na dole.

— Dobrze, oni wychodzą do ogrodu. Nie, proszę tu nie wchodzić. Możemy udać się prosto na górę.

Ale, ku mojemu zdziwieniu, poprowadziła mnie korytarzem na koniec skrzydła. Tutaj wąskie schody, przypominające drabinę, wiodły na górn timer. Anna zaczęła się nimi wspinać, ja za nią. Znaleźliśmy się w wąskim korytarzyku, wykładanym deskami. Anna otworzyła jakieś drzwi i wprowadziła mnie na wielki, mroczny strych, używany widać jako rupieciarnia. Stały tu kufry,

stare połamane meble, kilka obrazów opartych o ścianę i niezliczone drobiazgi, które znajdują się zwykle w lamusie.

Zdumienie moje było tak widoczne, że Anna uśmiechnęła się lekko.

— Przede wszystkim muszę się wytłumaczyć. Sypiam teraz bardzo czujnie. Wczoraj, a właściwie dzisiaj około trzeciej nad ranem usłyszałam, że ktoś chodzi po domu. Nasłuchiwałam przez chwilę, a potem wstałam i wyszłam, żeby zobaczyć, kto to. Na schodach zorientowałam się, że dźwięki pochodzą nie z dołu, lecz z góry. Podeszłam do tych schodów. Znów zdawało mi się, że słyszę jakieś odgłosy. Zawołałam „Kto tam”. Odpowiedzi nie było i nie słyszałam nic więcej, doszłam więc do wniosku, że to nerwy płatają mi figle, i wróciłam do łóżka. Dziś rano jednak przyszedłam tutaj z prostej ciekawości. I oto, co zobaczyłam!

Nachyliła się i obróciła jeden z obrazów opartych o ścianę.

Wydałam okrzyk zdumienia. Był to portret olejny, ale ktoś tak pokieroszował twarz, że nie sposób było rozróżnić, kogo ten portret przedstawiał. Ponadto cięcia były zupełnie świeże.

— Przedziwna sprawa — powiedziałem.

— Prawda? Niech mi ksiądz powie, czym to można wytłumaczyć?

Potrząsnąłem głową, zdezorientowany.

— Wyczuwa się w tym jakieś zaciętrzewienie — rzekłem — i bardzo mi się to nie podoba. Jak gdyby ktoś zniszczył obraz w przystępie furii.

— Tak, ja to samo sobie pomyślałam.

— Czyj to portret?

— Nie mam pojęcia. Nigdy go dotychczas nie widziałam. Kiedy wyszłam za Lucjusza i przyjechałam tutaj, wszystkie te rzeczy były już na strychu. Nigdy ich nie oglądałam ani nie myślałam o nich.

— Dziwne — powtórzyłem.

Nachyliłem się i obejrzałem pozostałe obrazy. Były to tego rodzaju rzeczy, jakich można się było spodziewać na strychu — kilka bardzo przeciętnych pejzaży, kilka oleodruków i parę reprodukcji w tanich ramach.

— Zdarzenie jest rzeczywiście zastanawiające — powiedziałem. — Jest tak... tak bezsensowne.

— Właśnie — powiedziała Anna — to mnie trochę przeraża.

Nie było już nic więcej do oglądania. Poszedłem wraz z Anną do jej saloniku. Gdyśmy weszli, zamknęła za nami drzwi.

— Sądzi ksiądz, że powinnam coś w tej sprawie przedsięwziąć? Zawiadomić policję?

Zwlekałem z odpowiedzią.

— Na pierwszy rzut oka trudno powiedzieć, czy...

— Czy to ma coś wspólnego z zabójstwem — dokończyła Anna. — Wiem o tym. I dlatego właśnie decyzja jest trudna. Na pozór zdawałoby się, że nie ma żadnego związku.

— To prawda — przyznałem — ale to jeszcze jedno osobliwe zdarzenie.

Siedzieliśmy oboje w milczeniu, marszcząc brwi.

— Jakie są pani najbliższe plany, jeśli wolno zapytać? — odezwałem się po chwili.

Anna podniosła głowę.

— Zostaję tu jeszcze co najmniej pół roku! — odparła tonem wyzwania. — Nie chcę tego wcale. Myśl o mieszkaniu tutaj napawa mnie odrazą, ale sądzę, że inaczej nie wolno mi postąpić. W przeciwnym razie ludzie powiedzą, że uciekałam... że miałam nieczyste sumienie.

— Ależ skąd!

— O, tak, na pewno. Zwłaszcza, że... — Urwała, a potem powiedziała stanowczo: — Kiedy te pół roku minie, wyjdę za Lawrence'a. — Spojrzała mi prosto w oczy. — Nie mamy zamiaru dłużej czekać.

— Spodziewałem się tego.

Anna zasłoniła naraz twarz rękami, w postawie jej nie pozostało już nic ze stanowczości i wyzwania.

— Nie wie ksiądz proboszcz, jak bardzo jestem mu wdzięczna! Nie ma ksiądz proboszcz pojęcia... Pożegnaliśmy się już... Lawrence miał wyjechać. Dlatego nie mam właściwie wyrzutów sumienia... Gdybyśmy zamierzali wyjechać razem i potem stałoby się to z Lucjuszem, czułabym się teraz okropnie. Ale ksiądz proboszcz otworzył mi oczy, zrozumieliśmy, że nie mamy prawa... Dlatego jestem mu tak wdzięczna.

— Ja również dziękuję Bogu — odrzekłem z powagą.

— Mimo to, dopóki nie schwytają prawdziwego zabójcy, wszyscy będą myśleli, że to Lawrence... Tak, z pewnością! Zwłaszcza, kiedy ożeni się ze mną.

— Droga pani, orzeczenie doktora Haydocka wyjaśniło ponad wszelką wątpliwość, że...

— Ludzi nie obchodzą dowody i orzeczenia! Nic się na tym nie znają. To jeszcze jeden powód, dla którego tu muszę zostać. Chcę znaleźć mordercę. — Oczy jej przy tych słowach zabłyśły. Dodała jeszcze:

— Dlatego zaprosiłam tutaj tę dziewczynę.

— Pannę Cram?

— Tak.

— A więc pani ją zaprosiła! To był pani pomysł!

— Tak, wyłącznie mój. No, ona, co prawda, narzekała, że zostaje sama. Spotkałam ją na rozprawie, była już tam, kiedy ja przyjechałam. Ale zaprosiłam ją tutaj z, rozmysłem.

— Nie sądzi pani chyba, że ta niemądra młoda niewiasta ma coś wspólnego ze zbrodnią? — zawołałem.

— Bardzo łatwo jest udawać osobę niemądrą. Jest to jedna z najłatwiejszych rzeczy na świecie.

— A więc sądzi pani rzeczywiście...?

— Nie. Sądzę tylko, że ta dziewczyna coś wie... albo może wiedzieć. Chciałam przyjrzeć się jej z bliska.

— I w pierwszą noc po jej przybyciu ktoś niszczy portret — zauważyłem wolno.

— Myśli pan, że to ona zrobiła? Ale po co? Wydaje się to tak niedorzeczne i nieprawdopodobne.

— Mnie wydaje się rzeczą niedorzeczną i nieprawdopodobną, że pani męża zamordowano w moim gabinecie — rzekłem z goryczą. — Ale tak się stało.

Wyjąłem z kieszeni kolczyk i podałem go Annie.

— Zdaje się, że to pani?

— O! Tak, to mój — Anna wyciągnęła rękę z uśmiechem radości. — Gdzie go pan znalazł? Nie włożyłem jednak klejnotu do jej rozwartej dłoni.

— Pozwoli pani, że zatrzymam ten kolczyk jeszcze przez krótki czas? — spytałem.

— Ależ oczywiście.

Patrzyła na mnie ze zdziwieniem, ale nie zaspokoilem jej ciekawości.

Zamiast tego spytałem, jak się przedstawia jej sytuacja finansowa.

— Wiem, że to niedyskretne pytanie, ale pani rozumie, że nie pytam z próżnej ciekawości.

— Nie uważam wcale, że jest niedyskretne. Ksiądz proboszcz i Gryzelda jesteście najbliższymi przyjaciółmi, jakich tu mam. Lubię też tę zabawną pannę Marple. Otóż Lucjusz był człowiekiem bardzo zamożnym. Podzielił testamentem swój majątek na dwie równe części — jedną dla mnie, drugą dla Letycji. Stary Dwór otrzymuję ja, a Letycja ma sobie wybrać meble na urządzenie małego domu, dostaje też oddzielnie określoną sumę na zakup takiego domu, żeby się nie czuła pokrzywdzona.

— Czy wie pani, jakie są jej plany?

Anna zrobiła komiczną minkę.

— Ona mnie nie wtajemnicza w swoje plany, ale przypuszczam, że wyjedzie stąd możliwie jak najprędzej. Nie lubi mnie, nigdy mnie zresztą nie lubiła. Przypuszczam, że to moja wina, chociaż zawsze starałam się postępować z nią jak najogłędniej. Ale żadna chyba dziewczyna nie lubi młodej macochy.

— A czy pani ją lubi? — spytałem bez ogródek. Nie odpowiedziała od razu, co przekonało mnie, że Anna Protheroe jest osobą z gruntu uczciwą.

— Lubiałam ją z początku — rzekła. — Była z niej taka śliczna dziewczynka. Ale teraz chyba już jej nie lubię. Sama nie wiem dlaczego. Może dlatego, że ona nie lubi mnie. Lubię, żeby mnie lubiano.

— Wszyscy mamy tę słabość — odparłem i Anna uśmiechnęła się.

Miałem jeszcze jedno trudne zadanie do wykonania, a mianowicie zamienić kilka słów sam na sam z Letycją Protheroe. Udało mi się to zresztą, bo znalazłem ją w opustoszałym salonie.

Gryzelda i Gladys Cram były w ogrodzie.

Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

— Letycjo — powiedziałem — chcę z tobą o czymś pomówić.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie obojętnie.

— Słucham?

Obmyśliłem sobie z góry, co powiem. Wyjąłem z kieszeni kolczyk, pokazałem go jej i spytałem spokojnie:

— Dlaczego upuściłaś ten kolczyk w moim gabinecie? Zesztywniała na chwilę — na ułamek sekundy, ale odzyskała równowagę tak szybko, że nie mogłbym nawet przysiąc, iż zareagowała w jakikolwiek sposób na moje słowa. Potem rzekła niedbałym tonem:

— Nic nie upuściłam w gabinecie. To nie mój kolczyk, tylko Anny.

— Wiem o tym — powiedziałem.

— Czemu więc ksiądz proboszcz mnie o to pyta? Widocznie Anna go tam zgubiła.

— Pani Protheroe była w moim gabinecie tylko raz od czasu zabójstwa, a wtedy była ubrana na czarno i przypuszczalnie nie miała w uszach błękitnych kolczyków.

— W takim razie — rzekła Letycja — musiała go pewnie zgubić tam wcześniej. Logiczny wniosek.

— Bardzo logiczny — odparłem. — Nie pamiętasz pewnie, kiedy twoja macocha ostatni raz miała na sobie te kolczyki?

— Oo!

— Letycja patrzyła na mnie spojrzeniem pełnym ufności i zdziwienia zarazem. — Czy to bardzo ważne?

— Może być ważne.

— Zaraz się zastanowię. — Siedziała, marszcząc z wysiłku brwi. Nigdy jeszcze nie wyglądała bardziej uroczo niż w tej chwili. — Już wiem! — zawołała nagle. — Miała je na sobie w czwartek. Pamiętam dokładnie.

— W czwartek — powtórzyłem wolno — to znaczy w dniu morderstwa. Pani Anna była tego dnia w naszym ogrodzie, ale jeśli sobie przypominasz z jej zeznań, podeszła tylko do okna gabinetu i nie wchodziła do środka.

— Gdzie ksiądz proboszcz to znalazł?

— Pod biurkiem.

— W takim razie wygląda na to, że Anna nie powiedziała prawdy — stwierdziła spokojnie Letycja.

— Myślisz, że weszła do środka i stanęła przy biurku?

— Na to wygląda, no nie? — Oczy jej spoglądały na mnie pogodnie. — Jeżeli chodzi o ścisłość — dodała z zimną krwią — od początku podejrzewałam, że Anna nie mówi prawdy.

— A ja wiem na pewno, że ty nie mówisz prawdy, Letycjo.

Letycja drgnęła.

— Co to znaczy?

— To znaczy — powiedziałem — że ostatni raz widziałem ten kolczyk w piątek rano, kiedy byłem tutaj z pułkownikiem Melchettem. Kolczyk leżał wraz ze swoim bliźniakiem na toalecie twojej macochy. Miałem je obydwie w ręku.



— Ooo...!

Letycja patrzyła na mnie przez chwilę, potem przechyliła się nagle przez poręcz krzesła i wybuchnęła płaczem. Jej krótkie jasne włosy zwisały na dół, dotykając niemal podłogi. Była to dziwna poza — piękna i żywiołowa.

Milczałem kilka minut, żeby dać jej się wypłakać, a potem rzekłem bardzo ostrożnie i łagodnie:

— Letycjo, dlaczegoś to zrobiła?

Zerwała się na równe nogi, odrzucając w tył zwichrzone włosy. W jej oczach malowało się przerażenie.

— Co ksiądz proboszcz ma na myśli?

— Co cię do tego popchnęło? Zazdrość? Niechęć do Anny?

— Tak!

Letycja odetchnęła głęboko, przyglądała włosy i naraz całkowicie odzyskała równowagę.

— Tak, można to nazwać zazdrością. Nigdy nie lubiłam Anny — nie lubiłam jej od pierwszej chwili, kiedy zaczęła tu królować. Rzuciłam ten głupi kolczyk pod biurko. Miałam nadzieję, że będzie miała przez to kłopoty. I byłoby tak, gdyby ksiądz proboszcz nie był taki wścibski i nie grzebał w drobiazgach leżących na cudzej toalecie. A w każdym razie osoba duchowna nie powinna pomagać policji.

Był to wybuch dziecinnej złości, nie zwróciłem więc na niego uwagi. Przyznam nawet, że Letycja w tej chwili sprawiała na mnie wrażenie biednego dziecka.

Tej dziecinnej próby wywarcia zemsty na Annie nie wolno było brać poważnie. Powiedziałem to Letycji dodając, że zwrócę Annie kolczyk i nie wspomnę wcale, w jakich okolicznościach go znalazłem. Wzruszyło to dziewczynę.

— To bardzo ładnie ze strony księdza proboszcza — powiedziała.

Milczała chwilę, a potem patrząc na mnie i dobierając starannie słowa dodała:

— Proszę księdza proboszcza, zdaje mi się, że... że Dennis powinien stąd jak najprędzej wyjechać. Myślę... myślę, że tak byłoby najlepiej.

— Dennis?

Podniosłem brwi z lekkim zdumieniem, nie zdołałem jednak powstrzymać cienia uśmiechu.

— Myślę, że tak byłoby najlepiej — powtórzyła, wciąż zakłopotana. — Bardzo mi przykro... Nie przypuszczałam, że Dennis... Mniejsza o to, ale naprawdę mi przykro.

Na tym zakończyliśmy rozmowę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Wracając do domu, poprosiłem Gryzeldę, żebyśmy nałożyli drogi i przeszli koło kopca. Chciałem zobaczyć, czy policja tam pracuje, a jeśli tak, czy coś już znaleziono. Gryzelda wszakże miała coś do zrobienia w domu, musiałem więc odbyć tę wycieczkę sam.

Przy kopcu zastałem posterunkowego Hursta, który kierował operacją.

— Jak dotychczas ani śladu, proszę księdza proboszcza — rzekł. — A jednak na zdrowy rozum to jest jedyne miejsce na kryjówkę. Bo dokąd by ta pannica miała iść tą ścieżką? Ścieżka prowadzi do Starego Dworu i tutaj, nigdzie indziej.

— A inspektor Slack nie chce oczywiście zapytać tej młodej damy, bo to byłoby zbyt proste.

— Nie chce jej nastraszyć — odparł Hurst. — Ona może coś napisać do Stone'a albo on do niej i w ten sposób możemy się czegoś dowiedzieć, ale jak będzie wiedziała, że ją mamy na oku, to pary z gęby nie puści.

Osobiście wątpiłem, czy panna Cram zdolna jest do takiego poświęcenia. Ilekroć ją widziałem, z ust jej lał się nieprzerwany potok wymowy i nie potrafiłem jej sobie wyobrazić inaczej.

— Jeżeli ktoś udaje kogoś innego, trzeba ustalić, w jakim celu to robi — rzekł dydaktycznie Hurst.

— Oczywiście.

— A odpowiedzi należy szukać w tym oto kopcu — bo inaczej, po co by się w nim grzebał?

— Raison ?tre do myszkowania po okolicy — powiedziałem.

Hurst nie znał francuskiego, zemścił się więc na mnie, mówiąc oziębło:

— Jest to punkt widzenia amatora.

— Ale nie znaleźliście przecież walizki — zaproponowałem.

— Znajdziemy ją, proszę księdza proboszcza, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

— Nie jestem tego pewien — odparłem. — Zastanawiałem się nad tą sprawą. Panna Marple twierdzi, że dziewczyna po bardzo krótkiej chwili wróciła z pustymi rękami. W takim razie nie miała dość czasu na to, żeby dojść aż tutaj.

— Kto by tam zwracał uwagę na gadanie starej panny. Jak taka zobaczy coś ciekawego, zaczyna sobie zaraz kombinować setki rzeczy i czas jej zlatuje jak z bicza trząśł. A poza tym kobiety w ogóle nie mają poczucia czasu.

Zastanawiam się często, czemu to cały świat tak jest skłonny do uogólnień. Uogólnienia bardzo rzadko są prawdziwe, a najczęściej bywają absolutnie nieścisłe. Ja sam odznaczam się kiepskim poczuciem czasu (dlatego właśnie nastawiam zegarek o kwadrans naprzód), a panna Marple ma to poczucie rozwinięte w wysokim stopniu. Zegary jej chodzą punktualnie co do minuty, ona sama zaś nigdy i nigdzie się nie spóźnia.

Nie miałem jednak ochoty spierać się na ten temat z Hurstem. Pożegnałem się z nim, życzyłem mu powodzenia i odszedłem.

Zbliżałem się już do domu, kiedy olśniła mnie pewna myśl. Nic mnie na nią nie naprowadziło, po prostu zabłysła mi nagle jako możliwe rozwiązanie.

Czytelnicy pamiętają zapewne, że badając po raz pierwszy tę ścieżkę, nazajutrz po morderstwie, dostrzegłem, że krzaki w pewnym miejscu są połamane i stratowane. Myślałem wówczas, że połamał je Lawrence, który przyszedł tam w tym samym celu, co ja.

Przypomniałem sobie jednak, że potem razem z nim natrafiłem na inny ślad, jak się okazało, ślad przejścia inspektora. Po zastanowieniu się przypomniałem sobie dokładnie, że pierwszy ślad (Lawrence'a) był znacznie wyraźniejszy niż drugi, jak gdyby przechodząco tamtędy niejeden raz. Przyszło mi do głowy, że najwidoczniej ta okoliczność ściągnęła na ten ślad uwagę Lawrence'a. Może więc przejście to wydeptała pierwotnie panna Cram albo doktor Stone?

Przypomniałem sobie ponadto, że widziałem tam, na połamanych gałązkach, kilka zwiędłych liści. Jeśli tak, to przejście musiano wydeptać dawniej, nie zaś w dniu naszych poszukiwań.

Zbliżałem się właśnie do opisywanego miejsca. Po znałem je bez trudu i raz. jeszcze precyzyjnie się przez krzaki. Tym razem zauważyłem świeżo połamane gałązki.

Ktoś więc przechodził tędy już po mnie i po Lawrence.

Doszedłem wkrótce do miejsca, gdzie spotkałem Lawrence'a. Ślad jednak ciągnął się dalej i poszedłem nim. Znalazłem się nagle na maleńkiej polance, na której widać było, że ktoś tu niedawno poruszał ziemię. Polanka była miniaturowa i nie miała więcej niż kilka stóp średnicy.

Po drugiej stronie zarośla znów były bardzo gęste i nie ulegało wątpliwości, że nikt tamtędy nie przechodził. W jednym miejscu wszakże można było poznać, że ktoś poruszał krzaki.

Podszedłem tam i ukląknę, rozsuwając krzaki na bok. Nagrodą był mi błysk brązowej, lśniącej powierzchni. Niezmiernie podniecony wsadziłem rękę w zarośla i z wysiłkiem wyciągnąłem małą, brązową walizeczkę.

Z piersi wyrwał mi się okrzyk tryumfu. Udało mi się! Mimo oziębłych uwag Hursta dowiodłem, że rozumowanie moje było słuszne. Bez wątpienia miałem przed sobą walizeczkę, którą przyniosła tutaj panna Cram. Spróbowałem ją otworzyć, lecz była zamknięta na klucz.

Wstając zauważyłem mały, brązowawy kryształek, leżący na ziemi. Podniosłem go machinalnie i wsunąłem do kieszeni.

Potem chwyciłem znaleziony skarb za rączkę i pomaszerowałem ścieżką.

Byłem już przy drodze, gdy jakiś głos zawołał z przejęciem.

— O, ksiądz proboszcz ją znalazł! Brawo! Mówiąc sobie w duszy, że jeśli chodzi o sztukę widzenia, nie będąc sama widzialną, panna Marple jest niedościgniona, postawiłem walizeczkę na dzielącym nas parkanie.

— To ta — stwierdziła panna Marple. — Poznałabym ją wszędzie!

Była to moim zdaniem lekka przesada. Istnieją tysiące identycznych brązowych walizeczek. Trudno by poznać akurat tę jedną, zwłaszcza gdy się ją widziało o północy i ze znacznej odległości, rozumiałem jednak, że cała sprawa walizki jest osobistym tryumfem panny Marple i ma ona prawo do drobnej, a wybaczalnej przesady.

— Jest pewnie zamknięta?'

— Tak. Chcę ją właśnie zanieść na posterunek policji.

— Może lepiej zatelefonować?

Oczywiście, lepiej było zatelefonować. Spacer przez miasteczko z walizką w rękę musiałby bez wątpienia wywołać zbyteczne komentarze.

Otworzyłem więc furtkę ogrodu panny Marple. wszedłem do jej domu przez, taras i z zacisza jej salonu podałem inspektorowi przez telefon nowiny.

Inspektor Slack oznajmił, że stawi się za minutę.

Przyszedł w jak najgorszym nastroju.

— A więc jest walizka, co? — powiedział. — Doprawdy, ksiądz proboszcz nie powinien mieć przede mną tylu tajemnic. Jeżeli się ksiądz domyślał, gdzie jest ukryty poszukiwany przedmiot, powinien był powiadomić o tym właściwe władze.

— Był to zupełny przypadek — odparłem. — Po prostu olśniła mnie nagle myśl.

— Bajki! Blisko trzy czwarte mili bezdrożem leśnym, a ksiądz proboszcz idzie sobie prościuteńko na miejsce i wyciąga walizkę!

Byłbym wyjaśnił inspektorowi, jakie rozumowanie doprowadziło mnie do tego właśnie miejsca, ale udało mu się jak zwykle zirytować mnie, wobec tego nic nie powiedziałem.

— Cóż — rzekł inspektor Slack, spoglądając na walizkę z udaną obojętnością — zobaczymy, co tam jest w środku.

Przyniósł z sobą cały asortyment kluczy i wytrychów. Zamek był prosty i po sekundzie walizka była otwarta.

Nie wiem, co spodziewaliśmy się ujrzeć — w każdym razie coś niezwykłego. Pierwszą jednak rzeczą, która ukazała się naszym oczom, był brudny wełniany szalik. Inspektor wyjął go. Następną warstwę stanowił słowiały, granatowy płaszcz, mocno zniszczony. Pod nim leżała czapka w czarno-białą szachownicę.

— Nędzne łachy — orzekł inspektor.

W walizce pozostała jeszcze para sfatygowanych, zdeptanych butów oraz, paczka zawinięta w gazetę.

— Pewnie frakowa koszula — zauważył z goryczą inspektor, rozdzierając papier.

Zaraz jednak wydał okrzyk zdumienia. W paczce bowiem były jakieś niepozorne srebrne przedmioty i okrągła taca z tego samego metalu.

Oczy panny Marple zabłyśły.

— Solniczki! — zawołała. Solniczki pułkownika Protheroe i taca Karola II! Coś podobnego!

Inspektor zaczerwienił się jak burak.

— A więc o to chodziło — mruknął. — Kradzież. Ale nic nie rozumiem. Przecież nikt nie wspominał, że te rzeczy zginęły.

— Może jeszcze nie spostrzeżono ich braku — powiedziałem. — Takich cennych sreber nie używano zapewne na co dzień. Pułkownik Protheroe trzymał je przypuszczalnie w kasie ogniotrwalej.

— Muszę to zbadać — oświadczył inspektor. — Idę prosto do Starego Dwora. A więc to dlatego nasz szanowny doktor Stone dał nogę. Bał się, że w związku z morderstwem i z tym całym zamieszaniem natrafimy na ślad jego działalności. Lękał się rewizji, kazał więc dziewczynie

schować to wszystko w lesie wraz z odpowiednią zmianą ubrania. Miał zamiar wrócić okólną drogą i zabrać walizkę, panna zaś została tutaj, żeby odwrócić podejrzenia. Jedno w tym wszystkim jest dobre — możemy być pewni, że to nie on popełnił zabójstwo. Takie sprawy, wyłączają się wzajemnie.

Spakował znów walizkę i oddalił się, nie przyjmując zaproszenia panny Marple na kieliszek kseresu.

— No, przynajmniej jedna tajemnica została wyjaśniona — powiedziałem z westchnieniem. — Slack ma rację, nie ma powodu, aby podejrzewać Stone'a o morderstwo, wszystko jest wytłumaczone.

— Tak by się zdawało — rzekła panna Marple — chociaż nigdy nie można mieć zupełnej pewności...

— Przecież brak jakichkolwiek pobudek do zabójstwa — zaproponowałem. — Ten człowiek zdobył to, po co przybył, i miał się już wynieść.

— Hm... t-tak...

Wahanie w głosie panny Marple było tak wyraźne, że spojrzałem na nią z zaciekawieniem, wobec czego dodała skwapliwie:

— Ja się na pewno myślę, tak się zresztą mało na tych sprawach znam... Ale przyszło mi do głowy, że... bo te srebra są bardzo kosztowne, prawda?

— Podobną tacę sprzedano, zdaje się, niedawno za przeszło tysiąc funtów.

— Tu nie chodzi o wartość metalu?

— Nie, takie rzeczy mają, jak to się mówi, wartość dla znawców.

— To właśnie miałam na myśli. Załatwienie sprzedaży takich sreber musi chyba zabrać trochę czasu, a nawet gdyby to było załatwione, podobna transakcja musi być dokonana w tajemnicy. No i gdyby na przykład, wykryto kradzież i narobiono hałasu, to sreber w ogóle nie można by spieniężyć.

— Nie bardzo rozumiem, do czego pani zmierza — powiedziałem.

— Wiem, że nie potrafię dobrze sformułować swojej myśli. — Hanna Marple gorączkowała się coraz bardziej. — Ale wydaje mi się, że tych rzeczy nie można było tak po prostu zabrać. Jedyńm dobrym sposobem byłoby podłożenie na ich miejsce kopii. Wówczas być może kradzież pozostałaby przez jakiś czas nie wykryta.

— Bardzo sprytny pomysł — zauważyłem.

— To jedyny sposób, nieprawdaż? A w takim wypadku, jak ksiądz proboszcz słusznie mówi, nie byłoby powodu do tego, żeby zabić pułkownika Protheroe — raczej wręcz przeciwnie.

— Zgadza się — przyznałem. — Tak też powiedziałem.

— Owszem, ale mnie zastanawia... oczywiście nie wiem nic na pewno... a poza tym pułkownik Protheroe zawsze mnóstwo opowiadał o tym, co zamierza zrobić, i naturalnie czasem wcale tego nie robił, ale on mówił właśnie...

— Co mówił?

— Że ma zamiar oszacować swoje kosztowności i w tym celu sprowadzi fachowca z Londynu. Do ubezpieczenia... Ktoś mu powiedział, że należy to zrobić. Pułkownik wciąż o tym rozprawiał i podkreślał, jaka to ważna sprawa. Nie wiem oczywiście, czy w końcu kogoś już zamówił, ale jeżeli tak...

— Rozumiem... — powiedziałem wolno.

— Ekspert naturalnie poznałby od razu, że srebra są sfalszowane, a wówczas pułkownik Protheroe przypomniałby sobie, że pokazywał je doktorowi Stone'owi — ciekawa jestem, czy Stone zrobił to właśnie wtedy? Jak prestidigitator, tak to zdaje się nazywa, prawda? No i wtedy wszystko wyszłoby na jaw.

— Rozumiem pani myśl — odparłem. — Sądzę, że powinniśmy się w tej sprawie upewnić.

Podszedłem znów do telefonu. Po chwili rozmawiałem już z Anną Protheroe.

— Nie, to nic specjalnie ważnego. Czy inspektor już jest? Bo poszedł do Starego Dworu. Pani Anno, może pani zechce mi powiedzieć, czy cenne przedmioty znajdujące się w Starym Dworze kiedykolwiek szacowano? Słucham? Ach tak?

Odpowiedź Anny była szybka i jasna. Podziękowałem jej, odłożyłem słuchawkę i zwróciłem się do panny Marple.

— Rzecz jest pewna. Pułkownik Protheroe ułożył się z ekspertem z Londynu, który miał przyjechać w poniedziałek — to znaczy jutro — i dokonać całkowitego szacunku. Z powodu śmierci pułkownika sprawę odłożono.

— A więc była pobudka — powiedziała cicho panna Marple.

— Pobudka, owszem, ale nic ponadto. Zapomina pani, że kiedy padł strzał, doktor Stone przyłączył się właśnie do reszty towarzystwa.

— Tak — przyznała po namyśle panna Marple — to go automatycznie uwalnia od podejrzeń.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Po powrocie na probostwo zastałem w swoim gabinecie Hawesa, który na mnie czekał. Przechadzał się nerwowo tam i z powrotem po pokoju, a gdy wszedłem, podskoczył gwałtownie, jakby trafiony kulą.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział, ocierając pot z czoła — nerwy mam ostatnio w strzępach.

— Drogi księżę — powiedziałem — musi ksiądz stanowczo wyjechać na odpoczynek, bo się ksiądz poważnie rozchoruje.

— Nie mogę opuścić posterunku. Nie, tego nie wolno mi zrobić.

— Nie ma mowy o dezercji. Ksiądz jest przecież chory. Jestem pewien, że doktor Haydock zgodzi się ze mną.

— Haydock, Haydock... Co to za lekarz! Ignorant, omnibus wiejski!

— To niesprawiedliwa ocena. Doktor Haydock uważany jest za doskonałego lekarza.

— No, może... Tak, chyba tak... Ale ja go nie lubię. Ale nie o tym chciałem mówić.

Przyszedłem prosić księdza proboszcza, żeby zechciał wygłosić dzisiaj za mnie kazanie... Ja... ja doprawdy nie czuję się na siłach.

— Ależ oczywiście. Odprawię za księdza nabożeństwo.

— Nie, nie... Nabożeństwo odprawię sam. Jestem zupełnie zdrow. Przeraża mnie tylko myśl, że będę musiał wyjść na kazalnicę i wszyscy będą na mnie patrzeć...

Zamknął oczy i przełknął konwulsyjnie ślinę.

Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że z Hawesem dzieje się coś niedobrego. Wyczuł widać moje myśli, bo otworzył oczy i powiedział szybko:

— Nic mi właściwie nie jest. To tylko te bóle głowy... te potworne bóle głowy. Jeśli wolno, prosiłbym o szklankę wody.

— W tej chwili — odrzekłem.

Poszedłem i sam nalałem mu wody z kranu. Używanie dzwonek jest w naszym domu rzeczą bezcelową.

Hawes podziękował mi wylewnie. Wyciągnął z kieszeni tekturowe pudełeczko, otworzył je, wyjął jakąś kapsułkę i przełknął ją, popijając wodą.

— Proszek od bólu głowy — wyjaśnił.

Przemknęło mi nagle przez myśl, czy Hawes przypadkiem nie jest narkomanem. Tłumaczyłoby to wiele jego dziwactw.

— Mam nadzieję, że nie bierze ich ksiądz za dużo — powiedziałem.

— O nie, nie. Doktor Haydock przestrzegął mnie przed tym. Ale to cudowne proszki, przynoszą natychmiastową ulgę.

Istotnie wydawał się już spokojniejszy i bardziej opanowany. Wstał.

— Wiec ksiądz proboszcz wygłosi dzisiaj kazanie? Jestem niewymownie wdzięczny.

— Drobnostka. Obstawiam jednak przy tym, że sam też odprawię nabożeństwo. Niech ksiądz pójdzie do domu i położy się. Nie, żadnych sprzeciwów. Ani słowa.

Hawes podziękował mi znowu. Potem powiedział, przenosząc wzrok w kierunku okna:

— Ksiądz proboszcz był dzisiaj w Starym Dworze, tak?...

— Tak.

— Najmocniej przepraszam, ale... czy księdza proboszcza tam wzywano?

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Wikary zarumienił się.

— Proszę mi nie mieć za złe... Myślałem tylko, że może są jakieś nowiny i dlatego pani

Protheroe wezwała księdza proboszcza.

Nie miałem wcale zamiaru zaspokajać ciekawości Hawesa.

— Chciała omówić ze mną sprawy związane z pogrzebem — powiedziałem.

— Ach, tylko tyle... Rozumiem...

Nie odezwałem się. Hawes przestępował jakiś czas z nogi na nogę, aż wreszcie rzekł:

— Wczoraj wieczorem odwiedził mnie pan Redding. N-nie... nie mam pojęcia, w jakim celu.

— Czy nie powiedział tego?

— Powiedział tylko, że zachciało mu się do mnie wstąpić. Że wieczorami czuje się osamotniony. Ale nigdy dotychczas do mnie nie przychodził.

— Uważany jest powszechnie za miłego kompana — powiedziałem z uśmiechem.

— Dlaczego nagle do mnie przyszedł? Nie podoba mi się to. — Głos Hawesa stał się ostry, piskliwy.

— Mówił, że wstąpi znowu. Co to wszystko znaczy? Co on knuje?

— Czemu miałby go ksiądz podejrzewać o jakieś ukryte motywy? — spytałem.

— Nie podoba mi się to — powtórzył z uporem Hawes.

— Nigdy nie zrobiłem mu nic złego. Nie mówiłem nigdy, że jest winien... nawet wtedy, kiedy sam się oskarżył, mówiłem, że wydaje mi się to niepojęte. Jeżeli kogokolwiek podejrzewałem, to tylko Archera, pana Reddinga nigdy. Archer to zupełnie inna historia — ordynus i bezbożnik. Zapijaczony łajdak.

— Czy ksiądz nie sądzi go nieco zbyt pochopnie? — powiedziałem. — Ostatecznie bardzo niewiele o nim wiemy.

— Kłusownik, recydywista, zdolny do wszystkiego.

— Ksiądz naprawdę sądzi, że to on zabił pułkownika Protheroe? — spytałem z zainteresowaniem.

Hawes bardzo nie lubi odpowiadać „tak” lub „nie”. Zauważyłem to już nieraz.

— A czy ksiądz proboszcz sam nie sądzi, że to jedyne możliwe rozwiązanie zagadki?

— O ile mi wiadomo — odparłem — nie ma przeciwko niemu żadnych dowodów.

— Owszem, pogróżki! — zawołał szybko Hawes. — Nie wolno zapominać o pogróżkach.

Nie mogłem już słuchać o pogróżkach Archera. O ile się zresztą orientowałem, nie było żadnych bezpośrednich dowodów na to, że je kiedykolwiek rzucał.

— Archer poprzysiągł zemstę pułkownikowi Protheroe. Dodał sobie odwagi alkoholem i zastrzelił pułkownika.

— To tylko gołosłowna hipoteza.

— Przyzna jednak ksiądz proboszcz, że bardzo prawdopodobna.

— Nie.

— Ale w każdym razie możliwa.

— (Owszem, możliwa.

Hawes zerknął na mnie spod oka.

— Czemu nie uważa jej ksiądz proboszcz za prawdopodobną?

— Bo takiemu człowiekowi jak Archer nie przyszłoby do głowy użyć pistoletu — odparłem. — To niewłaściwa dla niego broń.

Argument ten zaskoczył wikarego. Spodziewał się widocznie innych obiekcji.

— Sądzi ksiądz proboszcz, że to istotne? — spytał z powątpiewaniem.

— Moim zdaniem dowodzi to niezbicie, że Archer nie mógł popełnić tej zbrodni — rzekłem.

Wobec tak stanowczego oświadczenia Hawes nie powiedział już nic więcej. Podziękował mi raz jeszcze i odszedł.

Odprowadziłem go do drzwi frontowych i na stole w holu zauważyłem cztery listy. Miały one pewne wspólne cechy charakterystyczne. Pismo było ponad wszelką wątpliwość kobiece, na wszystkich widniała adnotacja „Pilne”, jedyna zaś różnica polegała na tym, że jeden list był znacznie brudniejszy od innych.

Podobieństwo to obudziło we mnie dziwne uczucie, że widzę nawet nie podwójnie, lecz poczwórnie.

Mary wyszła z kuchni i zastała mnie w chwili, gdy patrzyłem na listy.

— Przyniosły je różne osoby już po obiedzie — powiedziała. — Wszystkie oprócz jednego. Ten czwarty znalazłam w skrzynce.

Skinąłem głową, zgarnąłem listy i zaniósłem je do gabinetu.

Pierwszy brzmiał następująco:

Szanowny Księżu Proboszczu!

Dowiedziałam się pewnej rzeczy, o której obowiązkiem moim jest Księdza Proboszcza zawiadomić. Dotyczy ona śmierci pułkownika Protheroe. Byłabym bardzo wdzięczna za radę, czy mam zwrócić się z tym do policji. Od czasu śmierci mojego męża staram się unikać wszelkiego rozgłosu. Może ksiądz proboszcz mógłby wstąpić do mnie dziś po południu na kilka minut?

Szczerze oddana

Marta Ridley

Otworzyłem drugi list:

Szanowny Księżu Proboszczu!

Jestem w okropnej rozterce, zupełnie nie wiem, co mam robić.

Dowiedziałam się czegoś, co, jak sądzę, może mieć duże znaczenie, a jednocześnie lękam się śmiertelnie wszelkich zetknięć z policją. Jestem zupełnie wytracona z równowagi. Czy nie będę zbyt śmiała, jeśli poproszę Kochanego Księdza Proboszcza, aby zechciał wpaść do mnie na kilka minut i w swój zwykły cudowny sposób rozwiązać moje wątpliwości?

Przepraszam najmocniej, że Księdza Proboszcza niepokoję. Zawsze szczerze oddana

Karolina Wetherby

Treść trzeciego mógłbym, jak mi się zdawało, wyrecytować nie czytając:

Szanowny Księżu Proboszczu!

Dowiedziałam się czegoś bardzo ważnego i uważam, że Ksiądz Proboszcz pierwszy powinien się o tym dowiedzieć. Proszę uprzejmie odwiedzić mnie dzisiaj po południu. Będę na Księdza Proboszcza czekała.

Wojowniczy ten list podpisany był: Amanda Hartnell. Rozdarłem czwartą kopertę. Jak dotychczas miałem w życiu to szczęście, że dostawałem bardzo niewiele listów anonimowych. Anonim jest moim zdaniem najbardziej niegodziwą i najokrutniejszą bronią, jaka istnieje. Ten, który trzymałem w ręku, nie stanowił wyjątku. Pisany był z błędami, lecz pewne szczegóły skłaniały mnie do przypuszczenia, że autor listu rozmyślnie starał się uchodzić za osobę prostą i niewykształconą.

Kochany Księżu Proboszczu!

Myślę, że powinien Ksiądz wiedzieć, co się dzieje. Widziano Księdza Małzonkie, jak wychodziła z domu p. Reddinga, ukradkiem. Sam Ksiądz rozumie, co to znaczy — oni ze sobom romansujom. Wienc uwarzam, że Ksiądz powinien się dowiedzieć.

Rzyczliwy

Z lekkim okrzykiem niesmaku zmiąłem papier i rzuciłem go na kratę kominka akurat w chwili, kiedy do pokoju weszła Gryzelda.

— Co tak rzucasz z taką pogardą? — spytała.

— Obrzydlistwo — rzekłem.

Wyjąłem z kieszeni zapalki, zapaliłem jedną i nachyliłem się, ale Gryzelda mnie ubiegła. Chwyciła zgniecioną kulkę papieru i rozprostowała arkusik, zanim zdążyłem ją powstrzymać.

Przeczytała list, wydała okrzyk niesmaku i rzuciła mi kartkę, odwracając się jednocześnie do mnie plecami. Zapaliłem papier i patrzyłem jak płonie.

Gryzelda odeszła od okna i patrzyła na ogród.

— Len — powiedziała, nie odwracając się.

— Co, kochanie?

— Chcę ci coś powiedzieć. Tak. nie przerywaj mi. Chcę ci coś powiedzieć. Kiedy... kiedy Lawrence Reddirig tu przyjechał, pozwoliłam, abys sądził, że znałam go przedtem przelotnie. To nie była prawda. Znałam go... dość dobrze. Prawdę mówiąc, zanim cię poznałam, byłam w nim nawet zakochana. Chyba większość ludzi, którzy stykają się z Lawrence'em, przez to przechodzi. Ja... no... przez pewien czas po prostu zgłupiałam na jego punkcie. To nie znaczy, że pisałam do niego kompromitujące listy, ani nic z tych kretyńskich rzeczy, które kobiety robią w powieściach. Ale byłam nim mocno zajęta.

— Dlaczegoś mi nie powiedziała? — spytałem.

— Ojej, dlaczego! Bo tak... Sama zresztą nie wiem, poza tym, że... no, że pod pewnymi względami jesteś niemądry. Tylko dlatego, że jesteś starszy ode mnie, myślisz, że ja... że mnie mogą się podobać inni mężczyźni. Więc się bałam, że będziesz sobie wyobrażał różne głupstwa.

— Ale ty się doskonale maskujesz — zauważyłem, bo przypomniałem sobie, co mi mówiła w tym samym pokoju niecały tydzień temu, i jej swobodny, naturalny ton.

— Tak, potrafię nie dać nic po sobie poznać. W pewnym stopniu lubię to nawet.

W głosie jej brzmiało dziecinne zadowolenie.

— Ale wszystko, co ci mówiłam, jest prawdą. Nie wiedziałam nic o Annie i dziwiłam się, czemu Lawrence tak się zmienił i... no, po prostu nie zwraca na mnie uwagi. Nie jestem do tego przyzwyczajona.

Zapadło milczenie.

— Rozumiesz, Len? — spytała z niepokojem Gryzelda.

— Tak — powiedziałem — rozumiem.

Ale czy rzeczywiście rozumiałem?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Trudno mi było otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarł na mnie anonimowy list. Zetknięcie się z brudem zostawia plamy.

Opanowałem się jednak, zgarnąłem pozostałe trzy listy, spojrzałem na zegarek i ruszyłem w drogę.

Ciekaw byłem, co to „doszło do wiadomości” trzech pań jednocześnie. Przypuszczałem, że chodzi o tę samą nowinę. Miałem się wkrótce przekonać, że moja znajomość psychologii szwankuje.



Nie będę udawał, że idąc na te wizyty, musiałem przejść obok posterunku policji. Nogi moje same mnie tam zaniósł, gdyż bardzo chciałem się dowiedzieć, czy inspektor Slack wrócił już ze Starego Dworu.

Przekonałem się, że wrócił, co więcej, że razem z nim przyszła panna Cram. Powabna Gladys siedziała na posterunku, a potok słów lal się z jej ust z większą jeszcze szybkością niż zazwyczaj. Zaprzeczała stanowczo, jakoby miała ukryć walizkę w lesie.

— Jakaś rozplotkowana jędra nie ma nic lepszego do roboty, niż przez całą noc wyglądać oknem, a panu to wystarcza, żeby rzucać na mnie oszczerstwa. Ta stara panna raz się już pomyliła, proszę pamiętać, kiedy mówiła, że widziała mnie tam na końcu drogi za ogrodami w dniu morderstwa, więc jeżeli się pomyliła w biały dzień, to jak mogła poznać mnie w nocy przy księżycu? To okropne, na co sobie te staruchy tutaj pozwalają! Czego tylko nie wymyślą! A ja tymczasem spałam we własnym łóżku jak niewinne dzieciątko. Powinni się wszyscy wstydzić!

— A jeżeli właścicielka „Niebieskiego Dzika” stwierdzi, że to pani walizka?

— Jeżeli tak powie, to skłamię. Na walizce nie ma żadnego nazwiska. Prawie każdy ma taką walizkę. A w dodatku oskarżacie biednego doktora Stone’a o to, że jest pospolitym złodziejem! Coś podobnego! Człowieka, który ma tyle tytułów naukowych!

— A więc odmawia pani wyjaśnień, panno Cram?

— Niczego nie odmawiam. Pomylił się pan i tyle. Pan razem z tymi wścibskimi czarownicami. Ani słowa więcej nie powiem, dopóki nie będzie przy tym obecny mój adwokat. W tej chwili stąd wychodzę — chyba, że mnie pan aresztuje.

Zamiast odpowiedzi inspektor wstał i otworzył przed nią drzwi. Panna Cram podniosła więc dumnie głowę i wyszła.

— Taką sobie wybrała linię postępowania — powiedział Slack, wracając na swoje miejsce. — Zaprzecza wszystkiemu i basta. Oczywiście, stara dama mogła się pomylić. Żaden sąd przysięgłych nie uwierzy, że można poznać kogoś ze znacznej odległości w księżycową noc. No, i jak powiadam, stara dama mogła się oczywiście pomylić.

— Mogła się pomylić, ale wątpię, czy się pomyliła — rzekłem. — Panna Marple ma zazwyczaj rację. Dlatego tak jest nie lubiana.

Inspektor uśmiechnął się.

— Hurst mówi to samo. Boże, te małe miasteczka!

— A co ze srebrem, panie inspektorze?

— Na pozór niczego nie brakuje. Oznacza to naturalnie, że albo jeden, albo drugi komplet musi być sfalszowany. W Much Benham jest pewien gość, wielki znawca starego srebra. Telefonowałem już do niego i posiałem po niego samochód. Wkrótce będziemy wiedzieli, jak rzecz, wygląda. Albo kradzież była już taktem dokonany, albo ją dopiero planowano. Jeśli chodzi o nas, to zresztą niewielka różnica. Kradzież to drobne przestępstwo w porównaniu z zabójstwem. Tych dwoje na pewno nie ma z zabójstwem nic wspólnego. Może jakoś dotrzemy do tego ptaszka przez dziewczynę — dlatego zwolniłem ją bez dalszego gadania.

— Tak, zdziwiło mnie to — przyznałem się.

— Szkoda, że z tym Reddingiem tak się skończyło. Rzadko się trafia na tak uprzejmego człowieka, który dobrowolnie oddaje się w ręce policji.

— Ja myślę — zauważyłem z lekkim uśmiechem.

— Kobiety sprawiają zawsze moc zamieszania — moralizował dalej inspektor.

Westchnął, a potem ku mojemu zdziwieniu powiedział:

— Oczywiście mamy jeszcze Archera.

— O, więc pan o nim pomyślał?

— Ależ naturalnie, od samego początku mam go na oku. Nie potrzeba było nawet anonimów, żeby wpaść na jego trop.

— Anonimów? — spytałem żywo. — Czy pan też dostał jakiś anonim?

— To dla nas nie nowina, proszę księdza proboszcza. Dostajemy co najmniej tuzin anonimowych listów dziennie. A tak, poinformowano nas o Archerze. Jak gdyby policjanci byli ślepi i głusi! Archer jest podejrzany od pierwszej chwili. Cały kłopot w tym, że ma alibi. Niewiele warte, ale trudno je obalić.

— Co to znaczy: „niewiele warte”?

— Podobno spędził całe popołudnie z dwoma kolegami. Jak powiadam, alibi funta kłaków nie warte. Takie typy, jak Archer i jego kumple, zeznają pod przysięgą wszystko, co im się żywnie podoba. Nie wolno wierzyć ani słowu z tego, co mówi. My wiemy o tym doskonale, ale publiczność tego nie wie, a sędziowie przysięgli rekrutują się, niestety, spośród publiczności. Nie mają o niczym pojęcia i dziewięciu na dziesięciu wierzy wszystkiemu, co się mówi na ławie świadków, bez względu na to, kto mówi. No i Archer też oczywiście będzie przysięgał do upadłego, że to nie on zabił.

— Nie jest taki uprzejmy jak pan Redding — powiedziałem z uśmiechem.

— Niestety, nie — stwierdził inspektor bez cienia humoru.

— Oczywiście, każdy broni swego życia, to rzecz naturalna — zauważyłem refleksyjnie.

— Zdziwiłby się ksiądz proboszcz, gdyby wiedział, ilu morderców uniknęło stryczka przez miękkie serca przysięgłych — rzekł ponuro inspektor.

— Ale czy pan naprawdę sądzi, że to Archer zabił pułkownika? — spytałem.

Przez cały ten czas bowiem uderzał mnie fakt, że inspektor Slack nie ma właściwie żadnego poglądu na sprawę zabójstwa. Interesuje go jedynie łatwość albo trudność uzyskania wyroku skazującego.

— Wolałbym mieć trochę więcej pewności — przyznał. Jakiś odcisk palca, ślad stopy, albo żeby ktoś widział Archera we właściwym czasie w pobliżu plebanii. Nie mogę zaryzykować aresztowania bez jakiegoś dowodu albo przynajmniej poszlaki. Archera widziano parę razy nieopodal domu pana Reddinga, ale twierdzi, że chodził tam po to, żeby pomówić z matką. Z tej matki poza tym zacna kobieta. Nie, jeśli złożyć wszystko do kupy, głosuję raczej za tą damą. Gdyby mi się udało zdobyć dowody szantażu... Ale w tej zbrodni nie sposób znaleźć żadnego dowodu rzeczowego! Wszystko teorie, teorie, teorie! Wielka szkoda, że żadna stara panna nie mieszka obok plebanii od strony szosy, bo na pewno coś by zauważyła!

Słowa jego przypomniały mi o wizytach, które miałem odbyć, pożegnałem się więc. Pierwszy to chyba raz zdarzyło się, że inspektor rozmawiał ze mną tonem niemal przyjaznym.

Najpierw udałem się do panny Hartnell. Musiała pewnie czekać na mnie przy oknie, bo zanim jeszcze zdążyłem zadzwonić, otworzyła drzwi frontowe, uściśniła mi mocno dłoń i wciągnęła do środka.

— Bardzo ładnie, że ksiądz proboszcz przyszedł. Proszę tutaj, tu nikt nam nie przeszkodzi.

Weszliśmy do mikroskopijnego pokoju, nie większego od kurnika. Panna Hartnell zamknęła drzwi z wielce tajemniczą miną i wskazała mi krzesło (było ich tu tylko trzy). Zauważyłem, że rozkoszuje się sytuacją.

— Ja tam nie lubię niczego owijać w bawełnę — oświadczyła swoim donośnym głosem, ściszone nieco ze względu na tę okazję. — Wie ksiądz proboszcz, jak się wszystko rozchodzi w takim miasteczku.

— Wiem, niestety — odparłem.

— Święta prawda. Bo nikt nie jest bardziej zaciętym wrogiem plotek ode mnie. Ale trudno. Uważałam za swój obowiązek powiedzieć inspektorowi policji, że byłam u pani Lestrangle w dniu morderstwa i nie zastałam jej w domu. Nie spodziewam się wdzięczności za wypełnienie obowiązku, bo niewdzięczność to rzecz. najczęściej spotykana na tym padole. Dopiero wczoraj ta zuchwała pani Baker...

— Tak, tak — wtrąciłem w nadziei, że zapobiegnę zwykłej tyradzie. — Bardzo to smutne. Ale pani mówiła?...

— Niższe klasy społeczne nie wiedzą, w kim mają najlepszych przyjaciół — rzekła panna Hartnell. — Kiedy odwiedzam ubogich, zawsze wtrącam stosowne stówko. Ale nikt mi jeszcze za to nie podziękował.

— Więc powiedziała pani inspektorowi o swojej wizycie u pani Lestrangle — próbowałem przynaglić moją rozmówczynię.

— Właśnie... nawiasem mówiąc, też wcale mi za to nie podziękował. Powiedział, że zwróci się o informacje, kiedy mu będą potrzebne. Nie dosłownie, ale taki to miało sens. O, w policji teraz są ludzie zupełnie innego pokroju niż dawniej.

— To bardzo prawdopodobne — odparłem. — Ale pani chciała mi coś powiedzieć?

— Postanowiłam, że tym razem nie zwrócę się do żadnego gburowatego policjanta. Ostatecznie duchowni są džentelmenami... przynajmniej niektórzy — dodała.

Uznałem, że zalicza mnie do tej ostatniej kategorii.

— Jeśli zdołam pani pomóc... — zacząłem.

— To sprawa obowiązku — oznajmiła panna Hartnell. — Nie mam najmniejszej ochoty tego wszystkiego mówić. Ale obowiązek mnie zmusza.

Czekałem, co dalej nastąpi.

— Otóż pani Lestrangle, jak mi dano do zrozumienia — czerwieniąc się ciągnęła dalej panna Hartnell — twierdzi podobno, że była przez cały czas w domu... że nie otworzyła drzwi, bo... bo po prostu nie chciała. Co za fomy i fochy! Odwiedziłam ją z poczucia obowiązku, więc żeby tak mnie potraktować!...

— Była chora — wtrąciłem pojednawczo.

— Chora? Zawracanie głowy! Ksiądz proboszcz jest człowiekiem zbyt świętym. Tej kobiecie nic nie jest. I z powodu choroby nie mogła się także stawić na rozprawę! Przysłała świadectwo lekarskie, wystawione przez doktora Haydocka! Może go sobie owinąć dookoła palca, wszystkim to wiadomo. Zaraz, o czym to ja mówiłam?

Nie orientowałem się w tym dokładnie. Z panną Hartnell trudno jest wiedzieć, gdzie się kończy opowiadanie, a zaczyna atak furii.

— Aha, o tej wizycie wtedy po południu. Otóż, to kłamstwo, że ona była wtedy w domu. Nie było jej, wiem na pewno.

— Skąd pani może wiedzieć?

Panna Hartnell poczerwieniła jeszcze bardziej. Gdyby szło o osobę mniej kłótliwą i wojowniczą, można by powiedzieć, że na twarzy odbiło się zakłopotanie.

— Pukałam i dzwoniłam — powiedziała. — Dwa razy, czy może nawet trzy. A potem przyszło mi do głowy, że może dzwonek nie dzwoni.

Mówiąc to nie mogła mi patrzeć w oczy, co stwierdzam z satysfakcją. Ten sam przedsiębiorca budowlany buduje wszystkie — nasze domy, a dzwonki, które zakłada, zawsze słyhać wyraźnie, kiedy się stoi na słomiance przed drzwiami. Zarówno panna Hartnell, jak i ja, wiemy o tym doskonale: tu chodziło jednak o zachowanie pozorów.

— Tak? — bąknąłem.

— Nie chciałam wrzucać biletu wizytowego do skrzynki na listy. Byłoby to niezbyt grzeczne, a ja nie bywam nigdy niegrzeczna.

Wygłosiła to; zdumiewające oświadczenie bez zmrużenia powiek.

— Postanowiłam więc obejść dom dookoła i zapukać w szybę — ciągnęła dalej bezwstydnie. — Obeszłam cały dom, zaglądałam we wszystkie okna. ale w domu nie było nikogo.

Rozumiałem doskonale, co mówi. Panna Hartnell, korzystając z tego, że w domu nie ma nikogo, puściła wodze swej ciekawości i obeszła dom, zaglądając we wszystkie okna, żeby zobaczyć, ile się da, z jego wnętrza. Postanowiła opowiedzieć swoją historię mnie, licząc na to, że będę słuchaczem bardziej wyrozumiałym niż urzędnicy policji. Duchowni winni przecież myśleć o swoich parafianach jak najlepiej.

Powstrzymałem się od komentarzy i zadałem tylko jedno pytanie:

— O której to było, panno Hartnell?

— O ile pamiętam, musiało być około szóstej. Wróciłam stamtąd prosto do domu i kiedy weszłam, było dziesięć po szóstej, a około pół do siódmej przyszła pani Protheroe, zostawiając przed domem doktora Stonek i pana Reddinga. Rozmawialiśmy o cebulkach kwiatowych. A przez cały ten czas biedny pułkownik leżał zamordowany. Jaki smutny jest ten świat.

— Niekiedy bywa wręcz nieprzyjemny — powiedziałem.

Wstałem z krzesła.

— Czy to wszystko, co mi pani ma do powiedzenia?

— Tak. Myślałam, że to może być ważne.

— Oczywiście — przyznałem.

Ku wielkiemu rozczarowaniu panny Hartnell nie dałem się wciągnąć do dalszej rozmowy, lecz pożegnałem się i odszedłem.

Hanna Wetherby, do której udałem się następnie, przywitała mnie z oznakami podniecenia.

— Kochany księżu proboszczu, jak to łacinie! Może herbaty? Poduszkę pod plecy? Bardzo ładnie, że ksiądz proboszcz od razu przyszedł. Ale ksiądz proboszcz zawsze gotów jest zrobić wszystko dla bliźnich.

Trwało to dość długo, zanim panna Wetherby przystąpiła do rzeczy, a i wtedy uczyniła to drogą dość okólną i krętą.

— Proszę wziąć pod uwagę, że wiem o tym z najlepszego źródła.

W St. Mary Mead najlepszym źródłem jest zawsze czyjaś służąca.

— Nie może mi pani powiedzieć, od kogo się pani dowiedziała?

— Dałam słowo, kochany księżu proboszczu. A słowa nie wolno łamać.

Panna Wetherby miała przy tym bardzo poważną i uroczystą minę.

— Przypuśćmy, że powiedział mi to ptaszek. To bezpieczne powiedzenie, prawda?

Miałem wielką ochotę powiedzieć: „kretyńskie powiedzenie” i żałuję, że się powstrzymałem, bo chciałbym zaobserwować, jaki efekt wywarłyby te słowa na pannie Wetherby.

— Otóż ten mały ptaszek powiedział mi, że widział pewną damę, której nazwiska nie wymieniamy.

— Też dla bezpieczeństwa? — spytałem.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu panna Wetherby wybuchnęła niepohamowanym śmiechem i poklepała mnie kokieteryjnie po ramieniu wołając:

— O, ksiądz, proboszcz jest bardzo złośliwy! Uspokoiwszy się ciągnęła dalej.

— ...Pewną damę, i czy ksiądz proboszcz, wie, dokąd ta dama szła? Skręciła na drogę do probostwa, ale przedtem rozejrzała się wokoło w sposób bardzo szczególny... chcąc przypuszczalnie upewnić się, że nikt jej nie widzi.

— A ten mały ptaszek?

— Był właśnie z wizytą u właściciela sklepu rybnego — w pokoju nad sklepem.

Nie wiem dokładnie, jak służące spędzają swoje wolne dni. ale wiem, że jeśli tylko mogą tego uniknąć, nie spędzają ich nigdy na powietrzu.

— A dochodziła właśnie szósta — dodała panna Wetherby, pochylając się do przodu.

— Jakiego dnia?

Panna Wetherby aż pisnęła.

— W dniu morderstwa oczywiście! Czyż tego nie powiedziałam?

— Sam wysnułem ten wniosek — odparłem. — A nazwisko tej damy?

— Zaczyna się na L — rzekła panna Wetherby, kiwając złowieszczą głową.

Czując, że na tym wyczerpują się informacje panny Wetherby, wstałem z fotela.

— Nie pozwól ksiądz, żeby policja mnie przesłuchiwała, prawda? — prosiła rzewnie panna Wetherby, ściskając moją dłoń. — Tak się boję wszelkiego rozgłosu. A jeszcze gdybym musiała stawać przed sądem!...

— W wyjątkowych wypadkach — odrzekłem — pozwalają świadkom siedzieć.

Po czym umknąłem.

Pozostała mi jeszcze wizyta u pani Ridley. Czcigodna ta dama od razu wskazała mi właściwe miejsce.

— Nie życzę sobie być wplątana w żadne sprawy sądowe — oświadczyła stanowczo, przywitawszy się ze mną ozięble. — Ksiądz proboszcz to rozumie. Z drugiej strony dowiedziałam się o pewnej okoliczności wymagającej zbadania, sądzę więc, że powinno się o niej powiadomić władze.

— Czy to dotyczy pani Lestrangle? — spytałem.

— Czemu miałyby dotyczyć pani Lestrangle? — spytała chłodno pani Ridley.

Nie potrafiłem oczywiście tego wytłumaczyć.

— Rzecz jest bardzo prosta — ciągnęła dalej pani Ridley. — Moja pokojówka, Klara, stała przed bramą frontową... zeszła tam na parę minut, żeby, jak twierdzi, odetchnąć świeżym powietrzem. Jest to oczywiście mało prawdopodobne. Najpewniej czekała na chłopca ze sklepu rybnego, bezczelnego łobuziaka, który myśli, że wolno mu żartować ze wszystkimi służącymi, bo ma już siedemnaście lat. W każdym razie, jak powiadam, stała pod bramą i usłyszała nagle kichnięcie.

— Tak?... — powiedziałem czekając na dalszy ciąg.

— To wszystko. Słyszała kichnięcie. I proszę mi tylko nie mówić, że nie jestem już młoda i mogłam się pomylić, bo to Klara słyszała, a ona ma dopiero dziewiętnaście lat.

— Ale czemu nie miała usłyszeć kichnięcia? — spytałem.

Wyraz twarzy pani Ridley świadczył wyraźnie o politowaniu, które żywi dla mojego intelektu.

— Słyszała kichnięcie w dniu zabójstwa w porze, kiedy na plebanii nie było nikogo w domu. Morderca niewątpliwie ukrywał się w krzakach, czekając na sposobną chwilę. Należy więc szukać człowieka zakatarzonego.

— Albo takiego, co cierpi na katar sienny — powiedziałem. — Ale jeśli chodzi o ścisłość, proszę pani. Sądzę, że zagadkę tę łatwo rozwiązać. Nasza służąca. Mary, ma od pewnego czasu okropny katar. Przyznam się nawet, że wciąż pociąga nosem, co działa nam na nerwy. Widocznie pani służąca słyszała jej kichnięcie.

— To było męskie kichnięcie — oświadczyła stanowczo pani Ridley. — Poza tym sprzed naszej bramy nie byłoby słyhać, jak służąca księdza proboszcza kicha w swojej kuchni.

— Sprzed pani bramy nie sposób też usłyszeć, jak ktoś kicha w moim gabinecie — odrzekłem.

— A przynajmniej mam co do tego poważne wątpliwości.

— Powiedziałam, że ten mężczyzna mógł ukrywać się w zaroślach przy ogrodzeniu — stwierdziła pani Ridley. — Po odejściu Klary wszedł zapewne do domu przez drzwi frontowe.

— Oczywiście, to możliwe — odparłem.

Starąłem się mówić uspokajającym tonem, ale widocznie mi się to nie udało, bo pani Ridley naraz spojrziała na mnie gniewnie.

— Przyzwyczajona już jestem do tego, że się mnie nie słucha, ale mogłabym też nadmienić, że zostawienie na trawie rakiety tenisowej bez ramy niszczy ją całkowicie. A rakiety tenisowe są obecnie bardzo drogie.

Ten nagły atak z flanki pozbawiony był na pozór jakiegokolwiek sensu. Poczulem oszołomienie.

— Ale ksiądz proboszcz być może nie zgadza się ze mną — dodała pani Ridley.

— Hm... owszem... zgadzam się całkowicie.

— Bardzo mnie to cieszy. No, to wszystko, co mam do powiedzenia. Umywam ręce od całej tej sprawy.

Odchyliła głowę na oparcie fotela i przymknęła oczy jak osoba znużona życiem. Podziękowałem jej i pożegnałem się czym prędzej.

Na ganku zapylałem Klarę o wydarzenie zreferowane przez jej chlebobawczynię.

— To prawda, proszę księdza proboszcza, słyszałam kichnięcie. I to nie było zwykłe kichnięcie, o nie!

Wszystko, co ma jakiś związek ze zbrodnią, jest zawsze niezwykle. Strzał nie był zwykłym strzałem. Kichnięcie nie było pospolitym kichnięciem, lecz zapewne specjalnym kichnięciem mordercy. Spytałem dziewczynę, o której to było godzinie, ale nie umiała mi dokładnie odpowiedzieć — może kwadrans po szóstej, a może o pół do siódmej, coś koło tego. W każdym razie to było „zanim pani odebrała telefon i zrobiło jej się słabo”.

Spytałem wobec tego Klarę, czy słyszała jakiś strzał. Odparła, że strzelanina była okropna. Po tym oświadczeniu nie dawałem już zbytniej wiary jej słowom.

Miałem już wejść do bramy wiodącej na plebanie, gdy postanowiłem nagle odwiedzić przyjaciela.

Spojrzałem na zegarek, przekonałem się, że zdążę jeszcze przed rozpoczęciem nabożeństwa wieczornego i udałem się szosą do domu Haydocka. Doktor wyszedł na ganek, żeby mnie powitać.

Zauważyłem znowu, że twarz ma ściągniętą i poszarzałą. Od czasu zabójstwa postarzał się niewiarygodnie.

— Rad jestem, że księdza proboszcza widzę — powiedział. — Jakie tam nowiny?

Opowiedziałem mu o ostatnich odkryciach w związku ze Stone'em.

— Rutynowany złodziej — zauważył. — To wiele rzeczy wyjaśnia. Widocznie przestudiował literaturę na temat archeologii, ale mimo to popełniał czasem gafy. Protheroe musiał go na takiej gafie przyłapać. Przypomina sobie ksiądz proboszcz, jak się pokłócili. A co ksiądz proboszcz sądzi na temat dziewczyny? Czy także jest w to zamieszana?

— Policja nie wyrobiła sobie jeszcze zdania na ten temat — odrzekłem. — Co do mnie, to sądzę, że dziewczyna jest niewinna. Przecież taka z niej patentowana idiotka — dodałem.

— O, ja bym tego nie powiedział — zaproponował doktor. — Ta panienska jest nie w ciemni bita. Poza tym okaz zdrowia. Moi koledzy po fachu nie będą mieli z nią wiele kłopotu.

Wspomniałem doktorowi, że niepokoje się o Hawesa i chciałem, żeby wyjechał na dłuższy wypoczynek.

Wyczułem jakąś zmianę w zachowaniu doktora. Odpowiedź jego brzmiała jakoś niezupełnie szczerze.

— Tak — rzekł wolno — to byłoby chyba najlepsze. Biedny chłopak. Biedny chłopak.

— Myślałem, że go doktor nic lubi.

— Bo też nie lubię go specjalnie. Ale współczuję wielu ludziom, których nie lubię.

Po chwili dodał:

— Żal mi nawet starego Protheroe. Biedaczysko — nikt go właściwie nie lubił. Był zbyt przejęty własną prawością i zanadto apodyktyczny. Jest to mieszanina, która nie budzi sympatii. Zawsze był taki sam — nawet jako młody człowiek.

— Nie wiedziałem, że go pan w tych czasach znał.

— O, znałem go! Kiedy mieszkał w Westmorland, miałem praktykę nieopodal. To były dawne czasy, blisko dwadzieścia lat temu.

Westchnąłem. Dwadzieścia lat temu Gryzelda miała pięć lat. Czas to dziwna rzecz...

— Czy to wszystko, co mi ksiądz proboszcz chciał powiedzieć?

Ocknąłem się z zamyślenia, Haydock obserwował mnie pilnie.

— Jest coś jeszcze, prawda? — spytał.

Skinąłem głową.

Kiedy przyszedłem, nie byłem jeszcze pewien, czy mam mu powiedzieć, teraz jednak postanowiłem, że tak. Lubię Haydocka ogromnie, jest to pod każdym względem wspaniały człowiek. Czuję poza tym, że to, co mam mu do powiedzenia, może mu się przydać.

Opowiedziałem więc o swoich wizytach u panny Hartnell i panny Wetherby.

Kiedy skończyłem, Haydock długo milczał.

— Wszystko to prawda — powiedział w końcu. — Staralem się, jak mogłem, oszczędzić pani Lestrangle przykrości i kłopotów. To moja stara przyjaciółka, ale to nie jest jedyny powód, który

mną kieruje. Świadeństwo lekarskie, które jej wystawiłem, nie jest bynajmniej fikcyjne, jak wszyscy sędziowie.

Urwał, a polem powiedział poważnie:

— Niech to zostanie między nami, proboszczu. Pani Lestrangle jest skazana na śmierć.

— Co takiego?

— Jest umierająca. Rokuję jej najwyżej miesiąc życia. Czy więc dziwi to księdza, że chcę ją uchronić przed natrętnymi indagacjami?

Mówił dalej:

— Kiedy owego dnia pod wieczór skreśliła na tę szosę, szła tutaj — do tego domu.

— Nie mówił pan o tym dotychczas.

— Nie chciałem dawać powodu do plotek. Nie przyjmuję nigdy pacjentów od szóstej do siódmej i wszyscy o tym wiedzą. Ale może mi ksiądz proboszcz wierzyć, że była tutaj.

— Ale nie było jej tutaj, kiedy przyszedłem do pana. To znaczy wtedy, kiedy znaleźliśmy zwłoki.

— Już jej nie było. — Haydock był wyraźnie czymś zatroskany. — Wyszła... żeby się z kimś spotkać.

— Gdzie miała się spotkać z tą osobą? We własnym domu?

— Nie wiem, słowo honoru, że nie wiem. Wierzyłem mu. ale...

— A jeśli powieszą niewinnego? — spytałem. Doktor potrząsnął przecząco głową.

— Nie — odparł. — Nikogo za zabójstwo nie powieszają. Ręczę księdzu.

W głosie, jego brzmiało szczere przekonanie.

— Nikogo nie powieszają — powtórzył.

— A ten Archer...

Haydock machnął niecierpliwie ręką.

— Archerowi nie starczyłoby inteligencji na to, żeby zetrzeć odciski palców z pistoletu.

— Może pan ma rację — powiedziałem z powątpiewaniem.

Nagle przypomniałem sobie coś. Wyjąłem z kieszeni brązowawy kryształek, znaleziony w lesie, podałem go doktorowi i spytałem, co to jest.

Doktor zastanowił się.

— Hm... Wygląda jak kwas pikrynowy. Gdzie ksiądz proboszcz to znalazł?

— Tajemnica Sherlocka Holmesa — odparłem.

Haydock uśmiechnął się.

— Co to jest ten kwas pikrynowy? — spytałem.

— Materiał wybuchowy.

— Owszem, wiem o tym, ale on ma jeszcze inne zastosowanie, prawda?

Haydock potwierdził skinieniem głowy.

— Używa się go w medycynie przeciwko oparzeniom. W odpowiednim roztworze. Cudowny lek.

Wyciągnąłem rękę i Haydock z niejakim ociąganiem się zwrócił mi kryształek.

— To najpewniej nie ma znaczenia — powiedziałem — ale znalazłem go w dość niezwykłym miejscu.

— Nie powie mi ksiądz, gdzie?

Nie chciałem powiedzieć, powodowany jakimś dziecinny uporem.

Doktor ma swoje sekrety, mogę więc i ja mieć swoje.

Prawdę mówiąc, byłem trochę dotknięty, że nie zwierzył mi się dokładnie ze wszystkiego.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Wstępując tego wieczora na kazalnicę, byłem w bardzo dziwnym nastroju.

W kościele było wyjątkowo dużo ludzi. Wątpię, czy to perspektywa kazania Hawesa ściągnęła tylu wiernych. Kazania Hawesa są zwykle nudne i dogmatyczne. A gdyby rozeszła się wieść, że

kazanie zamiast niego wygłoszę ja, nowina ta również nie przyciągnęłaby parafian. Moje kazania bowiem są zwykle nudne i oschłe, bo nie mogę, niestety, uskarżać się na nadmiar żarliwości.

Doszedłem tedy do wniosku, że wszyscy przyszli zobaczyć, kto jeszcze jest w kościele i ewentualnie poplotkować trochę po nabożeństwie.

Między innymi obecny był Haydock — rzecz niezwykła — i Lawrence Redding. Ku swojemu zdziwieniu, dostrzegłem obok Reddinga bladą, ściągniętą twarz Hawesa. Była również Anna Protheroe, ale ona zwykle przychodzi w niedzielę na wieczorne nabożeństwo, chociaż tego dnia jej się nie spodziewałem. Ale znacznie bardziej zdziwił mnie widok Letycji. W domu pułkownika Protheroe obowiązywało uczęszczanie do kościoła w niedzielę rano — pułkownik był w tym względzie nieugięty — ale nigdy jeszcze nie widziałem Letycji w kościele wieczorem.

Nie potrzebuję nadmieniać, że pani Ridley, panna Hartnell, panna Wetherby i panna Marple stały się w pełnym składzie. Wszyscy zresztą mieszkańcy miasteczka byli obecni bez żadnego chyba wyjątku. Nie przypominam sobie tak zapełnionego kościoła.

Tłum to dziwne zjawisko. W kościele panowała tego wieczora magnetyczna atmosfera i pierwszą osobą, która odczuła działanie tego magnetyzmu, byłem ja sam.

Zazwyczaj opracowuję kazania z góry. Opracowuję je starannie i sumiennie, ale nikt lepiej ode mnie nie zdaje sobie sprawy z ich braków.

Tego wieczora musiałem siłą rzeczy improwizować i gdy spojrzałem na morze głów, ogarnęło mnie naraz jakieś przedziwne szaleństwo. Miałem przed sobą widownię i chciałem tę widownię poruszyć, powiem więcej — czułem, że jest to w mojej mocy.

Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem tego wieczora. Jestem stanowczym przeciwnikiem sekciarskich, emocjonalnych kazań. A jednak tego wieczora grałem rolę nawiedzonego, szalejącego kaznodziei.

Podąłem wolno tekst ewangelii.

Bom nie przyszedł wzywać sprawiedliwych, a grzesznych do pokuty.

Powtórzyłem te słowa dwa razy i usłyszałem własny głos, dźwięczny, donośny, zgoła niepodobny do głosu zwykłego, codziennego Leonarda Clementa.

Zauważyłem, że Gryzelda siedząca w pierwszej ławce podniosła ze zdziwieniem oczy, a Dennis poszedł za jej przykładem.

Wstrzymałem na chwilę oddech, a potem dałem upust wymowie,

Ludzie zgromadzeni w kościele znajdowali się w stanie napięcia emocjonalnego, byli jak klawiatura, na której można grać. Zagrałem na tej klawiaturze. Wprawilem się w jakieś niezwykle, nerwowe podniecenie. Nawoływałem grzeszników do skruchy. Raz po raz wyciągałem oskarżającą rękę i powtarzałem groźne zdanie:

— Do was mówię...

I za każdym razem z różnych stron kościoła rozlegały się głębokie, przerażone westchnienia.

Zbiorowe wzruszenie jest rzeczą dziwną i przerażającą.

Zakończyłem owymi pięknymi i przejmującymi słowami — może najbardziej przejmującymi w całej Biblii:

Zali wiesz, czy tej nocy Bóg nie zażąda od Ciebie duszy...

Dziwne to opętanie nie trwało długo. Kiedy wróciłem na plebanie, byłem znów normalnym sobą, niepozornym, nie odznaczającym się niczym szczególnym. Gryzelda wyglądała blado. Wsunęła mi rękę pod ramię.

— Len — powiedziała — byłeś dzisiaj wprost groźny. Nie... nie podobało mi się to. Nigdy jeszcze nie słyszałam, żebyś w ten sposób wygłaszał kazanie...

— I pewnie nigdy więcej nie usłyszysz — powiedziałem, opadając na kanapę. Czułem wielkie zmęczenie.

— Co cię do tego skłoniło?

— Ogarnęło mnie nagle szaleństwo.

— Więc... więc to nie było z jakiegoś specjalnego powodu?



— Co masz na myśli?  
 — Byłam po prostu ciekawa. Jesteś całkiem nieobliczalny. Len. Nigdy właściwie nie wiem, co zrobisz. Nigdy nie mam uczucia, że cię naprawdę dobrze znam.  
 Mary miała wychodne, zasiedliśmy więc do zimnej kolacji.  
 — W holu leży list do ciebie — powiedziała Gryzelda.  
 — Dennis, bądź tak dobry, przynieś go.  
 Dennis, który był tego wieczora dziwnie milczący, usłuchał od razu.  
 Wziąłem list i jęknąłem. W lewym górnym rogu widniały słowa: „Bardzo pilne”.  
 — To musi być od panny Marple — powiedziałem.  
 — Nikt inny już nie został.  
 Przepuszczenie moje było słuszne.

Drogi Księżę Proboszczu!

Bardzo bym chciała porozmawiać chwilę z Księdzem Proboszczem o kilku rzeczach, które przyszły mi do głowy. Czuję, że wszyscy powinniśmy robić, co w naszej mocy, aby przyczynić się do rozwiązania tej smutnej zagadki. Jeśli wolno, przyjdę około pół do dziesiątej i zapukam do okna gabinetu. Prosiłabym bardzo, żeby pani Gryzelda zechciała przyjść tutaj i dotrzymać przez ten czas towarzystwa mojemu siostrzeńcowi. Pan Dennis oczywiście również — jeżeli tylko będzie miał ochotę. Jeżeli nie dostanę innego zawiadomienia, będę na nich czekała, a potem przyjdę na plebanie o wymienionej wyżej godzinie.

Szczerze oddana  
 Janina Marple

Podąłem list Gryzeldzie.

— Pójdziemy oczywiście — oznajmiła wesoło. — Pary kieliszków domowego likieru doskonale robi w niedzielny wieczór. Myślę, że to ta legumina Mary działa przygnębiająco. Przypomina czymś trupiarnię.

Dennis był mniej zachwycony tą perspektywą.

— Tobie to dobrze — zrzędził — potrafisz prowadzić rozmowy o sztuce i o książkach, a ja zawsze czuję się okropnie głupio, kiedy siedzę i was słucham.

— To ci tylko wychodzi na zdrowie — odparła pogodnie Gryzelda. — Nie jesteś potem taki zarozumiały. A poza tym moim zdaniem pan Rajmund West wcale nie jest taki okropnie mądry, za jakiego chce uchodzić.

— Jak większość z nas — zauważyłem.

Byłem bardzo ciekaw, o czym panna Marple chce ze mną mówić. Ze wszystkich moich parafianek jest ona bezwzględnie najinteligentniejsza. Nie tylko widzi i słyszy wszystko niemal, co dzieje się w miasteczku, ale wyciąga ze spostrzeżonych faktów niezwykle trafne i subtelne wnioski.

Gdybym kiedykolwiek postanowił prowadzić podwójne życie, obawiałbym się przede wszystkim panny Marple.

Gryzelda i Dennis — czyli, jak to nazwała Gryzelda, „Zespół rozrywkowy do zabawiania siostrzeńca” — wyruszyli z domu kilka minut po dziewiątej, ja zaś czekając na pannę Marple zacząłem opracowywać zestawienie faktów związanych z zabójstwem. Postarałem się ułożyć te fakty w kolejności chronologicznej. Nie jestem może punktualny, ale cechuje mnie dokładność i lubię sporządzać notatki w sposób ścisły i metodyczny.

Punktualnie o pół do dziesiątej rozległo się ciche pukanie do okna. Wstałem i wpuściłem do środka pannę Marple.

Była w cienkim, kaszmirowym szalu, zarzuconym na głowę i ramiona. Sprawiała w nim wrażenie starej, kruchej figury. Weszła trochę podniecona, rzucając urywane zdania.

— Ksiądz proboszcz, taki dobry, że pozwolił mi przyjść... I kochana pani Gryzelda taka łaskawa... Rajmund tak się nią zachwyca... Mówi o niej zawsze: „idealny model dla Greuze’a”... Mogę tu usiąść? Nie zajmuję fotela księdza proboszcza?... O. bardzo dziękuję... Nie, nie, stołeczka nie potrzeba.

Złożyłem szal na jednym z krzeseł i usiadłem naprzeciw gościa. Spojrzeliśmy na siebie. Na twarzy panny Marple ukazał się uśmiezek zakłopotania.

— Ksiądz proboszcz pewnie zastanawia się, czemu... czemu tak się tą sprawą interesuję. Myśli pewnie ksiądz proboszcz, że kobiecie to nie przystoi. Nie, nie, proszę mi nie przerywać... Chciałabym coś wytłumaczyć.

Urwała na chwilę, a policzki jej okrył delikatny rumieniec.

— Widzi ksiądz proboszcz — zaczęła wreszcie — kiedy się tak żyje, jak ja, samotnie, z dala od wielkiego świata, musi się mieć jakiegoś konika. Można się oczywiście zajmować robotami na drutach, harcerstwem, dobroczynnością, szkicowaniem pejzaży... ale moim konikiem jest — i zawsze była — natura ludzka. Taka różnorodna i taka fascynująca. No, a w małym miasteczku, gdzie nic człowieka nie odrywa, jest tyle sposobności do tego rodzaju studiów. Człowiek zaczyna klasyfikować ludzi jak ptaki, albo kwiaty — taki a taki rodzaj, taki a taki gatunek, taka a taka odmiana. Niekiedy oczywiście popełnia się błędy, ale z biegiem czasu coraz mniej. Poza tym można dokonywać prób. Bierze się mały problem jak, na przykład, owa torebka krewetek, która tak bawi kochaną panią Gryzeldę — drobna zagadka, ale całkiem niezrozumiała, jeżeli się jej właściwie nie rozwiąże. Potem była sprawa zamienionych kropel od kaszlu i parasola żony rzeźnika — wszystko to nie miało najmniejszego sensu, jeśli się nie założyło, że kupiec kolonialny zabawia się w sposób niezbyt godziwy z żoną aptekarza — co oczywiście okazało się prawdą. To fascynujące — jeżeli się wszystko dokładnie rozważy i po sprawdzeniu okazuje się, że się miało rację.

— Pani. zdaje się, zwykle ma rację — powiedziałem z uśmiechem.

— Obawiam się, że stałam się przez to trochę zarozumiała — wyznała panna Marple. — Ale zawsze byłam ciekawa, czy poradziłabym sobie z prawdziwą, wielką zagadką, gdyby mi się taka nadarzyła. Czy zdołałabym ją rozwiązać. Logicznie rzecz biorąc, powinno to wychodzić na jedno. Przecież mały model samochodu jest właściwie zupełnie identyczny z normalnym samochodem.

— Chce pani powiedzieć, że to wszystko jest tylko kwestią względnych wymiarów — zauważyłem wolno.

— Biorąc na logikę, tak być powinno. Ale nie wiem, czy tak jest rzeczywiście.

— Ależ musi tak być — rzekła panna Marple. — Składniki, jak się mówiło w szkole, są przecież identyczne.

Pieniądze, wzajemny pociąg między ludźmi... hm... płci odmiennej, no i dziwactwa... tyle jest przecież dziwaków, właściwie każdy prawie człowiek jest dziwakiem, jeśli go dobrze poznać. Poza tym ludzie normalni robią czasem rzeczy zupełnie zaskakujące, a znów nienormalni bywają czasem niesłychanie rozsądni i zachowują się całkiem zwyczajnie. W gruncie rzeczy jedyny sposób to porównywać ludzi z innymi ludźmi, których się znało lub przypadkiem spotkało. Zdziwiłby się ksiądz proboszcz, gdyby wiedział, jak niewiele jest w ogóle określonych typów ludzkich.

— Przeraza mnie pani — powiedziałem. — Czuję się tak, jakby mnie oglądano przez mikroskop.

— Nie powiedziałabym tego za nic pułkownikowi Melcheltowi — jest okropnie apodyktyczny, prawda? — ani biednemu inspektorowi. Ten znów przypomina mi sprzedawczynię w sklepie z obuwiami, która koniecznie chce sprzedać kupującemu lakierki, bo ma je akurat na jego nogę i nie zwraca uwagi na to, że kupujący chce brązowe półbuty.

Jest to rzeczywiście doskonałe określenie Slacka.

— Ale ksiądz, proboszcz na pewno wie o tej zbrodni co najmniej tyle, co inspektor Slack. Gdybyśmy więc pracowali razem...

— Czy ja wiem — odparłem. — Chyba każdy z nas w głębi duszy wyobraża sobie, że jest Sherlockiem Holmesem.

Opowiedziałem jej następnie o trzech listach, które otrzymałem tego popołudnia. Opowiedziałem jej o odkrytym przez Annę zniszczonym portrecie. Opowiedziałem jej też o zachowaniu się panny Cram na posterunku policji i powtórzyłem, co powiedział Haydock o znalezionym przeze mnie kryształku.

— Ponieważ sam ten kryształek znalazłem — zakończyłem — chciałbym, żeby okazał się ważną poszlaką. Ale najpewniej nie ma on nic wspólnego ze sprawą.

— Czytałam ostatnio moc amerykańskich powieści kryminalnych — powiedziała panna Marple.  
— Brałam je z czytelnicy w nadziei, że znajdę w nich coś, co mi się przyda.

— Czy było w nich coś o kwasie pikrynowym?

— Niestety nie. Ale pamiętam, że kiedyś czytałam opowiadanie, w którym otruto pewnego człowieka nacierając go kwasem pikrynowym z lanoliną zamiast kremem przepisany przez lekarza.

— Ale tutaj nikogo nie otruto, więc to nie wchodzi w grę — zauważyłem.

Wziąłem następnie swoje zestawienie i podałem je pannie Marple.

— Próbowałem w sposób możliwie przejrzysty odtworzyć takty związane z zabójstwem.

Zestawienie:

Czwartek, 21 bm.

12.30 — Pułkownik Protheroe oznajmia, że przyjdzie do mnie o szóstej piętnaście zamiast o szóstej, jak to było umówione przedtem. Słowa jego słyszy prawdopodobnie pół miasteczka.

12.45 — Po raz ostatni widziano pistolet na jego zwykłym miejscu. (Fakt zresztą wątpliwy, gdyż pani Archer mówiła przedtem, że nie pamięta, kiedy ostatni raz widziała pistolet.)

17.30 (w przybliżeniu) — Państwo Protheroe wyjeżdżają samochodem ze Starego Dworu do miasteczka.

17.30 — Falszywe wezwanie do umierającego. Jak ustalono, telefonowano do mnie z pustego domku odzwiernego przy północnej bramie Starego Dworu.

18.15 (albo parę minut wcześniej) — Pułkownik Protheroe przychodzi na plebanię. Mary wprowadza go do gabinetu.

18.20 — Pani Protheroe nadchodzi drogą za ogrodami i zbliża się do okna gabinetu. Pułkownika Protheroe nie widać.

18.29 — Telefon do pani Ridley (jak twierdzi centrala telefoniczna, dzwonił z domu p. Reddinga).

18.30–18.35 — Słyszano strzał (zakładając, że godzina telefonu jest ściśle ustalona). Zeznania Lawrence'a Reddinga, Anny Protheroe i doktora Stone'a wskazują na to, że strzał słyhać było nieco wcześniej, ale słuszność jest zapewne po stronie pani Ridley.

18.45 — Lawrence Redding przychodzi na plebanię i znajduje zwłoki.

18.48 — Spotykam Lawrence'a Reddinga.

18.49 — Znajduję zwłoki.

18.55 — Haydock dokonuje oględzin zwłok.

UWAGA: Tylko dwie osoby nie mają alibi na czas między 18.30 a 18.35, mianowicie panna Cram i pani Lestrangle. Panna Cram utrzymuje, że była w tym czasie przy kopcu, nie ma jednak na to potwierdzenia. Sądzę jednak, że można ją skreślić z listy podejrzanych, gdyż nic jej właściwie ze sprawą nie łączy. Pani Lestrangle wyszła od doktora Haydocka kilka minut po szóstej, aby się z kimś spotkać. Gdzie i z kim było to spotkanie? Chyba nie z pułkownikiem Protheroe, bo on miał o tej porze być u mnie. Panią Lestrangle widziano wprawdzie w pobliżu plebanii mniej więcej w tym czasie, kiedy popełniono zabójstwo, ale pobudek do zbrodni brak. Śmierć pułkownika nie przyniosła pani Lestrangle korzyści materialnych, wysuwana zaś przez inspektora teoria szantażu jest moim zdaniem nie do przyjęcia. Pani Lestrangle z całą pewnością nie jest osobą tego pokroju. Wydaje się też nieprawdopodobne, żeby mogła w jakikolwiek sposób zawładnąć pistoletem Reddinga.

— Bardzo przejrzyste — pochwaliła mnie panna Marple. — Wszystko jest jasne i zrozumiałe. Mężczyźni zawsze sporządzają doskonałe notatki.

— Zgadza się pani z tym, co napisałem?

— O, tak! Ksiądz proboszcz pięknie wszystko sformułował.

Zadałem jej pytanie, które od dłuższego czasu nie dawało mi spokoju.

— Czy zechce mi pani powiedzieć, kogo pani podejrzewa? Powiedziała pani kiedyś, że na tej liście figuruje aż siedem osób.

— To się zgadza — odparła stara dama tonem jakby roztargnionym. — Ale pewnie każdy podejrzewa kogo innego. Można to nawet zauważyć.

Nie zapytała mnie jednak, kogo ja podejrzewam.

— Sęk w tym — rzekła — że trzeba mieć na wszystko wytłumaczenie. Każdą rzecz należy wytłumaczyć w sposób logiczny i zadowalający. Jeżeli się znajdzie teorię, która odpowiada wszystkim taktom, wówczas teoria musi być słuszna. Ale to bardzo trudne. Gdyby nie ten list...

— List? — powtórzyłem zaskoczony.

— Tak, przypomina sobie ksiądz proboszcz, wspominałam już o tym. Ten list niepokoi mnie przez cały czas. Coś mi się w nim nie zgadza...

— Ależ tę sprawę już wyjaśniono — powiedziałem. — List został napisany o szóstej trzydzieści pięć, a inna ręka — ręka mordercy — wstawiła w nagłówku fałszywą godzinę 6.20. Ustalono to już chyba ponad wszelką wątpliwość.

— A mimo to nic się i tak nie zgadza — oświadczyła panna Marple.

— Dlaczego?

— Proszę posłuchać. — Panna Marple pochyliła się z ożywieniem do przodu. — Pani Protheroe, jak mówiłam, minęła mój ogród, potem doszła aż do okna gabinetu księdza proboszcza, zajrzała do wnętrza i mimo to nie widziała pułkownika.

— Bo pułkownik siedział przy biurku i pisał — rzekłem.

— Otóż to właśnie nie ma sensu. Była wtedy godzina szósta dwadzieścia. Ustaliliśmy, że przed pół do siódmej nie powinien pisać, że nie może dłużej czekać. Po cóż więc siedział o szóstej dwadzieścia przy biurku?

— To mi nie wpadło na myśl — powiedziałem wolno. — Powtórzmy sobie jeszcze raz wszystkie znane nam fakty. Pani Protheroe podchodzi do okna i doznaje wrażenia, że w pokoju nie ma nikogo — musiała doznać takiego wrażenia, w przeciwnym bowiem razie nie poszłaby do pracowni na spotkanie z panem Reddingiem. Byłoby to niebezpieczne. W pokoju musiało być zupełnie cicho, jak gdyby nie było w nim nikogo. Pozostają nam więc trzy możliwości, tak?

— Mianowicie?

— Pierwsza możliwość: pułkownik Protheroe już wówczas nie żył, ale ta możliwość nie jest najbardziej prawdopodobna. Przede wszystkim był wtedy w gabinecie dopiero od pięciu minut i ona albo ja słyszałybyśmy strzał, a po drugie wracamy znów do punktu wyjścia — pułkownik nie powinien był jeszcze siedzieć przy biurku. Druga możliwość: pułkownik siedział przy biurku i pisał list, ale w takim razie musiał to być zupełnie inny list. Pułkownik nie powinien był jeszcze zawiadamiać księdza proboszcza, że nie może dłużej czekać. No i trzecia możliwość...

— Tak?

— Trzecia możliwość: pani Protheroe miała słuszność i w pokoju rzeczywiście nikogo nie było.

— Myśli pani, że pułkownik mógł wyjść z gabinetu po tym, jak go Mary tam wprowadziła, i wrócić później?

— Tak.

— Ale po co miałby wychodzić?

Panna Marple rozłożyła ręce.

— Wypadałoby wobec tego spojrzeć na sprawę pod zupełnie innym kątem. Tak często przecież wypada nam to robić w różnych okolicznościach... Chyba się ksiądz proboszcz ze mną zgodzi?

Nie odpowiedziałem. Przepowiadałem sobie w myśli owe trzy możliwości, sformułowane przez pannę Marple.

Starsza pani westchnęła lekko i wstała.

— Muszę już iść. Bardzo się cieszę, żeśmy sobie pogawędzili — chociaż na razie niewiele nam z tego przyszło.

— Jeśli mam być szczery — odparłem, podając jej szal — cała ta sprawa wydaje mi się labiryntem bez wyjścia.

— O nie, tego bym nie powiedziała! Moim zdaniem jedna teoria pasuje prawie do wszystkich faktów. To znaczy, jeśli się uzna możliwość jednego zbiegu okoliczności — a sadze, że jeden zbieg okoliczności można uznać za prawdopodobny.

— Naprawdę ma pani określoną teorię?

— Tak, przyznaję, że moja teoria ma jeden szkopuł — pewien taki, którego nie mogę ominąć. Ach, gdyby ten list dotyczył czegoś innego...

Potrząsnęła z westchnieniem głową. Potem podeszła do okna i machinalnym ruchem dotknęła smutnej rośliny stojącej w kącie.

— Wie ksiądz proboszcz, tę palmę powinno się częściej podlewać. Biedaczka, bardzo jej tego potrzeba. Mary powinna podlewać ją codziennie. Bo pewnie ona się tym zajmuje?

— O ile w ogóle zajmuje się czymkolwiek w tym domu — odparłem.

— Jest jeszcze trochę surowa — zauważyła wyrozumiale panna Marple.

— Tak — przyznałem — Gryzelda jednak za nic nie chce jej ugotować. Twierdzi, że u nas może wytrwać tylko taka służąca, której nikt inny nie chce. A mimo to Mary sama parę dni temu podziękowała nam za służbę.

— Doprawdy? Byłam pewna, że jest bardzo przywiązana do pani Gryzeldy i do księdza proboszcza.

— Nie zauważyłem tego. A jeśli chodzi o ścisłość, to Letycja Protheroe ją tak bardzo wtedy zirytowała. Mary wróciła z rozprawy mocno podrażniona, zastała tutaj Letycję, no i doszło między nimi do ostrej wymiany zdań.

— Ach tak! — rzuciła panna Marple. Miała już przekroczyć niski parapet okna, gdy nagle przystanąła, a na jej twarzy odmalowały się różne i szybko po sobie następujące uczucia.

— Boże! — szepnęła do siebie. — Jakaż byłam głupia. Więc to tak... Przez cały czas absolutnie możliwe...

— Przepraszam?...

Panna Marple spojrzała na mnie ogromnie zatroskana.

— Nie, nic... Przyszło mi coś do głowy. Muszę iść do domu i dokładnie sobie wszystko przemyśleć. Mam wrażenie, że byłam okropnie głupia — niewiarygodnie głupia.

— Trudno mi w to uwierzyć — rzekłem z galanterią. Pomogłem jej wyjść i poszedłem obok niej przez trawnik.

— Czy nie może mi pani powiedzieć, co przyszło pani tak nagle do głowy?

— Na razie wolałabym nie mówić — ale tylko na razie. Istnieje możliwość, że się mylę. Ale nie sądzę. O, jesteśmy już przy mojej bramie. Bardzo księdzu proboszczowi dziękuję. Proszę się już dalej nie trudzić.

— Czy list nadal jest przeszkodą nie do przebycia? — spytałem, gdy panna Marple weszła do ogrodu i zamykała za sobą zasuwę furtki.

Spojrzała na mnie wzrokiem osoby błędzącej myślami gdzie indziej.

— List? Ach, oczywiście, że to nie był prawdziwy list. Od początku wiedziałam. Dobranoc, księżu proboszczu.

Ruszyła szybko dróżką ku domowi, ja zaś stałem osłupiały i odprowadzałem ją spojrzeniem.

Nic miałem pojęcia, co mam myśleć.

Gryzelda i Dennis jeszcze nie wrócili. Zorientowałem się poniewczasie, że powinienem był przecież pójść wraz z panną Marple dalej i sprowadzić moją rodzinę do domu. Ale oboje byliśmy tak pochłonięci dociekaniem tajemnicy, że zapomnieliśmy o całym świecie.

Stałem właśnie w holu zastanawiając się, czy nie pójść po nich jeszcze teraz, kiedy rozległ się dzwonek przy drzwiach.

Podszedłem do drzwi. Ujrzałem list w skrzynce i sądząc, że był on powodem dzwonka, wyjąłem go.

W tej chwili jednak dzwonek zadzwonił jeszcze raz, wsunąłem więc szybko list do kieszeni i otworzyłem drzwi.

Przede mną stał pułkownik Melchett.

— Jak się ksiądz proboszcz miewa? Wracam właśnie z Londynu samochodem i postanowiłem wstąpić w nadziei, że da mi się ksiądz proboszcz czegoś napić.

— Z największą przyjemnością — odparłem. — Proszę do gabinetu.

Pułkownik zdjął skórzany płaszcz i poszedł za mną do gabinetu. Przyniosłem — whisky, wodę sodową i dwa kieliszki. Melchett stał przed kominkiem i gładził krótkiego wąsa.

— Mam dla księdza proboszcza nowiny. W życiu ksiądz nie słyszał nic podobnego. Ale o tym polem. Najpierw chce się dowiedzieć, co tułaj słyhać? Czy jakieś stare damy wpadły na nowe ślady i tropy?

— Owszem, spisują się wcale nieźle — rzekłem. — W każdym razie jedna z nich ma wrażenie, że zna już rozwiązanie zagadki.

— Nasza przyjaciółka, panna Marple, hę?

— Tak, nasza przyjaciółka, panna Marple.

— Tego rodzaju kobietom zawsze się zdaje, że wszystkie rozumy zjadły — stwierdził pułkownik. Skosztował łyk whisky z wodą sodową.

— Może się niepotrzebnie wtrącam — powiedziałem — ale chciałem zapytać, czy ktoś indagował chłopca ze sklepu rybnego. Bo jeżeli morderca wyszedł przez drzwi frontowe, istnieje możliwość, że chłopiec go widział.

— Owszem, Slack go przesłuchiwał — rzekł Melchett — ale chłopak twierdzi, że nikogo nie spotkał. Nic w tym zresztą dziwnego. Mordercy z pewnością nie zależało na tym, żeby go ktoś widział i zapamiętał. Przy bramie plebanii jest dość miejsc, w których się można ukryć, więc się z pewnością rozejrzał dokładnie, czy droga wolna. Chłopak miał dostarczyć ryby na plebanie, do doktora Haydocka i do pani Ridley. Nietrudno było uniknąć spotkania z nim.

— Słusznie — przyznałem.

— Z drugiej strony — ciągnął dalej Melchett — jeżeli zbrodnie popełnił ten łotr Archer i Fred Jackson widział go w pobliżu plebanii, wątpię bardzo, czyby o tym powiedział. Archer jest jego kuzynem.

— Podejrzewa pan na serio Archera?

— No, trzeba przyznać, że siary Protheroe mocno dopiekał Archerowi. Napsuł mu krwi co niemiara. Wrozumiałość nie należała do kardynalnych cech charakteru pułkownika.

— Tak — powiedziałem — był człowiekiem bezwzględny.

— Bo ja to zawsze mówię: żyj i pozwól żyć innym — oznajmił sentencjonalnie Melchett. — Oczywiście prawo jest prawem, ale nigdy nie zaszkodzi uwolnić człowieka, jeżeli się ma wątpliwości, czy zawinił. Protheroe w takim wypadku zawsze skazywał.

— Chłubił się tym — dodałem.

Zapadło milczenie, które ja po chwili przerwałem.

— Cóż to za „niezwykłe nowiny” pan mi przedtem obiecywał?

— Nowiny rzeczywiście są niezwykłe. Chodzi o ten nie dokończony list, który Protheroe pisał, kiedy go zabito...

— Tak?

— Przekazaliśmy go rzeczoznawcy, żeby stwierdzić, czy 6.20 była dopisana inną ręką. Posłaliśmy przy tym naturalnie próbki pisma pułkownika Protheroe. I wie ksiądz, jaki padł werdykt? Protheroe w ogóle nie pisał tego listu!

— Fałszerstwo?

— Tak. Rzeczoznawcy sądzą, że godzina 6.20 dopisana jest jeszcze innym pismem, ale nie są (ego pewni. Data jest innym atramentem, ale sam list jest z pewnością podrobiony. Protheroe wcale go nie dotykał.

— Czy są tego pewni?

— O tyle. o ile rzeczoznawcy kiedykolwiek bywają czegoś pewni. Wiadomo, rzeczoznawcy! Ale można przyjąć. Że są pewni.

— Zdumiewające — powiedziałem.

Naraz coś mi się przypomniało.

— A przecież pani Protheroe mówiła wtedy, że pismo wcale nie jest podobne do pisma jej męża, ale ja nie zwróciłem na to uwagi.

— Doprawdy?

— Myślałem, że to taka niemądra kobieca uwaga. Bo właśnie to jedno na pozór nie ulegało wątpliwości, że list napisał Protheroe.

Spojrzelśmy na siebie.

— Ciekawe — powiedziałem wolno. — Panna Marple mówiła właśnie dziś wieczorem, że z tym listem coś jest nie w porządku.

— Niech ją diabli, tyle wie o tym zabójstwie, jakby sama je popełniła!

W tej chwili zadzwonił telefon. Dzwonek telefonu ma czasem swoją niewytłumaczalną wymowę. Tym razem dzwonił uporczywie i złowieszczo.

Podszedłem do aparatu i podniosłem słuchawkę.

— Tu plebania — powiedziałem. — Słucham.

W słuchawce rozległ się dziwny, wysoki, histeryczny głos:

— Chcę wszystko wyznać. Boże Wielki, chce wszystko wyznać.

— Halo. halo! — zawołałem. — Proszę pani, pani nas rozłączyła. Z jakiego numeru dzwoniono? Obojętny głos telefonistki odparł, że nie wie. Dodała, że przeprasza, iż mnie niepokojono.

Odłożyłem słuchawkę i zwróciłem się do Melchetta.

— Powiedział pan kiedyś, że oszaleje pan, jeżeli ktoś jeszcze przyzna się do zbrodni.

— Więc co?

— Dzwonił właśnie ktoś. kto chciał coś wyznać... Ale nam przerwano.

Melchetl jednym susem znalazł się przy telefonie i chwycił za słuchawkę.

— Ja pogadam z centralą.

— Słusznie — powiedziałem — może pan coś wskóra. Zostawię pana przy tym zajęciu. Mam wrażenie, że poznałem ten głos.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Szedłem szybko ulicą miasteczka. Była godzina jedenasta, a o godzinie jedenastej w wieczór niedzielny wszelkie życie w St. Mary Mead zamiera. Dostrzegłem wszakże światło w oknie pierwszego piętra i wnioskując z tego, że Hawes nie śpi, zadzwoniłem do drzwi.

Po chwili, która wydała mi się bardzo długa, gospodyni Hawesa, pani Sadler, z wielkim trudem odsunęła dwie zasuwę, zdjęła łańcuch, przekreśliła klucz w zamku i wyjrzała podejrzliwie.

— Ksiądz proboszcz! — zawołała zdumiona.

— Dobry wieczór — powiedziałem. — Chciałbym się zobaczyć z księdzem Hawescm. W oknie pali się światło, więc pewnie jeszcze nie śpi.

— Możliwe. Nie widziałam już go po tym, jak mu zaniósłam kolację. Nie wychodził dzisiaj z domu i nikt u niego nie był.

Skinąłem głową, wyminąłem gospodynię i pobiegłem szybko na górę. Hawes zajmował dwa przyległe pokoje na pierwszym piętrze.

Wszedłem do saloniku. Hawes leżał na wznak na szezlongu. Spał i nie obudził się na moje wejście. Przy nim stało puste pudełko od proszków i szklanka do połowy napełniona wodą.

Na podłodze przy jego lewej nodze leżała zmięta zapisana kartka. Podniosłem ją i rozprostowałem.

Zaczynała się od słów:

Szanowny Księżu Proboszczu!

Przeczytałem list, stłumiłem okrzyk i schowałem kartkę do kieszeni. Potem pochyliłem się nad Hawesem i przyjrzałem mu się uważnie.

Następnie sięgnąłem do telefonu, który stał obok fotela, i podałem numer plebanii. Melchett widocznie wciąż jeszcze starał się ustalić, skąd dzwoniło, bo telefonistka powiedziała mi, że numer jest zajęty. Poprosiłem, żeby zadzwoniła do mnie, kiedy się zwolni i odłożyłem słuchawkę.

Wsadziłem rękę do kieszeni, żeby jeszcze raz spojrzeć na kartkę, którą podniosłem z podłogi. Wraz z nią wyciągnąłem list, który zastałem w skrzynce, a którego jeszcze nie otworzyłem...

Z odruchem wstrętu poznałem od razu pismo. Tą samą ręką pisany był list anonimowy, który dostałem po południu.

Rozdarłem kopertę.

Przeczytałem list raz — potem drugi raz — wciąż nie mogąc ogarnąć należycie jego treści.

Zacząłem czytać po raz trzeci, kiedy zadzwonił telefon. Jak we śnie podniosłem słuchawkę i powiedziałem:

— Halo!

— Halo.

— To pan, panie pułkowniku?

— Tak. gdzie ksiądz proboszcz jest? Wiem już, skąd telefonowano. Numer...

— Znam ten numer.

— A, to doskonale. Czy właśnie stamtąd ksiądz proboszcz mówi?

— Tak.

— Co z tym wyznaniem?

— Mam wyznanie.

— Co?! To znaczy, że ujął ksiądz proboszcz mordercę?

Doznałem najsilniejszej pokusy w życiu. Spojrzałem na Hawesa. Spojrzałem na pognieciony list. Spojrzałem na anonimowe bazgroły. Spojrzałem na puste pudełko od proszków z nazwiskiem aptekarza Cherubina. Przypomniałem sobie pewną przypadkową rozmowę. Zdobyłem się na nadludzki wysiłek.

— Nie wiem... — rzekłem. — Najlepiej będzie, jeśli pan tu przyjdzie.

I podałem Melchettowi adres.

Potem usiadłem na fotelu naprzeciw Hawesa, żeby pomyśleć.

Miałem na to tylko dwie minuty. Za dwie minuty przyjdzie Melchett.

Wziąłem anonim i przeczytałem go uważnie po raz trzeci.

Potem zamknąłem oczy i zacząłem się zastanawiać...

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Nie wiem, jak długo tak siedziałem — w rzeczywistości zapewne tylko parę minut. Zdawało mi się jednak, że upłynęła cała wieczność, gdy usłyszałem stukot otwieranych drzwi i odwracając się ujrzałem Melchetta.

Melchett rzucił okiem na uśpionego Hawesa. po czym zwrócił się do mnie.

— Co to, księżu proboszczu? Co to wszystko znaczy? Podałem mu jeden z listów, które trzymałem w ręce.



Odczytał go półgłosem.

Szanowny Księżę Proboszczu!

Mam Księdzu Proboszczowi do zakomunikowania rzecz bardzo niemiłą. Po namyśle wolę uczynić to w formie listownej, omówić zaś sprawę możemy później. Dotyczy ona zauważonych ostatnio nadużyć pieniężnych. Stwierdzam z przykrością, że ustaliłem już ponad wszelką wątpliwość, kto jest defraudantem. Bolesne to dla mnie, że muszę oskarżyć księdza Kościoła Anglikańskiego, ale obowiązek nie pozwala mi postąpić inaczej. Należy dać przykład...

Melchett spojrzał na mnie pytająco. W tym miejscu pismo przechodziło w nieczytelną falistą linię, śmierć bowiem zatrzymała rękę piszącego.

Pułkownik Melchett odetchnął głęboko i spojrzał na Hawesa.

— A więc to tak! Jedyny człowiek, którego nie podejrzewaliśmy ani przez chwilę. Wyrzuty sumienia doprowadziły go do wyznania!

— Zachowywał się ostatnio bardzo dziwnie — powiedziałem.

Melchett wydał nagle okrzyk i podszedł szybko do śpiącego. Chwycił go za ramię i potrząsnął, najpierw lekko, potem coraz gwałtowniej.

— On nie śpi! Jest pod działaniem jakiegoś narkotyku. Co to znaczy?

Natrafiał spojrzeniem na puste pudełeczko od proszków. Podniósł je.

— Czyżby on?...

— Tak myślę — powiedziałem. — Pokazywał mi parę dni temu te proszki. Mówił, że lekarz ostrzegł go przed nadmierną dawką. Biedak takie sobie znalazł wyjście. Nie naszą rzeczą jest go sądzić.

Ale Melchett był przede wszystkim naczelnikiem policji hrabstwa. Argumenty, które przemawiały do mnie, były dla niego pustym dźwiękiem. Schwycił mordercę i chciał, żeby ten morderca zawisł na szubienicy.

W mgnieniu oka był przy telefonie i uderzał niecierpliwie w widelki. Zażądał połączenia z doktorem Haydockiem. Nastąpiła pauza, podczas której pułkownik stał ze słuchawką przy uchu, wpatrując się w bezwładną postać na fotelu.

— Halo... halo... halo czy to mieszkanie doktora Haydocka? Może pan doktor zechce przyjechać natychmiast na High Street? Do księdza Hawesa... Sprawa bardzo pilna... Co takiego?... A co to za numer?... Ach, przepraszam.

Odłożył słuchawkę z najwyższą wściekłością.

— Pomyłka, pomyłka — zawsze pomyłki! A tu życie ludzkie od tego zależy! HALO! Pani mnie źle połączyła... Tak... proszę nie marnować czasu... proszę trzydzieści dziewięć... dziewięć, nie pięć!...

Znów pauza, tym razem krótsza.

— Halo, czy to doktor Haydock? Mówi Melchett. Niech pan zaraz przyjdzie na High Street 19, dobrze? Hawes zażył nadmierną dawkę jakichś proszków. Prędko, człowieku, chodzi o życie!

Odłożył słuchawkę i zaczął przechadzać się niecierpliwie tam i z powrotem po pokoju.

— Dlaczego, u licha, nie wezwał ksiądz proboszcz od razu lekarza? Niepojęte! Musiał chyba ksiądz mieć chwilę aberracji umysłowej!

Melchettowi na szczęście nigdy nie przychodzi do głowy, że ktoś może mieć inny pogląd na to, jak należy w danym wypadku postąpić. Nie odezwałem się, on zaś ciągnął dalej:

— Gdzie ksiądz proboszcz znalazł ten list?

— Leżał na podłodze — widocznie wypadł mu z ręki.

— Niezwykła historia! Ta stara panna miała rację, że znaleźliśmy niewłaściwy list. Ciekawe, jak na to wpadła. Ale co za osioł z tego gościa, że go od razu nie zniszczył. Przechowywać najbardziej druzgocący dowód rzeczowy. Niesłychane!

— Natura ludzka pełna jest sprzeczności i niekonsekwencji.

— Gdyby było inaczej, nigdy byśmy chyba nie złapali żadnego mordercy! Przestępca prędzej czy później zawsze popełnia jakiś błąd. Ale ksiądz proboszcz mi kiepsko wygląda. Ta sprawa musiała księdzem okropnie wstrząsnąć?

— Tak. Jak powiadam, Hawes od pewnego czasu dziwnie się zachowywał, ale nie przypuszczałem ani przez chwilę...

— Któż mógł przypuszczać? Halo, zdaje się, że samochód zajechał.

Pułkownik Melchett podszedł do okna, otworzył je i wyjrzał na zewnątrz.

— Tak, jest Haydock.

W chwilę potem doktor wszedł do pokoju.

Melchett w zwięzłych słowach wyjaśnił sytuację.

Haydock nie należy do ludzi, którzy okazują swe uczucia. Podniósł tylko brwi, skinął głową i podszedł szybko do pacjenta. Zbadał mu puls, podniósł powiekę i obejrzał uważnie oko.

Potem zwrócił się do Melchetta.

— Chce pan, żebym go uratował dla szubienicy? — spytał. — Bo z nim jest bardzo źle. Szansa i tak niewielka. Wątpię, czy zdołam go ocucić.

— Proszę zrobić wszystko, co w pańskiej mocy.

— Dobrze.

Sięgnął do swojej walizeczki, przygotował szprycę i zrobił Hawesowi zastrzyk w ramię. Potem wyprostował się.

— Najlepiej będzie odwieźć go do Much Benham, do szpitala. Proszę mi pomóc, zaniemiemy go do samochodu.

Obaj skoczyli na pomoc. Siadając za kierownicą, Haydock rzucił przez ramię pożegnalną uwagę.

— Nie uda się go panu powiesić, panie pułkowniku.

— Nie uratujecie go?

— Tego nie wiem. Nie o to mi chodzi. Chodzi o to, że jeśli się go nawet uratuje... No, biedaczysko po prostu nie odpowiada za swoje czyny. Sam zaświadczę o tym przed sądem.

— Co on chciał przez to powiedzieć? — spytał Melchett, gdyśmy wracali na górę.

Wyjaśniłem, że Hawes przechodził w swoim czasie encephalitis lethargica,

— Śpiączkę, tak? Teraz zawsze znajdują jakieś usprawiedliwienie na każde przestępstwo, jakie kłóś popełni.

— Cóż, nauka idzie naprzód.

— Niech diabli porwą naukę! Przepraszam księdza proboszcza, ale wścieka mnie to cackanie się ze zbrodniarzami. Jestem człowiekiem prostoliniowym. No, trudno, musimy się chyba rozejrzeć po tych pokojach.

Ale w tej samej chwili osłupieliśmy ze zdumienia, gdyż drzwi się otworzyły i do pokoju weszła panna Marple. Była zarumieniona i najwidoczniej zdawała sobie sprawę z tego, jak jesteśmy oszołomieni.

— Przepraszam, najmocniej przepraszam, że tak tu wtargnęłam... Dobry wieczór, panie pułkowniku... Jeszcze raz przepraszam, ale kiedy się dowiedziałam o nagłej chorobie księdza Hawesa, musiałam po prostu przyjść i zapytać, czy nic mogę się na coś przydać.

Urwała, pułkownik Melchett zaś spojrział na nią z wyraźnym niesmakiem.

— Bardzo to ładnie z pani strony — odparł sucho — ale niepotrzebnie się pani trudziła. Ciekawe jednak, skąd się pani dowiedziała?

Było to pytanie, które mnie również cisnęło się na usta.

— Telefon — wyjaśniła panna Marple. — Telefonistki są takie nieznośne, wciąż się myślą, prawda? Rozmawiał pan ze mną, myśląc, że to mieszkanie doktora Haydocka. Mój numer jest trzydzieści pięć.

— Wiec to tak! — zawołałem.

Wszzechwiedza panny Marple ma zawsze całkiem proste i rozsądne wytłumaczenie.

- Przyszłam więc zaraz, żeby się przekonać, czy nie mogę być w czymś pomocna.
- Bardzo to ładnie z pani strony — powtórzył Melchett tym razem tonem jeszcze bardziej oschłym. — Ale nic tu nie można pomóc. Doktor Haydock zabrał go do szpitala.
- Do szpitala? O, jakże się cieszę! Wikary będzie tam zupełnie bezpieczny. Mówiąc: „nie można pomóc”, nie ma pan na myśli, że już jest za późno? Że go nie uratują?
- W każdym razie to bardzo wątpliwe — powiedziałem.
- Spojrzenie panny Marple pobiegło ku pudełeczku od proszków.
- Pewnie wziął za dużą dawkę? — spytała.
- Melchett uważał przypuszczalnie, że nie należy udzielać informacji, ja być może w innych okolicznościach byłbym również tego zdania. Ale zbyt świeżo miałem w pamięci swoją rozmowę z panną Marple, aby podzielać pogląd pułkownika, chociaż błyskawiczne zjawienie się starej panny na miejscu wypadku i jej nie tajona ciekawość we mnie także budziły lekką niechęć.
- Lepiej niech pani to przeczyta — powiedziałem, podając jej nie dokończony list pułkownika Protheroe.
- Wzięła go i przeczytała, nie zdradzając żadnych oznak zdziwienia.
- Pani przecież coś w tym rodzaju już sobie wydedukowała? — spytałem.
- Tak... tak. niewątpliwie. Czy wolno zapytać, co ksiądz proboszcza tutaj sprowadziło? Bo ta właśnie okoliczność wydaje mi się dziwna. Ksiądz proboszcz i pułkownik Melchett — nigdy bym się tego nie spodziewała.
- Opowiedziałem o telefonie dodając, że poznałem Hawesa po głosie. Panna Marple kiwała w zamyśleniu głową.
- Bardzo ciekawe. Opatrznościowe — jeśli wolno się tak wyrazić. Tak, to ksiądz proboszcza sprowadziło tutaj w samą porę.
- W samą porę? — powtórzyłem z goryczą. — Na co?
- Panna Marple spojrzała na mnie zdziwiona.
- Oczywiście, na to, żeby uratować życie wikaremu.
- Nie sądzi pani, że lepiej byłoby, gdyby Hawes nie odzyskał przytomności? Lepiej dla niego — lepiej dla wszystkich. Znamy już teraz prawdę i...
- Urwałem — gdyż panna Marple kiwała głową tak gwałtownie, że straciłem wątek.
- Oczywiście — powiedziała — oczywiście! O to mu właśnie chodziło! Chce, żeby wszyscy tak sądzili! Że prawda jest już znana i że tak jest dla wszystkich lepiej. O, tak, wszystko się teraz zgadza — list, nadmierna dawka środka uspokajającego, okropny stan nerwów biednego wikarego i jego wyznanie. Wszystko to się zgadza — ale to nieprawda...
- Patrzyliśmy na nią szeroko otwartymi oczami.
- Dlatego tak się cieszę, że wikary jest w szpitalu, gdzie nikt go nie dosięgnie. Jeżeli odzyska przytomność, opowie sam prawdę.
- Prawdę?
- Tak — że nie wyrządził najmniejszej krzywdy pułkownikowi Protheroe.
- Ależ ten telefon — powiedziałem — list, zażycie proszków... Wszystko jest tak jasne.
- Jemu o to właśnie chodzi, żeby ksiądz proboszcz tak myślał. O, on jest bardzo mądry! Fakt, że zachował list i użył go w ten sposób, dowodzi, że jest bardzo mądry.
- Kogo pani ma na myśli, mówiąc „on”? — spytałem.
- Mani na myśli mordercę — odrzekła panna Marple.
- Potem dodała cicho:
- Mam na myśli Lawrence’a Reddinga...

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Patrzyliśmy na nią w osłupieniu. Przez chwilę sądziliśmy, że stara panna straciła chyba rozum. Oskarżenie wydawało się zbyt niewiarygodne.

Pułkownik Melchett odezwał się pierwszy. W tonie jego brzmiała dobrotliwa wyrozumiałość i politowanie.

— To absurd, proszę pani — rzekł. — Niewinność Reddinga stwierdzono ponad wszelką wątpliwość.

— Naturalnie — odparła panna Marple. — Postarał się o to.

— Wręcz przeciwnie — zaoponował oschle pułkownik — zrobił wszystko, żeby go oskarżono o morderstwo.

— Owszem — przyznała panna Marple — wszystkich nas wywiódł tym w pole — nie wyłączając mnie. Przypomina sobie kochany ksiądz proboszcz, że byłam ogromnie zaskoczona, kiedy się dowiedziałam, że pan Redding przyznał się do zbrodni. Wywróciło to całe moje rozumowanie i kazało mi uwierzyć, że jest niewinny — gdy do tej chwili byłam przekonana, że jest winien.

— A więc podejrzewała pani właśnie Lawrence'a Reddinga?

— Wiem, że w powieściach mordercą jest zazwyczaj osoba, której nikt nie podejrzewa, moim zdaniem jednak reguły tej nie da się zastosować w życiu. Najczęściej prawdą jest to, co rzuca się w oczy. Bardzo zawsze lubiłam panią Protheroe, musiałam jednak mimo to dojść do wniosku, że znajduje się ona całkowicie pod wpływem pana Reddinga i zrobi wszystko, co on jej każe, a on znów nie należał do mężczyzn, którzy potrafią uciec z kobietą nie mającą szylinga przy duszy. Z tego punktu widzenia usunięcie z drogi pułkownika Protheroe było rzeczą konieczną — więc go też usunął. To jeden z owych uroczych młodych ludzi, najzupełniej pozbawionych poczucia moralnego.

Pułkownik Melchett, który od dłuższej chwili już parskał niecierpliwie, teraz wybuchnął:

— Wszystko to są kompletne bzdury! Wiemy dokładnie, co Redding robił aż do 6.45, a Haydock twierdzi stanowczo, że pułkownika Protheroe zabito wcześniej. Pani pewnie uważa, że jest mądrzejsza od lekarza. Czy też chce pani powiedzieć, że doktor Haydock kłamie — Bóg jeden wie dlaczego i w jakim celu?

— Uważam, że zeznanie doktora Haydocka jest całkowicie zgodne z prawdą. Doktor jest człowiekiem niezwyklej prawości. Rzecz oczywista, że to pani Protheroe zabiła pułkownika, nie pan Redding.

Znów wybałuszyliśmy na nią oczy. Panna Marple poprawiła swoją koronkową kryzkę, zsunęła z ramion cienki wełniany szal i rozpoczęła staropanieński wykład, wygłaszając swe zdumiewające rewelacje tonem najnaturalniejszym w świecie.

— Do tej chwili uważałam, że nie mam prawa nic mówić. Własne moje przekonanie — nawet tak mocne, że równające się właściwie pewności — nie sianowi przecież dowodu. A poza tym, dopóki się nie może wyjaśnić wszystkich faktów (jak to mówiłam dziś kochanemu proboszczowi), nie należy się z takim przeświadczeniem zdradzać. A mnie wciąż brakowało pewnej rzeczy, kiedy nagle, wychodząc z gabinetu proboszcza, zauważyłam przy oknie palmę w doniczce. No i miałam już wszystko! Jasne jak słońce!

— Wariatka! Kompletna wariatka! — szepnął do mnie Melchett.

Ale panna Marple uśmiechnęła się do nas spokojnie i ciągnęła dalej swoim uprzejmym, łagodnym tonem:

— Było mi bardzo przykro, że musiałam dojść do takiego wniosku, ogromnie przykro. Bo lubiłam ich oboje. Ale wiadomo, jaka jest natura ludzka. Zresztą na początku, kiedy oboje — najpierw on, a potem ona — tak się lekkomyślnie przyznali do winy, poczułam ogromną ulgę. Myliłam się jednak. Zaczęłam wtedy zastanawiać się nad tym, kto jeszcze miał powody, aby pragnąć śmierci pułkownika Protheroe.

— Siedmiu podejrzanych! — powiedziałem półgłosem. Panna Marple uśmiechnęła się do mnie.

— Właśnie. Przede wszystkim Archer — mało prawdopodobne, ale po pijanemu (alkohol tak podnieca!) nigdy nie wiadomo. No i oczywiście służąca księdza proboszcza. Mary. Chodzi już z Archerem od dawna, a ma bardzo porywcze usposobienie. Motyw plus sposobność — była

przecież sama w domu! Stara pani Archer mogła z łatwością zabrać pistolet z domu pana Reddinga i dać go komukolwiek z tych dwojga. Następnie, oczywiście. Letycja — spragniona wolności i pieniędzy, żeby móc robić, co zechce. Znałam wiele wypadków, gdy okazywało się; że piękne i eteryczne dziewczęta pozbawione są wszelkich skrupułów moralnych — chociaż oczywiście mężczyznom trudno w to uwierzyć.

Skrzywiłem się jak od ułucia.

— No a poza tym rakieta tenisowa — mówiła dalej panna Marple.

— Rakieta tenisowa?

— Tak. ta rakieta, którą Klara od pani Ridley widziała na trawie przy bramie plebanii. Wyglądało to tak, jakby pan Dennis wrócił z tenisa wcześniej niż utrzymywał. Szesnastoletni chłopcy są tacy kochliwi i tacy niezrównoważeni. Bez względu na motyw — czy chodziło tu o Letycję, czy o księdza proboszcza — możliwość istniała, a poza tym, naturalnie, biedny wikary Hawes i ksiądz proboszcz — nie obaj, lecz alternatywnie, jak mówią adwokaci.

— Ja? — zawołałem z najwyższym zdumieniem.

— Hm... no, tak... Przepraszam najmocniej — w gruncie rzeczy nigdy nie podejrzewałam księdza proboszcza naprawdę... ale była jednak sprawa tych znikających sum pieniężnych. Winien temu musiał być albo wikary, albo ksiądz proboszcz, a pani Ridley chodziła po miasteczku i wciąż dawała do zrozumienia, że to właśnie ksiądz proboszcz — głównie dlatego, że ksiądz proboszcz tak się gwałtownie sprzeciwiał wszelkiej oficjalnej inspekcji. Ja, oczywiście, od początku byłam przeświadczona, że to ksiądz Hawes — bo tak bardzo mi przypominał owego nieszczęsnego organistę, o którym kiedyś mówiłam, ale mimo to trudno było mieć całkowitą pewność...

— Mając na uwadze ułomności natury ludzkiej — dokończyłem ponuro.

— Otóż właśnie. Następnie kochana pani Gryzelda...

— Ależ pani Clement od pierwszej chwili nie wchodziła w rachubę — przerwał Melchett. — Wróciła przecież pociągiem o 6.50.

— Tak mówiła — odrzekła panna Marple. — Nigdy nie wolno polegać na tym, co ludzie mówią. Pociąg szósta pięćdziesiąt spóźnił się tego dnia o całe pół godziny, ale widziałam na własne oczy, jak pani Gryzelda o godzinie siódmej piętnaście szła w kierunku Starego Dworu. Wywnioskowałam z tego, że musiała przyjechać wcześniejszym pociągiem. Zresztą widziano ją — ale może ksiądz proboszcz wie już o tym?

Spojrzała na mnie pytająco.

Siła magnetyczna jej spojrzenia kazała mi pokazać drugi list anonimowy, ten, który otworzyłem tak niedawno. List opisywał szczegółowo, że Gryzeldę widziano owego fatalnego dnia, jak wychodziła z domu Reddinga.

Nie wspomniałem ani podówczas, ani nigdy później o potwornym podejrzeniu, które zakradło się do mojej duszy. Pamiętałem je niby serię obrazów widzianych w złym śnie — dawny romans Gryzeldy z Lawrence'em. Protheroe dowiaduje się o nim, postanawia wyjawić mi prawdę — i Gryzelda, doprowadzona do ostateczności, kradnie pistolet, aby zamknąć pułkownikowi usta. Jak powiadam, zły sen, który jednak na kilka nieskończenie długich minut nabrał przerażających pozorów rzeczywistości.

Nie wiem, czy panna Marple domyślała się tego wszystkiego. Najprawdopodobniej tak. bo trudno ukryć cokolwiek przed jej wzrokiem.

Zwróciła mi list z krótkim skinieniem głowy.

— W całym miasteczku o tym aż huczało — powiedziała. — Zresztą sprawa wyglądała bardzo podejrzanie, przyzna ksiądz proboszcz. Zwłaszcza, że pani Archer przysięgała na rozprawie, iż pistolet leżał na miejscu, kiedy wychodziła w południe. — Urwała na chwilę, a potem ciągnęła dalej: — Ale odbiegam od tematu. Bo ja chcę — i uważam to za swój obowiązek — przedstawić panom swoje rozwiązanie zagadki. Jeżeli nie uwierzą mi panowie, cóż, zrobiłam, co mogłam. Ale jakkolwiek sprawy potoczą się dalej, biedny wikary Hawes o mało nie postradał życia przez to, że chciałam zdobyć pewność, zanim coś powiem.

Znów urwała, a kiedy zaczęła mówić, głos jej zmienił się wyraźnie. Brzmiał teraz mocniej i bardziej stanowczo.

— Moje wyjaśnienie jest następujące. W czwartek po południu zbrodnię zaplanowano w najdrobniejszych szczegółach. Lawrence Redding najpierw odwiedził księdza proboszcza, wiedząc, że nie ma go w domu. Miał przy sobie pistolet, który ukrył w doniczce pod oknem. Kiedy proboszcz przyszedł, Lawrence upozorował swoją wizytę oświadczeniem, że postanowił wyjechać. O piątej trzydziści Lawrence Redding telefonował z północnej bramy do proboszcza, udając głos kobiety (pamiętają panowie, jaki z niego dobry aktor–amator).

Pani Protheroe i jej mąż wyruszyli właśnie do miasteczka. I rzecz bardzo osobliwa — chociaż nikt nie zwrócił na to należytej uwagi — pani Protheroe nie wzięła z sobą żadnej torebki. Dla kobiety to rzecz bardzo niezwykła. Na kilka minut przed 6.20 przechodzi koło mojego ogrodu, przystaje i rozmawia ze mną, żebym mogła dokładnie zaobserwować, że nie ma przy sobie jakiegokolwiek broni i że jest w zupełnie normalnym nastroju. Bo ci dwoje zdawali sobie sprawę z tego, że jestem osobą dość spostrzegawczą. Polem znikam za rogiem domu, kierując się ku oknu gabinetu. Biedny pułkownik siedzi przy biurku i pisze list do księdza proboszcza. Jak wszyscy wiemy, jest głuchy. Pani Protheroe wyjmując pistolet z doniczki, w której jest ukryty, zachodzi męża od tyłu, strzela mu w tył głowy, błyskawicznie rzuca pistolet, wraca przed dom i udaje się przez ogród do pracowni. Każdy prawie przysięgłby, że nie mogła wykonać tego wszystkiego w tak krótkim czasie!

— A strzał? — zaoponował pułkownik. — Nie słyszała pani przecież strzału?

— Jeśli się nie mylę, istnieje wynalazek zwany tłumikiem. Wiem o nim z powieści kryminalnych. Ciekawe jest więc, czy to kichnięcie, które słyszała Klara, służąca pani Ridley, nie było w istocie strzałem? Ale mniejsza z tym. W pracowni na panią Protheroe czeka pan Redding. Wchodzą razem do środka i domyślają się zapewne, że ja nie opuszczę ogrodu — natura ludzka jest ułomna! — dopóki oni z pracowni nie wyjdą!

Nigdy jeszcze nie zachwycałem się panną Marple bardziej niż w tej chwili, gdy z takim humorem przyznawała się do własnej słabości.

— Gdy wychodzą, miny mają wesołe i zachowują się w sposób naturalny. I tu w gruncie rzeczy popełniają błąd. Bo gdyby to rzeczywiście było ich pożegnanie na zawsze, jak twierdzili, toby musieli wyglądać zupełnie inaczej. Ale to właśnie był ich słaby punkt. Po prostu nie śmieli okazać jakiegoś wzburzenia czy zdenerwowania. Przez następne dziesięć minut dbają pilnie o to, aby zapewnić sobie tak zwane alibi. Wreszcie pan Redding udaje się na plebanię, wychodząc stamtąd możliwie jak najpóźniej. Widział pewnie księdza proboszcza z daleka na ścieżce i mógł sobie dokładnie obliczyć czas. Podniósł pistolet i tłumik, zostawił sfałszowany list z godziną dopisaną innym atramentem i na pozór innym piśmem. Kiedy fałszerstwo zostanie wykryte, będzie wyglądało jak niezręczna próba zrzucenia winy na Annę Protheroe.

Ale zostawiając list, znajduje ten, który pułkownik Protheroe pisał rzeczywiście — coś zgoła niespodziewanego. Ponieważ pan Redding jest młodzieńcem bardzo mądrym i orientuje się, iż lisi ten może mu oddać wielkie usługi, zabiera go z sobą. Przesławia wskazówki zegara na godzinę podaną w liście — wiedząc, że zegar normalnie spieszy się o kwadrans. W tym samym celu — aby zainscenizować rzekomą próbę rzucenia podejrzeń na Annę Protheroe. Potem wychodzi, spotyka księdza proboszcza przed bramą i odgrywa rolę człowieka odchodzącego od zmysłów. Jak powiadam, jest doprawdy niezwykle mądry. Jak by się starał zachowywać mordercę, który przed chwilą popełnił zbrodnię? Oczywiście jak najnaturalniej. Toteż pan Redding zachowuje się całkiem odmiennie. Pozbywa się jakoś tłumika, ale idzie z pistoletem na posterunek policji i tam z wielką ostentacją przyznaje się do winy, przy czym wszyscy dają się na ten haczyk złapać.

Relacja panny Marple miała w sobie coś fascynującego. Stara panna mówiła z takim przekonaniem, że nie wątpiliśmy, iż zbrodnię popełniono właśnie w taki sposób i nie w żaden inny.

— A ten strzał, który słyszano w lesie? — spytałem. — Czy był to ów zbieg okoliczności, o którym wspominała pani podczas naszej dzisiejszej rozmowy?

— Ależ bynajmniej! — Panna Marple energicznie potrząsnęła głową. — Nie był to wcale zbieg okoliczności. Było rzeczą najbardziej istotną, aby słyszano jakiś strzał — w przeciwnym razie podejrzewano by nadal panią Protheroe. Nie wiem dokładnie, jak pan Redding to zaaranżował, ale, o ile się orientuję, kwas pikrynowy wybucha, jeżeli się na niego zrzuci coś ciężkiego. Kochany ksiądz, proboszcz zechce pamiętać, że akurat w tym miejscu, gdzie potem znalazł kryształek, spotkał ksiądz proboszcz pana Reddinga niosącego wielki kamień. Mężczyźni są tacy zręczni, jeśli chodzi o takie rzeczy — na przykład kamień zawieszony nad kryształkami. a polem lont Bickforda... czy może zapalnik czasowy... nie jestem pewna, jak to się nazywa... Coś, co paliłoby się około dwudziestu minut, żeby wybuch nastąpił około 6.30, kiedy on i pani Protheroe wyjdą już z pracowni i będą widziani przez sąsiadów. Doskonały pomysł, gwarantujący całkowite bezpieczeństwo, bo cóż by polem znaleziono. Tylko duży kamień! Ale pan Redding chciał usunąć nawet ten kamień — kiedy ksiądz, proboszcz go zaskoczył.

— Tak, ma pani chyba rację! — zawołałem, przypominając sobie, jak Lawrence drgnął wtedy na mój widok. W owej chwili nie przywiązywałem do tego wagi. ale teraz...

Panna Marple jakby czytała w moich myślach, bo pokiwała głową.

— Tak — rzekła — musiał to być dla niego przykry wstrząs, kiedy nagle zobaczył księdza proboszcza. Ale wybrnął z sytuacji, udając, że niesie ten kamień dla mnie, do mojego ogródka japońskiego. Tylko że... — następne słowa panna Marple wypowiedziała z naciskiem — ... tylko że ten kamień nie nadawał się wcale do mojego ogródka! I to mnie naprowadziło na właściwy trop!

Przez cały ten czas pułkownik Melchett siedział jakby w transie. Teraz począł zdradzać oznaki powrotu do przytomności. Prychnął raz i drugi, wytarł nos, po czym powiedział:

— Słowo daję! Nie, no słowo daję!

Więcej nic na razie nie powiedział. Sądzę, że na nim, podobnie jak na mnie. logika i pewność bijąca z wywodów panny Marple musiała wyrzucić znaczne wrażenie, nie chciał się jednak do tego przyznać. Zamiast tego wyciągnął rękę, podniósł zmięty list i warknął:

— Wszystko to bardzo pięknie, ale co pani powie o wikarym? Przecież zadzwonił do proboszcza i przyznał się do winy!

— Tak. to było właśnie opatrnościowe. Niewątpliwie był to skutek kazania księdza proboszcza. Bo musi ksiądz proboszcz wiedzieć, że wygłosił dzisiaj niezwykle wprost kazanie. Musiało ono głęboko poruszyć wikarego. Nie mógł znieść dłużej ciężaru winy. poczuł, że musi się przyznać... do przywłaszczenia pieniędzy kościelnych.

— Co takiego?

— A tak! I to właśnie, zrzędzeniem Opatrzności, uratowało mu życie. (Bo ufam i tuszę, że go uratowano. Doktor Haydock jest tak znakomitym lekarzem.) Pan Redding, jak sądzę, schował ten list (ryzykowne posunięcie, ale ukrył go przypuszczalnie w bezpiecznym miejscu) i postanowił dowiedzieć się, kogo list dotyczy. Upewnił się wkrótce, że chodzi w nim o wikarego. O ile mi wiadomo, przyszedł tu wczoraj wieczorem z wikarym i spędził z nim dłuższy czas. Podejrzewam, że wówczas podsunął własną kapsułkę na miejsce jednej z kapsułek wikarego Hawesa i wsunął ten list do kieszeni jego szlafroka. Liczył, że nieszczęśliwy młodzieniec połknie śmiertciony proszek, zupełnie o tym nie wiedząc, a po jego śmierci policja zrewiduje jego rzeczy, znajdzie list i wszyscy dojdą do wniosku, że wikary zabił pułkownika Protheroe i odebrał sobie życie nękany wyrzutami sumienia. Jak sobie wyobrażam, wikary musiał znaleźć ten list tuż po zażyciu fatalnej kapsułki. W stanie wzburzenia, w jakim się znajdował, musiało mu się to wydać sprawą nadprzyrodzoną, a że na dobitkę wysłuchał właśnie kazania księdza proboszcza, postanowił przyznać się do wszystkiego.

— Słowo daję! — zawołał pułkownik Melchett. — Słowo daję! Niestychane! Ja... ja... nie wierzę ani jednemu słowu!

Ale okrzykowi temu brak było siły przekonania. Melchett sam to chyba wyczuł, bo spytał:

— A jak pani tłumaczy drugi telefon — ten z domu Reddinga do pani Ridley?

— A! To właśnie nazywam zbiegiem okoliczności — odparła panna Marple. — Do pani Ridley telefonowała kochana pani Gryzelda — współ z panem Dennisem, jak się domyślam. Doszły do nich plotki, które pani Ridley rozpuszcza o proboszczu, postanowili więc w taki sposób (trochę może dziecinny) zaniknąć jej usta. Zbieg okoliczności polega na tym, że zatelefonowali dokładnie w tej samej chwili, w której z lasu rozległ się rzekomy strzał. Wskutek tego sądzono, że dwa te fakty pozostają z sobą w jakimś związku.

Przypomniałem sobie nagle, że wszyscy, którzy mówili o tym strzale, nadmieniali, iż brzmiał on inaczej, aniżeli zwykle strzały. Osoby te miały rację. Jak jednak trudno jest sformułować, na czym polega odmienność dźwięku.

Pułkownik Melchett chrząknął.

— Pani rozwiązanie jest bardzo logiczne i prawdopodobne — rzekł — pozwoli pani jednak zwrócić sobie uwagę, że nie ma na to wszystko najmniejszego nawet dowodu.

— Wiem o tym — powiedziała panna Marple — ale wierzy pan, że to prawda?

Nastąpiło milczenie, po czym pułkownik przyznał jakby z wysiłkiem:

— Tak, wierzę. Tam do pioruna, to jedyny sposób, w jaki cała rzecz mogła się zdarzyć. Ale nie ma dowodu — ani cienia dowodu.

Teraz z kolei chrząknęła panna Marple.

— Dlatego właśnie pomyślałam sobie, że... że w tych warunkach...

— Proszę...?

— Dopuszczalne jest zastawienie pułapki.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Pułkownik Melchett i ja otworzyliśmy szeroko oczy.

— Pułapki? Jakiej pułapki?

Panna Marple miała nieco speszoną minę, ale widać było wyraźnie, że ma już dokładnie opracowany plan.

— Powiedzmy, że ktoś zadzwoni do pana Reddinga i ostrzeże go...

Pułkownik Melchett uśmiechnął się.

— „Wszystko się wydało! Uciekaj!” To stara sztuczka. proszę pani. Owszem, często się udaje, nie powiem. Ale w tym wypadku obawiam się, że młody Redding jest zbyt sprytnym ptaszkiem, żeby dał się złapać na plewy.

— Bo to powinno być coś specjalnego. Zdaję sobie z tego sprawę — oświadczyła panna Marple. — Proponowałabym — jest to tylko projekt — żeby ostrzeżenia udzielił ktoś, o kim wiadomo, że ma dość swoisty pogląd na tego rodzaju sprawy. Na podstawie wypowiedzi doktora Haydocka każdy może przypuszczać, że patrzy on na zabójstwo w ogóle w sposób bardzo swoisty. Gdyby napomknął, że ktoś — pani Sadler albo któreś z jej dzieci — widział przypadkiem zamianę proszków... oczywiście, jeśli pan Redding jest niewinny, tego rodzaju zdanie nic mu nie powie, ale jeżeli jest winien...

— Co wtedy?

— No... być może zrobi jakiś lekkomyślny krok.

— I tym samym wpadnie nam w ręce. Tak, to możliwe. Bardzo dobry pomysł, proszę pani. Ale czy doktor Haydock na to pójdzie? Jak sama pani powiada, poglądy jego...

Panna Marple przerwała mu żywo:

— O, jego poglądy to tylko teoria, a teorie bardzo odbiegają zazwyczaj od praktyki! Ale oto i on, możemy więc go od razu zapytać.

Doktora Haydocka zdziwiła, zdaje się, niespodziewana obecność panny Marple. Był błady i bardzo znużony.



— Wszystko wisiało na włosku — powiedział — ale teraz już będzie żył. Rzeczą lekarza jest ratować pacjenta i uratowałem go, ale kto wie, byłbym może bardziej zadowolony, gdyby mi się nie udało.

— Zmieni pan może zdanie — odrzekł Melchett — kiedy wysłucha, co panu mamy do opowiedzenia.

W krótkich i zwięzłych słowach przedstawił doktorowi teorię panny Marple, dodając na zakończenie jej ostatnią „propozycję”.

Dane nam było wówczas przekonać się naocznie, co panna Marple miała na myśli, mówiąc o różnicy między teorią a praktyką.

Poglądy doktora w jednej chwili uległy całkowitej metamorfozie. Gdyby wniesiono w tej chwili na tacy ściętą głowę Reddinga, powitałby chyba ten widok żywą radością. Mam zresztą wrażenie, że krwiożercze te instynkty obudziło w nim nie tyle zamordowanie pułkownika Protheroe, ile atak na nieszczęśliwego Hawesa.

— Co za łajdak! — wołał doktor. — Co za ohydny łotr! Ten biedaczysko Hawes! Nieborak ma w dodatku matkę i siostrę. Uznano by je za matkę i siostrę mordercy i piętno przylgnęłoby do nich na całe życie! Jakaż to udręka moralna! O, cóż to za niegodziwy, podstępny czyn!

Doprawdy, jeśli chodzi o żywiołową furję, nikt nie dorówna miłośnikowi ludzi, gdy jest czymś odpowiednio rozjątrzony.

— Jeżeli to prawda — oznajmił — mogą państwo na mnie liczyć. Ten człowiek zasłużył na najgorsze! Wybrać sobie na ofiarę takiego bezbronnego chłopaka, jak Hawes!

Każdy kulawy pies może zawsze liczyć na współczucie doktora Haydocka.

Omawiał już szczegóły z Melchettem, gdy panna Marple wstała, oświadczyłem więc, że odprowadzę ją do domu.

— Bardzo to ładnie ze strony księdza proboszcza — powiedziała panna Marple, kiedy szliśmy wyludnioną ulicą. — Mój Boże, już po dwunastej. Mam nadzieję, że Rajmund nie czekał na mnie i poszedł spać.

— Powinien był pani towarzyszyć — zauważyłem.

— Nie powiedziałam mu wcale, że wychodzę — odrzekła panna Marple.

Uśmiechnąłem się, bo przypomniała mi się subtelna analiza zbrodni, dokonana przez Rajmunda Westa.

— Jeżeli pani teoria sprawdzi się, o czym ani przez chwilę nie wątpię — powiedziałem — odniesie pani duży tryumf nad siostrzeńcem.

Panna Marple uśmiechnęła się również, ale był to uśmiech pobłażliwy.

— Pamiętam pewne powiedzenie mojej ciotecznej babki. Fanny. Miałam wtedy szesnaście lat i sentencja wydawała mi się wyjątkowo niemądra.

— Mianowicie? — spytałem.

— Mawiała często: „Młodzi myślą, że starzy są głupi, ale starzy wiedzą, że młodzi są głupi!”

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Niewiele już pozostało do opowiedzenia. Plan panny Marple osiągnął zamierzony cel. Lawrence Redding nie był niewinny i wzmianka o świadku zamiany kapsulek popchnęła go rzeczywiście do „lekkomyślnego kroku”. Taka jest potęga nieczystego sumienia.

Znajdował się, trzeba przyznać, w szczególnej sytuacji. Pierwszym jego odruchem, jak sadzę, było rzucić wszystko i uciekać. Ale musiał pamiętać o swojej współniczce. Nie mógł wyjechać bez porozumienia się z nią, a nie śmiał czekać do rana. Poszedł więc jeszcze tej samej nocy do Starego Dworu, a dwóch najlepszych funkcjonariuszy pułkownika Melchelta poszło za nim. Rzucił garść żwiru w okno Anny Protheroe, obudził ją i gorączkowym szeptem poprosił, żeby zeszła na dół. Bez wątpienia czuli się bezpieczniej poza domem, w domu bowiem lękali się Letycji. W wyniku tego

dwaj funkcjonariusze policji słyszeli dokładnie całą ich rozmowę. Nie pozostawało najmniejszych wątpliwości — teoria panny Marple była całkowicie i najzupełniej słuszna.

Proces Lawrence’a Reddinga i Anny Protheroe jest sprawą powszechnie wiadomą i nie zamierzam wdawać się w jego opisywanie. Nadmienię tylko, że inspektor Slack okrył się przy tej sposobności chwałą, gdyż to dzięki jego gorliwości i inteligencji zbrodniarze zostali ujęci i oddani w ręce sprawiedliwości. Oczywiście nie wspomniano ani słowem o udziale panny Marple. Ona sama zresztą byłaby przerażona na samą myśl o czymś podobnym.

Letycja odwiedziła mnie tuż przed rozprawą sądową. Wpłynęła do mojego gabinetu jak zwykle niby senne widziadło. Powiedziała mi następnie, że od początku przekonana była o winie macochy. Żółty beret był tylko pretekstem do zbadania pokoju. Letycja miała nadzieję, że może znajdzie coś, co policja przeoczyła.

— Bo widzi ksiądz proboszcz — mówiła swoim marzącym głosem — oni nie czuli do niej takiej nienawiści, jak ja. A nienawiść wiele rzeczy ułatwia.

Gdy dokładna rewizja nic nie dała, dziewczyna rozmyślnie rzuciła pod biurko kolczyk Anny.

— Co za różnica, skoro i tak wiedziałam, że to ona zrobiła? Każdy sposób był dobry. Bo przecież to ona zabiła ojca.

Westchnąłem lekko. Są pewne rzeczy, których się Letycji nigdy nic wytłumaczy. Pod niektórymi względami jest daltonistką moralną.

— Jakie masz zamiary, Letycjo? — spytałem.

— Kiedy... kiedy będzie po wszystkim, wyjadę za granicę. — Umilkła na chwilę, a potem ciągnęła dalej:

— Wyjeżdżam za granicę z moją matką.

Spojrzałem na nią, nic nie rozumiejąc. Skinęła głową.

— Ksiądz proboszcz się nie domyślił? Pani Lestrangle to moja matka. Jest... jest umierająca. Chciała mnie zobaczyć i dlatego przyjechała tutaj pod przybranym nazwiskiem. Doktor Haydock jej w tym dopomógł. Jest jej bardzo starym przyjacielem — kiedyś kochał się w niej — zresztą to od razu widać! Na swój sposób nadal jest w niej zakochany. Mężczyźni zawsze chyba latali za mamą. Jeszcze teraz jest uroczą kobietą. W każdym razie doktor Haydock zrobił wszystko, co mógł, żeby jej pomóc. Nie chciała przyjechać tutaj pod swoim nazwiskiem, bo ludzie zaraz robią takie ohydne plotki. Poszła wtedy wieczorem do ojca, powiedziała mu, że jest umierająca i okropnie chce choć raz mnie zobaczyć.

Ojciec zachował się jak zwierzę. Oświadczył, że straciła do mnie wszelkie prawa, a ja myślę, że ona nie żyje — jak gdybym ja kiedykolwiek dała się nabrać na tę bajkę! Tacy ludzie jak ojciec nigdy nie widzą dalej swego nosa!

Ale mama tak łatwo nie rezygnuje. Uważała, że przyzwoitość nakazywała jej zwrócić się najpierw do ojca, ale kiedy ją tak brutalnie odtrącił, napisała do mnie list, a ja umówiłam się z nią, że wrócę wcześniej z tenisa i spotkam się z nią kwadrans po szóstej na końcu ścieżki.

Porozmawialiśmy tylko chwilę i umówiliśmy się na następny raz. Rozstałyśmy się przed pół do siódmej. Byłam potem przerażona, że mogą ją podejrzewać o zabicie ojca. Ostatecznie, ona mogła przecież mieć do niego żal. Dlatego poszłam na strych i pokrajałam ten jej stary portret. Bałam się, że policja zacznie tam szperać, znajdzie portret i ją pozna. Doktor Haydock był też przerażony. Myślał, zdaje się, że to rzeczywiście mama zabiła! Bo mama jest osobą... gotową na wszystko. Nie liczy się z konsekwencjami.

Letycja urwała.

— To dziwne, mama i ja jesteśmy sobie takie bliskie... Z ojcem nigdy się tak nie czułam. Ale mama... no. mniejsza o to! Jadę z nią teraz za granicę. Będę przy niej aż do... aż do końca...

Wstała, a ja uściśnąłem jej rękę.

— Niech Bóg błogosławi wam obydwóm — powiedziałem. — Mam nadzieję, że przyjdzie jeszcze czas, że będziesz bardzo szczęśliwa, Letycjo.

— Powinno by tak być — odparła, usiłując się roześmiać. — Jak dotychczas, niewiele szczęścia mnie spotkało, co? Zresztą to chyba nie ma znaczenia. Do widzenia księdzu proboszczowi. Był ksiądz proboszcz dla mnie zawsze naprawdę dobry — ksiądz proboszcz i pani Gryzelda.

Gryzelda!

Musiałem przyznać się jej, jak potwornie wzburzył mnie list anonimowy. W pierwszej chwili roześmiała się, a potem palnęła mi niezgorsze kazanie.

— Ale niezależnie od tego — dodała — będę teraz bardzo poważna i bogobojna, zupełnie jak ojcowie pielgrzymi.

Niestety, nie wyobrażałem sobie Gryzeldy w roli ojca pielgrzyma.

Moja żona ciągnęła dalej:

— Bo teraz, do życia mojego wkracza czynnik stabilizacyjny, Len. Do twojego również, ale jeśli chodzi o ciebie, będzie to raczej czynnik odmładzający — przynajmniej spodziewam się tego! Nie będziesz już mógł tak często mówić mi „moje drogie dziecko”, kiedy będziemy mieli prawdziwe dziecko. I jeszcze jedno, Len — postanowiłam, że skoro mam być prawdziwą „żoną i matką” (jak się mówi w powieściach), muszę też być dobrą gospodynią. Kupiłam dwie książki o gospodarstwie domowym i jedną o miłości macierzyńskiej i jeśli po ich przestudiowaniu nie stanę się wzorem cnót wszelkich, to już nie wiem! Są zresztą niesłychanie śmieszne — niezamierzenie, rozumiesz.. Zwłaszcza ta o wychowaniu dzieci.

— Mam nadzieję, żeś nie kupiła książki o tym „Jak obchodzić się z mężem”? — spytałem z nagłą obawą, przyciągając ją do siebie.

— Nie potrzeba mi takiej książki — odparła Gryzelda. — Jestem bardzo dobrą żoną. Kocham cię serdecznie. Czego pragniesz więcej?

— Niczego — zapewniłem.

— Czy mógłbyś powiedzieć — choć jeden raz — że mnie szalenie kochasz?

— Gryzeldo — powiedziałem — ubóstwiam cię! Uwielbiam! Szaleję za tobą nieprzytomnie i beznadziejnie, jakbym wcale nie był duchownym!

Moja żona westchnęła głęboko i z ukontentowaniem. Naraz odsunęła się ode mnie.

— Ojej! Idzie panna Marple. Niech się niczego nie domyśla, dobrze? Nie chcę, żeby mi wszyscy proponowali poduszki i podsuwali stołeczki pod nogi. Powiedz jej, że poszłam na pole golfowe. To ją zbije z tropu — a przy tym jest to szczerą prawdą, bo zostawiłam tam swój żółty sweter, który jest mi potrzebny.

Panna Marple podeszła do okna, zatrzymała się z wahaniem i spytała o Gryzeldę.

— Gryzelda poszła na pole golfowe — odrzekłem.

W oczach panny Marple odmalował się niepokój.

— Ależ to bardzo niewskazane... w takim stanie. Po czym zarumieniła się w sposób staroświecki, wytworny, staropanieński i przemily.

Aby pokryć zakłopotanie, zaczęliśmy czym prędzej mówić o procesie i o „doktorze Stonie”, który, jak się okazało, był znanym włamywaczem, występującym pod kilkoma nazwiskami. Nawiasem mówiąc, niewinność panny Cram została ustalona ponad wszelką wątpliwość. Panna Cram przyznała się w końcu, że zaniósła walizkę do lasu, uczyniła to jednak w najlepszej wierze, gdyż doktor Stone powiedział jej, iż lęka się rywali—archeologów, którzy nie zawahają się przed kradzieżą, byleby zdyskredytować jego teorię. Dziewczyna dała się wziąć na tę niezbyt prawdopodobną bajeczkę. Obecnie, jak twierdzi, w miasteczku rozgląda się za jakimś solidniejszym starszym kawalerem, któremu trzeba energicznej sekretarki.

W trakcie rozmowy zastanawiałem się wciąż, w jaki sposób panna Marple odkryła naszą ostatnią tajemnicę.

Po chwili jednak stara panna sama dostarczyła mi dyskretnie klucza.

— Mam nadzieję, że kochana pani Gryzelda zbyt nie przemęcza — szepnęła po pauzie. — Byłam wczoraj w księgarni w Much Benham...

Biedna Gryzelda — zdradziła ją książka o „miłości macierzyńskiej”!

— Ciekaw jestem — powiedziałem nagle — czy ujęto by panią, gdyby pani sama kogoś zamordowała.

— Cóż za okropna myśl — odparła zgorszona panna Marple. — Mam nadzieję, że nie byłabym zdolna do takiego czynu.

— Natura ludzka jest ułomna — rzuciłem półgłosem.

Panna Marple ładnym, starczym śmiechem przyznała, że strzał był celny.

— Złośliwiec z księdza proboszcza — powiedziała wstając. — Ale to rzecz naturalna, że ksiądz proboszcz jest w doskonałym humorze.

Zatrzymała się przy wyjściu.

— Pozdrowienia dla kochanej pani Gryzeldy... i proszę jej powtórzyć, że nie zdradzę nikomu jej sekretu.

Doprawdy, panna Marple jest w gruncie rzeczy przemiła...

\* slack (ang.) — opieszały, leniwy